W GŁOWIE PUTINA
Szaleństwo czy metoda

ARMIE HAKERÓW
Atakują systemy, państwa i umysły

CERKIEW I WATYKAN
Wojna mówi Kościołom: sprawdzam

PO PANDEMII
Jak uleczyć ochronę zdrowia

GOŁĘBIE DUSZE
Sztuka naiwna szuka radości

Kraków 13 marca 2022 nr 11 (3792) cena 10 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

PREZYDENT ZEŁENSKI

Za nasze dziś, za wasze jutro

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

Fundacja
Dorastaj z Nami

KRS: 0000 361265

Kamil jest synem strażaka, Igor jest synem żołnierza, Kasia jest córką policjantki, a Ania jest córką ratownika górskiego. Dobrze pamiętają te wszystkie ważne wydarzenia w swoim życiu, na których zabrakło im Taty. Bo dzieciom Taty brakuje codziennie, bo z tęsknoty za Tatą się nie wyrasta...

Dlatego od ponad 10 lat jesteśmy przy nich każdego dnia. **Fundacja Dorastaj z Nami** obecnie ma pod swoją opieką 130 dzieci tych, którzy zginęli na służbie.

Twój 1% podatku odmieni los dzieci Bohaterów!

Dzięki Tobie dostaną opiekę, ale także poczucie, że życie ich rodziców poświęcone innym zostało docenione.

www.dorastajznami.org

KS. ADAM

Boniecki: *Granica nie istnieje*

Budzi podziw, fascynuje, zdumiewa. Wołodymyr Zełenski – skąd się biorą tacy ludzie?

Prezydentem Ukrainy jest od 2019 r. Wcześniej był satyrykiem, aktorem i przedsiębiorcą w branży rozrywkowej, wreszcie – stał się politykiem. Urodził się 25 stycznia 1978 r. w Krzywym Rogu w środkowej Ukrainie. Ojciec – Ołeksander – był profesorem cybernetyki, matka Rimma – inżynierem, dziś jest na emeryturze. Ukończył studia prawnicze w Krzyworoskim Instytucie Ekonomicznym. Ale prawnikiem nie został.

Został kabareciarzem. Najpierw w lokalnym zespole, potem współtworzył grupę, z którą występował w rosyjskojęzycznych krajach. Kariera w show-biznesie potoczyła się wartko: został producentem, współwłaścicielem studia współpracującego z ukraińskim kanałem telewizyjnym 1+1. Prowadził program kulinarny, występował w programie tanecznym, dał się też poznać jako aktor w komediach romantycznych.

Wreszcie, w 2015 r. zagrał w komediowym serialu „Sługa narodu" o nauczycielu historii, który zostaje nagrany przez ucznia, jak krytykuje ukraińskie elity i panującą w kraju korupcję. Wideo trafia do sieci, a nauczyciel zyskuje dzięki temu taką popularność, że w końcu wygrywa wybory i zostaje prezydentem Ukrainy. Niedługo później Zełenski-aktor zrealizował ten scenariusz: partia, którą założył, nazywała się tak samo jak serial. A on, tak samo jak jego postać, niebawem wygrał wybory.

Czy to *curriculum vitae* coś tłumaczy? Wielu zdolnych, inteligentnych ludzi ma podobne życiorysy, a żaden nie wszedł ani nie wejdzie do historii. Tymczasem do historii wejdzie (już weszła) odpowiedź Zełenskiego na amerykańską propozycję ewakuacji z Ukrainy w sytuacji, w której jego życie jest permanentnie zagrożone: „Walka jest tutaj. Potrzebuję amunicji, nie podwózki". Do historii przejdzie on sam jako człowiek, który zdołał zjednoczyć i zmobilizować rodaków i ich zapał, poruszyć sumienia wszystkich najważniejszych polityków świata, zaś temu, który sądził, że nikt się nie ośmieli mu przeciwstawić – Putinowi – on, jak nikt inny do tej pory, odważył się powiedzieć „nie" i w tym wytrwać. Czy wyborcy, z których ponad 73 proc. w kwietniu 2019 r. głosowało na „komika" Zełenskiego, wiedzieli, na kogo oddali głos?

My też mieliśmy przywódców, którzy mieli budować jedność narodu, którym ufaliśmy. Za mojej pamięci – Władysława Gomułkę w 1956 r. i Lecha Wałęsę w 1989 r. Taki był – przy wszystkich kolosalnych różnicach – początek ich politycznego i narodowego wyniesienia. Obaj zostali przez Polaków zaakceptowani na początku „z dobrodziejstwem inwentarza". Niestety, obaj, z różnych powodów, skończyli inaczej, niż zapowiadali. Gomułka najdalej od polskiego Panteonu, Wałęsa – blisko, ale poniżej oczekiwań. Czy u nas nie było ludzi takich jak Zełenski? Może byli, tylko ich nie widzieliśmy albo nie chcieliśmy z nimi ryzykować.

Cóż, dzisiaj obecny prezydent Ukrainy ryzykuje nie drugą kadencję, ale życie. Nie mówi o sobie, ale o Ukrainie. Rosjanom ani nikomu innemu nie złorzeczy. Swego dyskursu nie konstruuje na nienawiści: kiedy się zwraca do nieprzyjaciela, to nie po to, żeby go poniżyć, lecz żeby go przekonać. Uprzytomnił nam, swoim rodakom i światu, że dzisiaj „granica między Ukrainą i Polską nie istnieje". Mówi jasno, czego jego ojczyzna potrzebuje od sojuszników. Dając odwagę i otuchę, nie daje złudzeń. To bardzo dużo. Dziękujemy Panu za to, Panie Prezydencie. ©℗

Już od 9 marca

Strona świata: podkast Wojciecha Jagielskiego

Co dwa tygodnie Wojciech Jagielski – pisarz, były korespondent wojenny, specjalista od spraw Afryki, Kaukazu i Azji Środkowej, jeden z najwybitniejszych europejskich reporterów – będzie opowiadał o najciekawszych wydarzeniach na świecie.

Słuchaj na **TygodnikPowszechny.pl/podkast** oraz na

Wspieraj na:

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PATRONITE

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. ALBERT ZAWADA DLA „TP"

26 Za chwilę zaczniemy od zera
MAREK RABIJ
Alina Totmjanina z Zaporoża: W pociągu, którym jechaliśmy w stronę polskiej granicy, wyłapywałam spojrzeniem osoby, którym przydałaby się pomoc. Wciąż zesztywniałe z napięcia, z głową schowaną w ramiona jak bokser unikający ciosu.

38 Nie-boży pomazaniec
ANNA ŁABUSZEWSKA
Putin trafi do piekła – przestrzega grupa duchownych, która wyłamała się z podporządkowanej autokracie Cerkwi prawosławnej.

72 Siedem scen z życia
WOJCIECH ENGELKING
Oksana Zabużko stworzyła powieści przetłumaczone na kilkanaście języków i wydane w wielkich nakładach. Zapisała w nich osobliwe doświadczenie kraju, który ciągle się zaczyna: Ukrainy.

48 Wojna to praca na cały etat
MARCIN ŻYŁA I GRAŻYNA MAKARA Z DROHOBYCZA I TRUSKAWCA
W ukraińskich miejscowościach, także tych położonych daleko od frontu, codzienne życie zmieniło się nie do poznania. „O nas również Putin się potknie" – mówią ich mieszkańcy. I robią, co mogą, aby wesprzeć tych, którzy walczą.

68 Lepiej mieć córki niż wnuki
ROZMOWA Z TIMEM CLUTTONEM-BROCKIEM, EKOLOGIEM:
Surykatki nie potrafią rozmnażać się bez pomocników. Samice podległe muszą czekać z rozrodem na to, aż umrze samica dominująca.

84 Gołębie dusze
ROZMOWA Z TEODOREM SEGIETEM:
Kupowaliśmy sztukę nieprofesjonalną, ale dopóki ktoś nam tego nie powiedział, nie wiedzieliśmy, że jesteśmy kolekcjonerami.

MAREK RABIJ // OSSERVATORE ROMANO / CPP / POLARIS / EAST NEWS // GRAŻYNA MAKARA // UNIVERSITY OF CAMBRIDGE // GRAŻYNA MAKRA

6 Stoimy ramię w ramię
MAREK KĘSKRAWIEC

7-11 Obraz tygodnia

24-25 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

KRAJ

26 Za chwilę zaczniemy od zera
MAREK RABIJ

30 System do gruntownej naprawy
MACIEJ MÜLLER: *Brakuje pieniędzy, lekarzy jest za mało, a pacjent musi sam zadbać o zdrowie. Nie brakuje pomysłów na to, by po pandemii ochrona zdrowia stała się nowocześniejsza*

33 Nie będziemy chodzić głodni
PIOTR WÓJCIK *o kosztach, jakie poniesie polska gospodarka z powodu rosyjskiej agresji*

WIARA

38 Nie-boży pomazaniec
ANNA ŁABUSZEWSKA

42 Wojna Putina – test dla Watykanu
MASSIMO FAGGIOLI: *Wydarzenia ostatnich tygodni potwierdzają słabość Franciszkowego pontyfikatu w dostrzeganiu rosyjskiego zagrożenia*

45 Szafranowy zamach na wolność
MARTA ZDZIEBORSKA *o prześladowaniu chrześcijan w Indiach*

ŚWIAT

48 Wojna to praca na cały etat
MARCIN ŻYŁA I GRAŻYNA MAKARA Z DROHOBYCZA I TRUSKAWCA

TEMAT TYGODNIKA

12 Za nasze dziś, za wasze jutro
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KIJOWA
Dzięki swojej nieustępliwości i pozostaniu w kraju Wołodymyr Zełenski został najbardziej popularnym przywódcą w historii niepodległej Ukrainy.

16 Ten kraj jest i będzie
WOJCIECH KONOŃCZUK
Wszystko idzie nie tak, jak planował Kreml. Ukraińcy codziennie pokazują Putinowi, że atakując ich kraj popełnił najgorszy błąd w swoim życiu.

18 Tajny front
AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI
Batalie tej wojny prawie nigdy nie trafiają do mediów. Cyberwojna jest niebywale niszczycielska i nie uznaje żadnych granic. Chce nawet sięgać do naszych głów.

FELIETONY

35 DOROTA MASŁOWSKA **47** ZUZANNA RADZIK **67** TOMASZ STAWISZYŃSKI **82** JAN KLATA **83** PAWEŁ BRAVO **90** STANISŁAW MANCEWICZ **90** BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: WOŁODYMYR ZEŁENSKI
FOT.: PAOLO PELLEGRIN / MAGNUM PHOTOS / FORUM

Redaktor prowadzący: PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

53 Nasz duch obrony
ROZMOWA Z SOFI OKSANEN, PISARKĄ: *Nawet ci, którzy na Zachodzie jeszcze niedawno sprzyjali Rosji i Putinowi, dziś mówią coś przeciwnego*

56 Na południowej flance
KAMIL CAŁUS *o Rumunii, która wspiera Ukrainę*

60 Trzecia wojna czeczeńska
WOJCIECH JAGIELSKI: *Dawni towarzysze broni z kaukaskich wojen walczą dziś przeciwko sobie nad Dnieprem*

63 Jak myśli Putin
ROZMOWA Z KATARZYNĄ PEŁCZYŃSKĄ-NAŁĘCZ, POLITOLOŻKĄ, *o władcy Rosji, który nie ma odwrotu*

NAUKA

68 Lepiej mieć córki niż wnuki
ROZMOWA Z TIMEM CLUTTONEM-BROCKIEM, EKOLOGIEM BEHAWIORALNYM

KULTURA

72 Siedem scen z życia
WOJCIECH ENGELKING

76 Istnienia poszczególne
KAJETAN PROCHYRA: *Tomasz Dąbrowski gra na trąbce Stańki*

78 Co czytać
MONIKA OCHĘDOWSKA *o prozie Wojciecha Chamiera-Gliszczyńskiego*

80 Mężczyzna w futerale
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Drive My Car”*

82 Pod księżycem
LEKTOR *o książce „Fragmenty lunarne” Mariana Stali*

ZMYSŁY

84 Gołębie dusze
ROZMOWA Z TEODOREM SEGIETEM, KOLEKCJONEREM SZTUKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Dobre miasto
Hostel interwencyjny w Krakowie: ktoś rozdaje zupę, chłopcy wnoszą meble. Na zapłakanych twarzach rodzą się uśmiechy – pisze JACEK TARAN | tygodnikpowszechny.pl/dobremiasto

Punkty zwrotne [Podkast Powszechny]
Uważam, że w stosunku do życia nikt z nas nie jest podmiotowy. Że wszyscy jesteśmy przedmiotami, życie się nami żyje – RADEK RAK rozmawia z KATARZYNĄ KUBISIOWSKĄ | tygodnikpowszechny.pl/podkast

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

STOIMY RAMIĘ W RAMIĘ

O tych dniach będzie się pisać w podręcznikach. Na oczach całego świata dokonujemy rzeczy, o które samych siebie nigdy byśmy nie podejrzewali.

MAREK KĘSKRAWIEC

Polscy wolontariusze i tłumacze pomagają rodzinom z Ukrainy. Przemyśl, 3 marca 2022 r.

Zuzanna już pierwszego dnia rosyjskiej inwazji wiedziała, co robić. Chociaż studiuje w dalekiej amerykańskiej Pensylwanii, bez trudu znalazła wokół siebie ludzi, dla których cierpienia Ukraińców stały się sprawą osobistą. Już prawie 6 tys. dolarów trafiło do mamy Zuzy w Krakowie, a ta wraz z drugą córką Alicją rozprowadza pomoc wśród uchodźców. Nie jest łatwo, bo wielu z nich odmawia. Mówią, żeby zostawić pieniądze dla tych, którzy będą szli za nimi...

Na naszych oczach rodzą się więzi, o jakich do niedawna nie mogło być mowy. Ukraińcy integrowali się w Polsce dobrze, ale po cichu i jakoś tak z boku. Dziś dla wielu z nas stali się braćmi i siostrami, i być może to jest jedna z największych klęsk dyktatora z Kremla. Naszym poświęceniem i determinacją zachwyca się cały świat, a my możemy wreszcie spojrzeć na siebie trochę łaskawiej. Fakt, w tym pospolitym ruszeniu dużo jest chaosu, ale nikt z nas nie ma przecież doświadczenia w tak granicznych sytuacjach. Jak na skalę dramatu, który wygnał do Polski już prawie półtora miliona ludzi, radzimy sobie doskonale. Wiele rodzin i samotnych matek z dziećmi wciąż nie trafia do przygotowanych przez państwo i samorządy centrów, bo znalazły schronienie w polskich domach. To niezwykle ważne, by

w momencie, w którym ich mężowie, ojcowie i synowie walczą o wolność Ukrainy – uchodźcy zaznali choć trochę rodzinnego ciepła. Musimy jednak pamiętać, że przyjeżdżają do nas ludzie w głębokim szoku, i być może dopiero po kilku dniach zaczną zdawać sobie sprawę z grozy całej sytuacji. To będzie egzamin także dla nas. Nie oczekujmy nic od wygnańców, którzy z małymi walizkami opuszczali bombardowane miasta, porzucając całe swoje życie. Bądźmy dla nich tolerancyjni, nie wywierajmy presji, nie narzucajmy się emocjonalnie.

Wiele wskazuje na to, że oddolny ruch pomocy osiągnął już granice wytrzymałości. Dlatego niezmiernie ważne jest, by pałeczkę zaczęło sprawniej przejmować państwo. Inaczej znajdziemy się na progu katastrofy humanitarnej. Nie każdy z nas będzie też w stanie długo gościć w swym domu uciekinierów, a nie możemy doprowadzić do sytuacji, by tysiące dzieci nagle było przenoszonych do zbiorowych sal i spało na pryczach. Polskie państwo staje przed jednym z najtrudniejszych egzaminów w swej historii. Jak zorganizować sprawny system zakwaterowania i zatrudniania ludzi, którzy zostaną u nas na lata, i jak przy tym uniknąć napięć między Polakami i Ukraińcami? Jak znaleźć odpowiednią liczbę miejsc w przedszkolach i szkołach, by matki mogły pójść do pracy? Skąd wziąć nauczycieli mówiących po ukraińsku, by uczniowie się integrowali, ale też pamiętali o swych korzeniach – co w perspektywie zagrożenia rusyfikacją Ukrainy ma ogromne znaczenie.

Czekają nas trudne czasy. Jeśli Putin się nie opamięta, staniemy się państwem frontowym, z ogromną, pełną emocji mniejszością etniczną. Na Kremlu o tym wiedzą, więc będą stale prowokować konflikty, przypominając jednej stronie o rzezi wołyńskiej, a drugiej o akcji „Wisła" i wiekach pogardy ze strony „polskich panów". Trzeba wielkiej mądrości rządzących i ogromnej świadomości społecznej, byśmy pamiętając o przeszłości, potrafili budować przyszłość. Ona nie jest dziś wyraźna, bo naprzeciwko siebie mamy niezwykle silnego i nieobliczalnego przeciwnika. Tym bardziej ważne jest, by dawne spory nie dzieliły nas w dniach, w których wspólnie z Ukraińcami walczymy o losy cywilizacji europejskiej. ©℗

KAROL PORWICH

MAŁGORZATA OLASIŃSKA-CHART,
DYREKTORKA PROGRAMU POMOCY HUMANITARNEJ POLSKIEJ MISJI MEDYCZNEJ:

Jak pomóc Ukrainie?

KRZYSZTOF STORY: Wraz z początkiem wojny ruszyła w Polsce ogromna fala oddolnej pomocy dla Ukrainy i Ukraińców. Jak pomagać, żeby faktycznie pomóc?

GRAŻYNA MAKARA

MAŁGORZATA OLASIŃSKA-CHART: Wiem, że w większości lubimy przekazywać dary rzeczowe, kupić żywność, dać ubrania. Teraz dużo ludzi przyjmuje też pod swój dach osoby z Ukrainy, często całe rodziny. Ale pamiętajmy, że ciągle obowiązuje nas jedna zasada: nie pomagamy w ciemno. Nie można bezsensownie gromadzić stosów ubrań, jedzenia. Dlatego tak cenne są lokalne inicjatywy, które kontaktują się z organizacjami ukraińskimi w danym mieście, z grupami Ukraińców na Facebooku i pytają, co jest potrzebne, ile jest kobiet w ciąży, małych dzieci, noworodków, i planują zakup pomocy. Chcąc się zaangażować, znajdźmy sztab koordynujący pomoc w naszej okolicy, sprawdźmy, co jest naprawdę potrzebne. Nie działajmy na własną rękę.

Zapotrzebowanie na pomoc jest tak duże, że żadna inicjatywa nie będzie zbędna. W ciągu kilku dni do Polski z Ukrainy wjechało ponad 400 tys. osób. Co teraz jest najbardziej potrzebne?
Byłam w Hrebennem i widziałam ludzi, którzy przechodzili przez granicę z siatką w ręce albo z torebką, nie mając nawet jednej walizki, ale za to np. z dwójką dzieci. Większość z tych osób ma dziś dostęp do jedzenia, dach nad głową, ciepłą wodę i kosmetyki. Brakuje często rzeczy specjalistycznych i drogich, których nie znajdziemy w każdym domu: pieluchomajtek, pampersów, odżywek dla dzieci, kaszek dla dzieci czy nawet wózków inwalidzkich.

Poza przekazywaniem rzeczy, wpłacaniem pieniędzy, udzielaniem gościny pod własnym dachem – jak jeszcze możemy się zaangażować?
Zastanówmy się, jakie mamy umiejętności i spróbujmy wykorzystać je jako wolontariusze. Może jesteś kierowcą ciężarówki i możesz pomóc w transporcie? Może znasz ukraiński wystarczająco, by tłumaczyć dokumenty? A może po prostu umiesz bawić się z dziećmi albo opiekować się starszymi osobami? Czasem sama rozmowa może być wielką pomocą.

Planując pomoc, na co zwracać uwagę?
Bardzo ważne, aby nie wprawiać ludzi w poczucie zakłopotania, wstydu, upokorzenia. Widziałam zdjęcia i filmy z granicy w Medyce, gdzie dziesiątki plastikowych worów z odzieżą zostało wyrzucone na trawnik przy szlabanie przy przejściu granicznym. Większość była rozerwana, ubrania leżały w przypadkowych stertach. Ubrania na pewno były potrzebne, ale upokorzenie przy przerzucaniu tego bezładu absolutnie nie. Wystarczyłoby postawić namiot, posegregować je, postawić tam wolontariusza do pomocy. Ci ludzie przeżyli wielką traumę, ale nadal mają swoją godność. Okazanie im szacunku to najważniejsza część pomocy.

Potencjalnie mówimy o kilku milionach ludzi, którzy przyjadą do Polski. A czy możemy jakoś wesprzeć tych, którzy są i pozostaną w Ukrainie?
Polska Misja Medyczna już teraz wspiera szpitale wewnątrz Ukrainy, zbieramy fundusze na dostarczenie środków opatrunkowych służących do zaopatrywania ran i leczenia osób rannych w bombardowaniach. Prosimy o wsparcie. Następny transport pojedzie do szpitali w Kijowie, w tym do szpitala neonatologicznego, gdzie ratuje się życie noworodków. W Ukrainie stany są zerowe, nie ma żadnych leków ratujących życie, nie ma bandaży, staz, opasek uciskowych, gaz, wacików.

Wielu pracowników organizacji pozarządowych od kilku dni przypomina: „to będzie maraton, a nie sprint". Boi się Pani, że kiedy pierwsza fala naszego zainteresowania opadnie, zaczną się problemy z brakiem pomocy, ludzi, funduszy?
Nie. Ta wojna będzie trwała i jej skutki będą trwały. Mobilizacja społeczna była tak duża i są zebrane tak duże środki, że pomoc dalej będzie płynąć. Możemy spokojnie myśleć o co najmniej kilku miesiącach aktywności w Polsce i kilku latach w Ukrainie. Więc pomagajmy nadal – z wrażliwością, szacunkiem, życzliwością. Pomagajmy tak, jakbyśmy chcieli, żeby nam pomagano. ©℗

Konkretne wskazówki, adresy zweryfikowanych zbiórek i organizacji publikujemy pod tym wywiadem na **powszech.net/jakpomagac.**

Dajmy spokój bankomatom

MAREK RABIJ

SPANIKOWALIŚMY – CZEMU ZRESZTĄ trudno się dziwić, bo od końca II wojny światowej konflikt zbrojny nie zbliżył się tak bardzo do granic Polski. Tym razem nie było jednak czyszczenia półek z kasz, mąki oraz papieru toaletowego. Zabrakło pieniędzy w bankomatach. W niektórych maszynach nie było ich wcale. W wielu innych drastycznie obniżono limity wypłat.

Narodowy Bank Polski uspokaja: problemy były rezultatem gwałtownego wzrostu zapotrzebowania na banknoty w portfelu, którego nie były w stanie zaspokoić firmy z uprawnieniami do konwojowania gotówki. W tej koncesjonowanej branży nie da się *ad hoc* zwiększyć liczby pracowników, którzy muszą przejść stosowne badania lekarskie i psychologiczne, odbyć szkolenia oraz uzyskać zgodę na broń palną. Tymczasem ostatnie miesiące upłynęły szefom polskich banków na obserwowaniu systematycznego odpływu klientów od bankomatów. Z danych NBP wynika, że w trzecim kwartale ubiegłego roku po raz pierwszy w historii liczba transakcji bezgotówkowych przekroczyła w Polsce 2 mld, dobijając do poziomu 2,16 mld. Ich udział w sprzedaży detalicznej w trzecim kwartale 2021 r. wyniósł już 53,2 proc., czyli o 1,4 pkt. proc. więcej niż kwartał wcześniej. Odwrót od gotówki, przyspieszony przez pandemię, trwa zresztą od dawna i banki próbują się do tego dostosować. Tylko w latach 2020-2021 liczba bankomatów w Polsce zmalała o ponad tysiąc. Wszystko to musiało przełożyć się na mniejszą podaż gotówki w sytuacji, gdy nagle niemal każdy chciał ją wypłacić.

Z informacji docierających z największych miast wynika, że szczyt zapotrzebowania na wypłaty mamy już za sobą, podobnie jak problemy z dostępnością gotówki w bankomatach. Polski złoty ma w tej chwili inne problemy, notuje dziś bowiem rekordową słabość w stosunku do głównych walut świata. Frank i euro niemal po 5 zł i dolar za ponad 4,6 zł to najdokładniejsze miary globalnej niepewności wywołanej rosyjską agresją na Ukrainę, a złotówka obrywa przez to rykoszetem. Darujmy więc sobie zbędne emocje przynajmniej przy bankomacie. ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

DO FLAGI

W pierwszych sondażach po rozpoczęciu wojny na Ukrainie wzrosły notowania PiS: na partię Jarosława Kaczyńskiego chce głosować ok. 37 proc., na PO – ok. 26, a na Polskę 2050 – ok. 12 proc. badanych; gdyby wybory odbywały się teraz, do Sejmu weszłyby jeszcze Konfederacja, Lewica i PSL.

DO DOMU

Z dyskusji polityków w Radiu Zet wyproszono posła Zjednoczonej Prawicy Janusza Kowalskiego, który w swoich wypowiedziach na temat wojny w Ukrainie nieustannie atakował Donalda Tuska za rzekome wspieranie Władimira Putina.

DO ŚMIECHU

Tygodnik „Sieci" opublikował jedenastostronicowy wywiad z ambasadorem Rosji. Jego autorzy, bracia Karnowscy, napisali na wstępie, że otrzymali propozycję przeprowadzenia rozmowy (określonej tradycyjnym mianem „ostra") przez „pośrednika" i przeprowadzili ją, kiedy wydawało się, że „rosyjskie działanie ograniczy się do terenu zajmowanego przez tzw. republiki ługańską i donieckę". Publikację skrytykował m.in. ambasador Ukrainy.

DO PŁACZU

Z aptek i hurtowni znika płyn Lugola: Polacy robią zapasy tego preparatu w obawie przed katastrofą jądrową, mimo przestróg lekarzy przed zażywaniem go bez konsultacji i mimo informacji Państwowej Agencji Atomistyki, że sytuacja radiacyjna w Polsce pozostaje w normie.

DOMENA PUBLICZNA

Lex Czarnek jeszcze powróci

TAKIEGO WETA DOTĄD NIE BYŁO: zarówno jego autor, jak i komentatorzy uzasadniali odrzucenie nowelizacji prawa oświatowego wszystkim, tylko nie przyczynami merytorycznymi. Andrzej Duda mówił, że „lex Czarnek" dzieli społeczeństwo, „a tego dziś musimy unikać". Komentatorzy zwracali uwagę, że prezydent w tym samym czasie wsparł inny ważny projekt obecnego ministra edukacji i nauki – kontrowersyjny plan powołania Akademii Kopernikańskiej (instytucja, punktują krytycy, może zdublować Polską Akademię Nauk). Andrzej Duda zasugerował wprawdzie, że są w „lex Czarnek" rozwiązania, które mu się nie podobają, ale zrobił to chyba zbyt nieśmiało, by przekaz dotarł do ministra. Przemysław Czarnek oświadczył w publicznym radiu, że prezydent nie ma merytorycznych zastrzeżeń do ustawy, co pozwoli wrócić do projektu w lepszym czasie.

Andrzej Duda stracił w ten sposób szansę, by nazwać ewidentne patologie projektu: przyznanie władzy kuratorom oświaty kosztem autonomii szkół (w myśl nowelizacji łatwo by było kuratorowi odwołać dyrektora placówki) czy zadekretowanie faktycznej cenzury na działalność w szkołach organizacji pozarządowych (kurator mógłby ją nałożyć nawet wbrew rodzicom). W tej sytuacji śmierć projektu „lex Czarnek" wydaje się dziś być równie ostateczna, co wymarzona przez prezydenta zgoda narodowa. ©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Wojskowy Ład

NAKŁADY NA OBRONNOŚĆ w wysokości aż 3 proc. PKB, zmiany prawa poprawiające funkcjonowanie armii i jej zdolności operacyjne – to w skrócie cele ustawy o obronie ojczyzny, którą tuż po wybuchu wojny w Ukrainie zaprezentował PiS (projekt przygotowano kilka miesięcy wcześniej, ale nie trafił pod obrady).

Władze oczekują bezwarunkowego poparcia dla projektu, wskazując słusznie na zagrożenie na wschodzie. Istnieje jednak ryzyko, że owocem ekspresowych prac nad ustawą integrującą 14 innych aktów prawnych i decydującą o przeznaczeniu ok. 63 mld zł rocznie będzie kolejny prawny potworek. Prawnicy już sygnalizują liczne naruszenia przepisów o ochronie danych osobowych, które będą efektem uchwalenia nowej ustawy. Poza tym wciąż nie do końca wiemy, jaką armię mielibyśmy budować za 3 proc. PKB rocznie. Ostatnie decyzje o zakupie nowoczesnych myśliwców F-35 i czołgów Abrams zdaniem wielu ekspertów do spraw wojskowości świadczą o tym, że politycy nie słuchają sztabowców, którzy sygnalizują inne problemy, m.in. zapaść polskiej obrony przeciwlotniczej i marynarki. ©℗ MR

LINTAO ZHANG / GETTY IMAGES

NAWET IGRZYSKA PARAOLIMPIJSKIE nie powstrzymują już wojen. „Tu, w Pekinie, paraolimpijczycy z 46 państw będą rywalizować ze sobą, nie przeciwko sobie", mówił Andrew Parsons, prezydent Międzynarodowego Komitetu Paraolimpijskiego, otwierając zawody w Chinach. Jednak w ostatniej chwili – po groźbach ich bojkotu przez kilka reprezentacji – z udziału w igrzyskach wykluczono sportowców z Rosji i Białorusi. Na zdjęciu: brytyjscy biathloniści Callum Deboys i Scott Meenagh (obaj na pierwszym planie) podczas przygotowań do treningu, Zhangjiakou, Chiny, 3 marca 2022 r. ©℗ ŻYM

Joe Biden odbudowuje swój wizerunek w USA

MARTA ZDZIEBORSKA

Reagując na rosyjską inwazję na Ukrainę prezydent USA Joe Biden odzyskuje autorytet w świecie oraz, równocześnie, zwiększa swoje notowania wśród Amerykanów. Jego niedawne orędzie o stanie państwa było pełne akcentów ukraińskich; niektórzy kongresmeni trzymali flagi Ukrainy i byli ubrani w niebiesko-żółte barwy. W centrum uwagi znalazła się ukraińska ambasador w Waszyngtonie Oksana Markarowa – siedząc obok pierwszej damy Jill Biden miała łzy w oczach, co uchwycili fotoreporterzy.

Trudno o bardziej symboliczne migawki z orędzia wygłoszonego 1 marca, w szóstym dniu rosyjskiej agresji. Podczas przemówienia Joe Biden potępił działania Władimira Putina i ogłosił zamknięcie amerykańskiej przestrzeni powietrznej dla rosyjskich samolotów. Dwa dni później nałożył sankcje przeciwko 19 rosyjskim oligarchom i ich rodzinom. Objęto ich zakazem wjazdu do USA, odcięto od amerykańskiego systemu finansowego, a ich aktywa zamrożono.

W ostatnich dniach Biden kilkakrotnie rozmawiał z prezydentem Ukrainy Wołodymyrem Zełenskim, był na łączach z prezydentem Andrzejem Dudą, wysłał też do Europy szefa amerykańskiej dyplomacji Antony'ego Blinkena. Ten obiecał 2,75 mld dolarów na wsparcie działań humanitarnych w Polsce i Ukrainie oraz zapewnił, że celem USA jest dalsze wzmacnianie wschodniej flanki NATO. W ramach pokazania „jedności i siły Sojuszu" 9 marca z wizytą do Polski i Rumunii udaje się wiceprezydentka USA Kamala Harris.

Dzięki dyplomacji i antyrosyjskim sankcjom Joe Biden odbudowuje swój wizerunek, nadszarpnięty przez chaotyczne wycofanie wojsk z Afganistanu. Prezydent ma poparcie nawet wśród Republikanów, w tym m.in. lidera tej partii w Senacie Mitcha McConnella. Niektórzy konserwatyści wykorzystują jednak sytuację do ataków – obwiniają Bidena o szybujące w czasach kryzysu ceny paliw i zarzucają mu, że zwlekał z antyrosyjskimi sankcjami. Ale po orędziu z 1 marca poparcie dla prezydenta wzrosło z 39 do 47 proc. Amerykanie przychylniej patrzą też na stan gospodarki i zarządzanie pandemicznym kryzysem. W tym trudnym czasie to dla Bidena przynajmniej jedna dobra wiadomość.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Rosja: wojenny kaganiec na media

OSTATNIE NIEZALEŻNE REDAKCJE w Rosji zostały w warunkach cenzury wojennej pozbawione głosu. Zamilkło radio Echo Moskwy, przestała nadawać internetowa telewizja Dożd' (TV Rain). „Nowaja Gazieta", ostatni bastion wolności słowa, zastosowała się do wymogów urzędu kontroli mediów i usunęła ze strony internetowej materiały o wojnie. Radio Swoboda ogłosiło zamknięcie swojego biura w Moskwie, aby ochronić dziennikarzy przed represjami.

Kreml z zaciętością tępi wszelkie próby mówienia prawdy o wojnie w Ukrainie. Bez przeszkód nadają jedynie tuby propagandowe, nazywające rosyjską agresję na sąsiadów „operacją specjalną". Propagandyści na usługach Kremla pompują w odbiorców spójny przekaz o sprawiedliwym celu „operacji": demilitaryzacji i denazyfikacji Ukrainy, uratowaniu przed ludobójstwem ludności Donbasu, zagrożonej rzekomo przez „faszystowskie władze" w Kijowie. Społeczeństwo jest chronione szczelną tarczą cenzury przed wiadomościami o stratach rosyjskiej armii, bestialskich atakach na cele niewojskowe, śmierci cywilów z rąk najeźdźców, heroicznej postawie obrońców.

Na terytorium Rosji utrudniono lub zamknięto dostęp do sieci społecznościowych Facebook i Twitter. Duma Państwowa przyjęła ustawę o drakońskich karach za „rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji o operacji specjalnej" (nawet do 15 lat łagru). Wiele ryzykują uczestnicy demonstracji antywojennych, mimo to na ulice rosyjskich miast ludzie wychodzą pod hasłem „Nie dla wojny". Tylko w czasie protestów w ostatnią niedzielę 6 marca zatrzymano co najmniej 4700 osób.

Z Rosji w proteście przeciwko inwazji na Ukrainę wycofało się wiele firm z branży samolotowej (co już w najbliższym czasie doprowadzi do paraliżu lotnictwa cywilnego w Rosji), samochodowej (m.in. VW Group, Toyota), naftowej, informatycznej, filmowej i odzieżowej. Sankcje już teraz doprowadziły do kryzysu w bankowości. Agencja Moody's przewiduje spadek PKB Rosji w tym roku o 7 procent.

©℗ ANNA ŁABUSZEWSKA

O. JAKUB GONCIARZ, DOMINIKANIN:

W Kijowie spokój

ARTUR SPORNIAK: Czy w mieście czynne są sklepy?

ARCHIWUM PRYWATNE

O. JAKUB GONCIARZ: Otwarte są sklepy spożywcze, natomiast coraz trudniej jest z różnymi towarami. Podstawowe produkty – np. chleb – można kupić. Widziałem rano, jak do pobliskiego małego sklepiku dowożą mleko, masło, śmietanę. Kto odpowiednio wcześnie przyjdzie i ustawi się w kolejce, będzie takie rzeczy mógł kupić. Jeden z naszych braci co kilka dni jeździ do miejsca, gdzie jest parę hurtowni, które wciąż działają.

Internet działa?
Tak. Telefony też. Jest prąd, gaz i woda. Dzięki temu jest też ciepło. Więc wciąż funkcjonują takie podstawowe rzeczy, które niesłychanie mocno wpływają na jakość życia i poczucie normalności.

Czy bardzo zmieniło się wasze życie zakonne?
Staramy się, żeby się ono nie zmieniło i to nam wychodzi. Odprawiamy modlitwę brewiarzową, mszę świętą sprawujemy tak jak zawsze o tej samej godzinie, mamy wspólne posiłki. Czyli staramy się trzymać rytm niby normalnego życia. Ono się jednak zmieniło, chociażby z tego względu, że mieszka u nas kilkanaście osób świeckich, które z różnych racji poprosiły o dach nad głową. To są np. nasi tercjarze ze swoimi starszymi rodzicami czy ludzie związani z naszym duszpasterstwem i Instytutem św. Tomasza. W tej chwili ludzie szukają kontaktu z innymi, nie chcą zostawać sami w swoich mieszkaniach, gdy wyją syreny.

Co robicie, gdy jest alarm bombowy – idziecie do piwnicy?
Nic nie robimy. W pierwszych dniach, gdy wyły syreny, niektórzy schodzili do piwnicy.

Na swoim blogu napisałeś: „Zbyt dużo nowin szkodzi". Myślisz o przyszłości?
Trudno teraz cokolwiek planować. Ale zbyt dużo informacji zaśmieca wyobraźnię i nie pozwala spokojniej żyć. Nie wiem, czy będziemy się słyszeć, bo właśnie wyłączyli nam prąd...

„Nowe okoliczności pozwalają w nowy sposób się modlić" – to znaczy?
Gdy modlisz się np. koronką do Boga miłosierdzia, to wiesz, że tego potrzebujesz. ©℗

O. JAKUB GONCIARZ *(ur. 1970) jest dominikaninem, duszpasterzem, mieszka w dominikańskim konwencie NMP w Kijowie. Prowadzi dziennik #czyżby_w_Kijowie.*

Pełna wersja rozmowy na **tygodnikpowszechny.pl/atak-na-ukraine**

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

BUNT

„Uważaliśmy Cię za ojca, a niektórzy nawet za wielkiego mistrza i Ojca, ale okazałeś się gorszy niż ojczym. Bóg będzie twoim sędzią" – napisali księża prawosławni Patriarchatu Moskiewskiego w Ukrainie do Cyryla, patriarchy Moskwy i całej Rusi. Już pięć eparchii (diecezji) tego Kościoła przestało wymieniać w czasie liturgii jego imię. Tymczasem na rozpoczęcie prawosławnego Wielkiego Postu patriarcha Cyryl usprawiedliwiał atak Rosji na Ukrainę organizowanymi tam paradami równości. (O Cyrylu pisze na str. 38 Anna Łabuszewska.)

WDZIĘCZNOŚĆ

„Wy, jako pierwsi, wsparliście Ukrainę, otwierając swoje granice, swoje serca i drzwi swoich domów dla Ukraińców uciekających przed wojną. (...) Jestem Wam głęboko wdzięczny i z serca Wam błogosławię!" – dziękował Franciszek Polakom podczas audiencji środowej. Jako jego wysłannicy na Ukrainę jadą przez Polskę kard. Konrad Krajewski i przez Węgry kard. Michael Czerny (na zdjęciu).

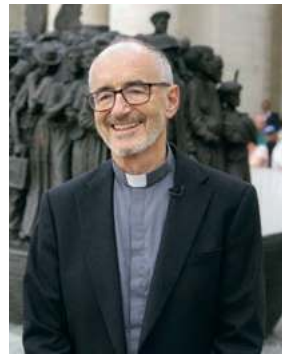

WIKIPEDIA / DOMENA PUBLICZNA

OJCOSTWO

Watykan wprowadza trzy dni płatnego urlopu dla ojców po urodzeniu dziecka. Zatrudnieni w Państwie Watykańskim ojcowie będą je mogli przyjmować kolejno lub z przerwami w ciągu 30 pierwszych dni życia dziecka. Urlop ten dotyczy również ojców adopcyjnych lub zastępczych.

Dzień Modlitwy i Pokuty z większym rozmachem

„ILEŻ AMBON BY OPUSTOSZAŁO, iluż gorliwych kaznodziejów musiałoby zamknąć swoje usta, gdyby warunkiem koniecznym otrzymania misji do głoszenia kazań była zgodność słów i czynów, gdyby składane deklaracje musiały poprzedzać konkretne działania" – mówił o znieczulicy, z którą spotykają się w Kościele osoby skrzywdzone, krakowski biskup pomocniczy Damian Muskus. W Sanktuarium św. Jana Pawła II w Krakowie 4 marca odprawiona została msza z okazji 6. Dnia Modlitwy i Pokuty za grzech wykorzystania seksualnego małoletnich.

W tym roku obchodzony w pierwszy piątek Wielkiego Postu dzień otrzymał większy rozmach – msze, modlitwy i spotkania zorganizowano w ponad dwudziestu miastach Polski (w ubiegłym roku z powodu pandemii odbyły się obchody „internetowe"). W 2020 r. Biuro Delegata KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży opracowało materiały, które miały trafić do wszystkich parafii w Polsce. W tym roku Fundacja św. Józefa sfinansowała wkładkę z informacjami o pomocy zamieszczoną we wszystkich katolickich tygodnikach (m.in. w „Tygodniku Powszechnym"). ©℗ ASK

Kolonia czy emerytura

PIĘĆ MIESIĘCY trwał przymusowy urlop kard. Rainera Woelkiego. W środę popielcową arcybiskup koloński wrócił na urząd, poprosił wiernych o wybaczenie i nową szansę oraz... poinformował o złożeniu dymisji.

W 2020 r. Woelki nie zgodził się na ujawnienie raportu o przestępstwach księży, tłumacząc to ochroną danych wrażliwych. Po roku, pod naciskiem opinii publicznej, zlecił przygotowanie nowego dokumentu, niebudzącego zastrzeżeń prawnych.

Jednak powodem urlopowania go przez Watykan nie były zarzuty o ukrywanie przestępców (raport stawiał je jego poprzednikom i współpracownikom), ale „kryzys zaufania" – wierni diecezji są podzieleni i spada ich liczba (w krytycznym roku odeszło z Kościoła ponad 17 tys. osób). Decyzja papieża nie jest łatwa do przewidzenia: w podobnych sytuacjach raz przyjmował dymisje (Francja), innym razem odrzucał (Niemcy). ©℗ EA

Więcej na: **powszech.net/woelki**

KULTURA W SKRÓCIE

W TEATRZE

Teatr Nowy Proxima wystawi sztukę o prezydencie Ukrainy Wołodymyrze Zełenskim. Tekst napisze Ziemowit Szczerek, wyreżyseruje Piotr Sieklucki, zagrają aktorzy z Ukrainy, którzy mieszkają w Krakowie albo właśnie do niego dotarli. Premiera planowana jest na koniec kwietnia.

W TELEWIZJI

Tymczasem do szwedzkiej firmy, dystrybutora słynnego serialu komediowego z Zełenskim w roli głównej, ustawiła się kolejka kilkunastu europejskich stacji chętnych do nabycia praw do jego emisji. Tantiemy przekazane zostaną ukraińskiemu Czerwonemu Krzyżowi. „Sługę narodu" można na razie oglądać na YouTubie. Film opowiada o perypetiach nauczyciela historii Wasyla Pietrowicza Gołoborodko, wroga oligarchów, który został prezydentem.

Z POMOCĄ

Ukraińscy artyści, pisarze i tłumacze otrzymują na bieżąco wsparcie wielu polskich instytucji kultury. Wrocławski Dom Literatury oraz Instytut Książki poza dachem nad głową zapewniły gościom granty i pracę. Staromiejski Dom Kultury i Miasto Stołeczne Warszawa ogłosiły swój program stypendialny – formularz zgłoszeniowy znajduje się na stronie sdk.pl. Listę instytucji wspierających artystów znaleźć można także na stronie MKiDN w zakładce „Dla Ukrainy".

RDC POLSKIE RADIO

MARIA HAWRANEK opowie Grzegorzowi Chlaście o tym, dlaczego małe surykatki trzymają kciuki za to, żeby coś zeżarło ich mamę (czytaj na s. 68). Słuchaj rozmowy w Polskim Radiu RDC w środę 9 marca o godzinie 7.30. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia – www.rdc.pl
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

KEYZA WIDIATMIKA / NURPHOTO VIA GETTY IMAGES

BALIJSKI NOWY ROK nazywany jest Dniem Ciszy. Według kalendarza balijskiego jest świętem ruchomym i przypada w dniu następującym po nowiu dziewiątego miesiąca księżycowego. W tym roku był to 3 marca. Nie można rozpalać ognia, podróżować, należy też wstrzymać się od pracy. Zamknięte jest nawet międzynarodowe lotnisko Ngurah Rai. Radość zaczyna się nazajutrz. W rytuale mabuug-buugan mieszkańcy nacierają się błotem, które symbolizuje ziemię i wodę jako źródła życia. Tradycja ta wyraża wdzięczność bogu za otrzymane dary. Na zdjęciu rdzenni mieszkańcy wioski Kedonganan, 4 marca 2022 r. ©℗ JT

Ile nas będą kosztować zmiany klimatyczne

28 LUTEGO ukazała się druga część raportu Międzyrządowego Zespołu do spraw Zmian Klimatu (IPCC). Cały ów raport to systematyczne podsumowanie wszystkiego, co wiadomo dziś na temat zmian klimatu. Przygotowują go latami setki naukowców, wyrażając w ten sposób „głos globalnej nauki". Druga część dokumentu, 3676 stron, poświęcona jest skutkom zmian klimatycznych, możliwościom naszej adaptacji i słabym punktom ludzkości.

Dokument ten to niezwykłe połączenie ogólnego, planetarnego wręcz oglądu z kalejdoskopem perspektyw lokalnych. Wyliczono przykładowo, ile kosztować będzie dostosowanie portów na całym świecie do podnoszącego się poziomu oceanów (220-770 mld dolarów do 2050 r.) oraz ile osób mieszka w regionach mogących ulec zalaniu (896 mln). Z drugiej strony, ramki tematyczne szczegółowo opisują perspektywy dla mieszkańców Wenecji, rdzennych szwedzkich pasterzy reniferów czy mieszkańców delty Gangesu.

Niech nie zwiedzie nas spokojny ton IPCC. To głos lekarza: na pewno będą problemy, a im bardziej stanowczo zareagujemy, tym będą one mniejsze. Bezczynność odpada. W październiku ukaże się trzecia część ze scenariuszami przeciwdziałania zmianom – od słów do czynów. ©℗ ŁL

Zatrzymać plastik

CO ROKU DO OCEANU TRAFIA 8 MLN TON plastikowych odpadów – w przeliczeniu jedna ciężarówka na minutę. Gdyby nic się nie zmieniło, do 2050 r. w wodach na całym świecie pływałoby już więcej ton plastiku niż ton ryb. I choć jest on materiałem, który można przetwarzać, mniej niż 10 proc. wyprodukowanego dotąd plastiku zostało poddanych recyklingowi. O istnieniu problemu zanieczyszczenia plastikiem, a także negatywnym wpływie plastikowych odpadów na środowisko i nasze zdrowie, świat wie od dawna. Wreszcie postanowił coś z tym zrobić.

2 marca 175 państw przy ONZ ogłosiło rozpoczęcie prac nad traktatem, który ustali globalne zasady wytwarzania, wykorzystania i przetwórstwa plastiku, co ma doprowadzić do drastycznego spadku jego produkcji. Do 2024 r. mają zostać ustalone szczegóły – m.in. rozwiązania prawne i sposoby finansowania zmian.

Nowy traktat byłby przełomem porównywalnym z porozumieniem paryskim z 2015 r., którego celem jest zatrzymanie katastrofy klimatycznej. Zresztą plastik nie jest klimatycznie neutralny – jego produkcja odpowiada za ok. 4 proc. światowych emisji gazów cieplarnianych. ©℗ ŁK

TEMAT TYGODNIKA

GENYA SAVILOV / AFP / EAST NEWS

Na dworcu kolejowym w Kijowie, 5 marca 2022 r.

ZA NASZE DZIŚ, ZA WASZE JUTRO

Dzięki swojej nieustępliwości i pozostaniu w kraju Wołodymyr Zełenski został najbardziej popularnym przywódcą w historii niepodległej Ukrainy.

PAWEŁ PIENIĄŻEK Z KIJOWA

Dziesiątego dnia rosyjskiej inwazji 38-letnia Kristina Berdynskych nareszcie odwiedziła swój dom. Postanowiła zabrać trochę zapasów, które zostawiła w mieszkaniu, ale przede wszystkim ukraińską flagę, dwie tradycyjne wyszywane koszule i kolekcję magnesów na lodówkę przywiezionych z podróży.

Berdynskych jest jedną z najlepszych dziennikarek politycznych w Ukrainie. Pisze dla tygodnika „Nowoje Wremia". Niewielu pracowników zostało w jej kijowskiej redakcji. Niektórzy wyjechali do zachodniej Ukrainy, inni dołączyli do obrony terytorialnej.

Rosja rozpoczęła zmasowany atak 24 lutego. Jej kluczowym celem jest zajęcie stolicy i zainstalowanie w niej marionetkowego rządu. Kijów, podobnie jak inne ukraińskie miasta, stał się celem ataków rakietowych, a na jego obrzeżach szybko rozgorzały zacięte walki.

Nie przegapić zwycięstwa

Od razu po rozpoczęciu starć Berdynskych zdecydowała, że uda się na stację metra w pobliżu domu jej matki. To właśnie z nią i siostrzenicą nocuje pod ziemią. W czasie ataku rakietowego czy nalotu metro gwarantuje bezpieczeństwo.

W pierwszych dniach inwazji dziennikarka rozważała wyjazd z Kijowa. Wielu zagranicznych kolegów nakłaniało ją, by opuściła miasto, a najlepiej kraj. Może przystałaby na ich prośby, gdyby nie to, że w Kijowie pozostał prezydent. Wołodymyr Zełenski regularnie nagrywał filmiki, na których on wraz z otoczeniem pokazywali, że są na miejscu. Stany Zjednoczone miały proponować mu ewakuację. Według agencji Associated Press, powołującej się na źródła w amerykańskim wywiadzie, Zełenski miał na nią odpowiedzieć: „Potrzebuję amunicji, nie podwózki".

– Początkowo się przestraszyłam i poważnie myślałam o wyjeździe – mówi Berdynskych. – Jednak zmieniłam zdanie, gdy zobaczyłam, że władze są na miejscu. Nikt nie ucieka, a do obrony Kijowa przykłada się ogromną uwagę. Zostałam, bo nie chcę przegapić dnia zwycięstwa. Wtedy wyjdę z metra i będę wszystko opisywać.

Codziennie Zełenski zwraca się do Ukraińców i podczas kilkuminutowego orędzia, w wojskowej koszulce, wyjaśnia bieżącą sytuację. Apeluje też ↦

↦ do zagranicy. Reaguje na wydarzenia niezależnie od pory dnia. Orędzia publikowane są nie tylko w tradycyjnych środkach przekazu, ale także w mediach społecznościowych. Dzięki temu mieszkańcy nie zostają w informacyjnej pustce. Wielu Ukraińców dopiero w trakcie tej wojny dostrzegło w Zełenskim męża stanu.

Nowy w polityce

W 2019 r. debiut polityczny Zełenskiego odbił się szerokim echem. Wygrał w drugiej turze wyborów prezydenckich z olbrzymią, historyczną przewagą. Otrzymał 73 proc. głosów. Wcześniej nie angażował się w politykę. Był aktorem, komikiem i właścicielem studia filmowego Kwartał 95. W serialu „Sługa narodu" wcielił się w rolę nauczyciela, który zostaje prezydentem. Następnie sam wystartował w wyborach i tak samo jak produkcję telewizyjną nazwał swoją partię.

Zełenski obiecywał wiele. Każdy widział w nim to, co chciał. Wśród jego elektoratu znajdowali się ci orientujący się na Zachód, ale też tacy, którzy chcieli zbliżenia z Rosją; zwolennicy NATO i przeciwnicy sojuszu; uczestnicy protestów na Majdanie i ci patrzący na nie krytycznie. Przedstawiał się jako prosty chłopak z Krzywego Rogu, miasta na południu. W kampanii skupił się nie na billboardach i spotach wyborczych, tylko na mediach społecznościowych. Nieprzypadkowo największą część jego elektoratu stanowili ludzie poniżej 30. roku życia.

Zełenski chciał zerwać ze skorumpowaną elitą, więc wprowadził do parlamentu i rządu ludzi wcześniej niezwiązanych z polityką. W związku z tym mandat Rady Najwyższej otrzymało wiele przypadkowych osób. Zapowiadał, że zmieni budynek, w którym znajduje się administracja prezydenta, bo tamten wzbudza złe skojarzenia. Chciał digitalizować kraj, przenieść wszystko do aplikacji na smartfona i rządzić za pomocą referendów.

Najbardziej naiwną częścią jego programu okazała się wiara, że za pomocą negocjacji, ale bez zgniłych kompromisów, uda się zakończyć wojnę w Donbasie, która wybuchła w 2014 r. i w rezultacie której zginęło ponad 13 tys. osób. Wielu Ukraińców obawiało się, że Zełenski ma zbyt mało doświadczenia, by poradzić sobie w rozmowach z Kremlem, i pójdzie na zbyt daleko idące ustępstwa.

PAWEŁ PIENIĄŻEK X2

FEDIR WENISŁAWSKI, współpracownik prezydenta, mówi, że dla morale Ukraińców kluczowe jest, aby władza pozostała na miejscu, w stolicy. Kijów, 28 lutego 2022 r.

Szybko jednak okazało się, że doświadczenie nie miało znaczenia, bo po stronie rosyjskiej nie było chętnych do dialogu.

Murem za prezydentem

Jeszcze dwa tygodnie temu Berdynskych spodziewała się, że w tym roku kluczowym tematem politycznym będzie w Ukrainie „deoligarchizacja", którą zapowiadał prezydent. Dziennikarka krytycznie oceniała działania Zełenskiego w polityce wewnętrznej. Prezydent nie wydawał się szczególnie przejmować korupcją, którą Berdynskych od lat śledziła w politycznych kręgach.

– Pod tym względem ostatnio wszystko toczyło się źle – twierdzi moja rozmówczyni.

I podaje przykład: nie powołano szefa Specjalnej Prokuratury Antykorupcyjnej. Zapowiadały się także kontrowersje wokół wyboru przewodniczącego Narodowego Biura Antykorupcyjnego Ukrainy. Dużo większym priorytetem dla Zełenskiego było budowanie infrastruktury, m.in. w ramach programu „Wielkie Budownictwo", dzięki któremu – według oficjalnych danych – w ciągu minionego roku wybudowano lub wyremontowano ponad 7 tys. kilometrów dróg, dziesiątki szkół, przedszkoli czy szpitali.

O wojnie na pełną skalę zagraniczne wywiady ostrzegały od miesięcy, ale początkowo wydawało się, że Zełenski i reszta przedstawicieli władzy bagatelizują zagrożenie. Stopniowo jego przemówienia stawały się jednak coraz bardziej alarmujące. Prezydent wzywał świat do powstrzymania przelewu krwi.

Dla Berdynskych wizerunek Zełenskiego zmienił się zupełnie, gdy 19 lutego prezydent wystąpił na konferencji bezpieczeństwa w Monachium. W swoim stylu prosił świat o działanie, nie przebierał w słowach: „Będziemy bronić swojej ziemi. Mając wsparcie partnerów czy nie mając. Dają nam setki sztuk współczesnej broni albo pięć tysięcy hełmów. Cenimy każdą pomoc, ale wszyscy muszą zrozumieć, że to nie są datki na cele charytatywne, o które Ukraina ma prosić czy o których ma przypominać. To nie są szlachetne gesty, za które Ukraina ma się nisko kłaniać. To wasz wkład w bezpieczeństwo Europy i świata. Gdzie Ukraina od ośmiu lat jest tarczą".

– Czuło się, że to był krzyk jego duszy – mówi Berdynskych. – Wtedy zobaczyłam Zełenskiego czasu wojny.

Od momentu eskalacji konfliktu trudno w Ukrainie znaleźć krytyków prezydenta. Sondaże ośrodka badania opinii publicznej Rejtinh, przeprowadzone już po rosyjskiej agresji, wskazują, że działania Zełenskiego popiera 91 proc. respondentów. To niemal trzykrotnie więcej niż w grudniu 2021 r. Nawet partie opozycyjne demonstrują niespotykaną wcześniej jednomyślność.

Moment zjednoczenia

Przewodnicząca frakcji parlamentarnej Głos Ołeksandra Ustinowa do końca wahała się, czy opuścić kraj. Była w zaawansowanej ciąży. Jej mąż od trzech lat mieszka w Stanach Zjednoczonych. Chciała być w tym czasie obok rodziny. Ostatecznie przekonali ją znajomi, więc wzięła urlop macierzyński i wyjechała na dwa tygodnie przed inwazją, gdy jeszcze powszechnie sądzono, że do niej nie dojdzie.

Ustinowa od lat zajmuje się działalnością antykorupcyjną, a dopiero od 2019 r. zaangażowała się w politykę i w wyborach otrzymała mandat do Rady Najwyższej. Była zaciętą krytyczką prezydenta. – Teraz nie ma opozycji. Nigdy nie widziałam takiej jedności, nawet wśród polity-

ków – twierdzi. – Wszyscy są razem przeciwko Putinowi.

Deputowana chwali przygotowania do wojny z punktu widzenia finansów publicznych. Działają banki, a hrywna osłabła nieznacznie, nieporównywalnie mniej niż rosyjski rubel, który stracił na wartości w rezultacie sankcji nałożonych przez Zachód.

Do 24 lutego Zełenski i jego otoczenie twierdzili, że sytuacja jest pod kontrolą i wszystko będzie dobrze. Była to strategia mająca na celu wstrzymanie odpływu inwestorów i spadku aktywności ekonomicznej. Otoczenie prezydenta do samego końca trzymało informacje o nadciągającej wojnie w wąskim gronie. – Parlamentarzyści dowiedzieli się o wojnie w tym samym czasie, co wszyscy inni – twierdzi Ustinowa.

Koniec zabaw w dyplomację

Ustinowa mówi jednak o pewnych niedociągnięciach w przygotowaniach do wojny. Np. o tym, że obronie terytorialnej – do której w ciągu pierwszych dziesięciu dni wojny zapisało się 100 tys. osób – brakuje uzbrojenia, kamizelek kuloodpornych i hełmów. Uważa, że zaopatrzenie dla Kijowa mogłoby być lepiej przygotowane – jeśli dojdzie do otoczenia stolicy przez rosyjskie wojska, sytuacja w mieście szybko może stać się trudna. Generalnie jednak Ustinowa przekonuje, że decyzje prezydenta i jego otoczenia nie pozostawiają dużo miejsca na krytykę.

– Prezydent Zełenski budzi ogromny szacunek, i to nie tylko w Ukrainie – mówi Ustinowa. – Każdy, kogo spotykam w Stanach Zjednoczonych, wie, kto to Zełenski, i jest nim zachwycony.

Deputowana twierdzi, że najmniej fascynują się nim zagraniczni przywódcy, bo stawia ich w niewygodnej sytuacji. Nie jest typem zawodowego polityka, który będzie mówił to, co każdy chce usłyszeć, i nie postępuje wedle ściśle określonych zasad protokołu dyplomatycznego. – On wychodzi i mówi prawdę – twierdzi Ustinowa. – Prezydent walczącego kraju mówi, że będą się bić sami, ale w tym potrzebna jest pomoc. To trafia do ludzi.

Według sondażu Reuters/Ipsos 74 proc. respondentów popiera wprowadzenie strefy zakazu lotów nad Ukrainą, co oprócz dostarczania broni jest głównym postulatem władz Ukrainy. Natomiast 80 proc. twierdzi, że Stany Zjednoczone powinny przestać kupować rosyjską ropę.

KRISTINA BERDYNSKYCH, dziennikarka, chwali prezydenta za to, że do ostatniej chwili przed ponowną rosyjską inwazją dbał o stan ukraińskiej gospodarki. Kijów, 5 marca 2022 r.

– Choć ludzie popierają ten postulat, władze na Zachodzie boją się, że wpłynie to na ceny tego surowca, a tym samym na ich poparcie. Oni dalej bawią się w politykę, ekonomię i dyplomację – twierdzi Ustinowa. – Prezydent Zełenski nie gra w dyplomację, nie wychodzi dziękować za pomoc materialną, tylko przypomina, że mamy polityczne umowy.

Ustinowa ma na myśli memorandum budapeszteńskie z 1994 r., pod którym oprócz Ukrainy podpisy złożyły Rosja, Stany Zjednoczone i Wielka Brytania. W jego myśl Ukraina zgodziła się na przekazanie arsenału nuklearnego, a w zamian otrzymała obietnicę poszanowania niezależności i suwerenności granic.

Bez zakazu lotów

Prawnik, wykładowca akademicki, weteran wojny w Donbasie Fedir Wenisławski jest deputowanym do Rady Najwyższej z ramienia Sługi Narodu oraz przedstawicielem prezydenta w Sądzie Konstytucyjnym. Jeszcze do niedawna chodził w garniturze. Teraz nosi mundur. Spotykamy się niedaleko siedziby Zełenskiego.

– Prezydent przebywa w swoim biurze – mówi Wenisławski. – Ma tam zapewnione bezpieczeństwo niezależnie od warunków. Podobnie jest z rządem. Ministrowie są rozmieszczeni w różnych miejscach.

Mój rozmówca twierdzi, że tylko w pierwszych dniach mieli problemy z komunikacją, a potem przystosowali się do funkcjonowania w warunkach wojny. Sam jest w ciągłym kontakcie z szefami kilku ministerstw. Regularnie zbiera się też parlament. Wenisławski twierdzi, że dzielnica rządowa działa w trybie roboczym. Jedyna zmiana to posterunki i patrole, których pojawiło się wiele w okolicy i które legitymują napotkanych ludzi. – To ważne, by pokazywać ludziom, że władza jest na miejscu, działa, nikt się nie boi i nie zamierza nigdzie uciekać – przyznaje. Zapewnia też, że sytuacja w kraju jest pod kontrolą, a Kijów nigdy nie zostanie zdobyty.

Wenisławski przyznaje jednak, że Rosja ma przewagę w powietrzu i atakuje wciąż Ukrainę rakietami. Obrońcy nie są w stanie odpierać wszystkich ataków. – Jeśli kraje NATO uchwaliłyby decyzję o strefie zakazu lotów, przegnalibyśmy Rosjan bardzo szybko – twierdzi deputowany.

Państwa euroatlantyckie nie chcą jednak podjąć takiej decyzji, zdając sobie sprawę, że oznaczałoby to ich bezpośrednią konfrontację z Rosją. 6 marca Zełenski zwrócił się do przywódców Zachodu w orędziu opublikowanym po ostrzale rakietowym lotniska w Winnicy. Powiedział o wprowadzeniu strefy zakazu lotów: „Jeśli tego nie zrobicie, jeśli nie dacie nam choćby samolotów, żebyśmy mogli się sami obronić, to można wyciągnąć z tego tylko jeden wniosek: wy też chcecie, żeby nas bardzo powoli zabijano”.

■■■

Kristina Berdynskych na wieczór wraca do metra. Walki na północny zachód od Kijowa w ostatnich dniach się nasilają. Pewnie nieprędko będzie mogła wrócić do domu. Nie ma jednak wątpliwości, że prędzej czy później tak się stanie.

– Jeśli Ukraina wygra tę wojnę, Zełenski przejdzie do historii. To oczywiście też ryzyko, bo będzie mógł tu robić, co tylko zechce, skoro uratował kraj przed utratą niepodległości – mówi Berdynskych.

Ale sama będzie mu gotowa wszystko wybaczyć.

©℗ PAWEŁ PIENIĄŻEK

Tekst ukończono 7 marca rano.

Ten kraj jest i będzie

WOJCIECH KONOŃCZUK

Wszystko idzie nie tak, jak planował Kreml. Ukraińcy codziennie pokazują Putinowi, że atakując ich kraj popełnił najgorszy błąd w swoim życiu.

Mija drugi tydzień rosyjskiej napaści na Ukrainę. Miała to być wojna błyskawiczna – szybkie zniszczenie ukraińskiej armii i infrastruktury wojskowej, zastraszenie ludności, zajęcie głównych miast z Kijowem na czele, co miało pozwolić Rosji na zmianę władzy. Jednak „demilitaryzacja i denazyfikacja" – bo tak się nazywają kluczowe cele tej wojny w kremlowskiej propagandzie – jest daleka od sukcesu.

Rosyjskie jednostki walczące na Ukrainie, w sile 150-170 tys. żołnierzy, próbują kontynuować ofensywę na wszystkich kierunkach. Przedstawmy szybko, jak wygląda sytuacja po pierwszej fazie wojny.

Ambasador pozostaje

Na południu Rosjanom udało się zająć Chersoń, trwa oblężenie 400-tysięcznego Mariupola, natarcie zbliża się do Zaporoża. Od strony Donbasu tzw. separatyści odnoszą umiarkowane sukcesy, przesuwając linię frontu głównie w obwodzie ługańskim. Na północnym wschodzie trwa oblężenie Charkowa i Sum. Wreszcie, na północy siły rosyjskie podeszły na przedmieścia Kijowa, paląc po drodze kilka miast znajdujących się na jego przedpolu (m.in. Bucz i Irpień).

Okrążenie i zajęcie ukraińskiej stolicy pozostaje kluczowym celem Rosjan. Kijów przygotowuje się na najgorsze, ale jest to miasto niemożliwe do okupowania. Rosja może go zniszczyć, znieść z powierzchni ziemi, ale nie będzie w stanie nim zawładnąć. W tym 3,5-milionowym mieście, które przestało normalnie funkcjonować, trwa wielka mobilizacja. Już 80 proc. mieszkańców deklaruje, że zamierza bronić kraju z bronią w ręku (w tym 70 proc. kobiet).

Warto zwrócić uwagę, że jedynym zachodnim ambasadorem, który nie opuścił Kijowa, jest Polak Bartosz Cichocki. Jest w tej – wydawałoby się szaleńczej – decyzji znamienny symbolizm. Polska była pierwszym państwem świata, które uznało ukraińską niepodległość, teraz pokazuje, że będzie z Ukrainą niezależnie od tego, co miałoby się wydarzyć.

W ostatnich kilkunastu dniach dowiedzieliśmy się, że diagnoza opisująca Kijów dotyczy również wielu innych miast na południowym wschodzie Ukrainy. Miast, których mieszkańcy mówią na co dzień po rosyjsku, ale nie czyni to z nich – i już nie uczyni – ośrodków rosyjskich. To Charków, Sumy, Mikołajów, Odessa, Nowa Kachowka, Melitopol. Nawet w zajętym Chersoniu trwają wielotysięczne demonstracje przeciwko okupantowi. Co istotne, w żadnej części Ukrainy nie doszło do kolaboracji z okupantem. Zdecydowanie nie tego spodziewał się, porażony antyukraińską obsesją, pan z Kremla.

Cywile pod ostrzałem

Rośnie potencjał ukraińskich sił zbrojnych, które powiększyły się z 250 tys. do 350 tys. żołnierzy. Do obrony terytorialnej wstępują tysiące ochotników, także tych, którzy naprędce wracają z zagranicy. Utrzymywanie przez armię ukraińską pozycji – choć niektórzy uznawali, że zostanie zniszczona w ciągu góra kilku dni – sprawia, że 88 proc. Ukraińców wierzy, że uda się odeprzeć najazd rosyjski. Wiara w zwycięstwo jest ważną częścią każdej wojny obronnej. Władze już czwartego dnia agresji rozpoczęły tworzenie legionu międzynarodowego, do którego może wstąpić każdy cudzoziemiec chcący ramię w ramię z Ukraińcami walczyć przeciw Rosji. Napłynęło już niemal 20 tys. zgłoszeń z 52 państw świata.

W związku z brakiem oczekiwanych sukcesów z każdym dniem rośnie brutalność sił rosyjskich. Ostrzał dzielnic mieszkaniowych w wielu miastach stał się codziennością. Choć Kreml wciąż kłamie, że nie atakuje obiektów cywilnych, to nie ulega wątpliwości, że celem jest zastraszenie ludności, wywołanie katastrofy humanitarnej w oblężonych miastach, co miałoby doprowadzić do kapitulacji Ukrainy. Najgorsza sytuacja jest w Mariupolu, od kilku dni pozostającym bez wody i światła. Mimo porozumienia o utworzeniu korytarza humanitarnego, Rosjanie w weekend nie dotrzymali słowa. Pogarsza się również sytuacja półtoramilionowego Charkowa, z którego próbują uciekać tysiące ludzi.

Kolejnym celem Kremla jest spowodowanie ogromnego kryzysu uchodźczego. Według stanu na poniedziałek 7 marca, z Ukrainy uciekło około 1,8 mln ludzi, w tym nieco ponad milion do Polski. Jeśli obecne tempo wyjazdów się utrzyma, tylko w naszym kraju co tydzień będzie przybywać około miliona Ukraińców. Katastrofy uchodźczej na tak wielką skalę Europa nie znała od 1945 r.

Władze ukraińskie stanowczo odmawiają możliwości spełnienia warunków rosyjskich. Prezydent Zełenski wykazuje niezwykłą sprawność w czasie wojny, bez wątpienia Kijów wygrywa również wojnę informacyjną, strona rosyjska zaś nie jest w stanie w jakikolwiek przekonujący sposób temu przeciwdziałać. Sympatia świata jest po stronie ukraińskiej.

Dwu- lub trzykrotne codzienne wystąpienia Zełenskiego do narodu znajdą miejsce w historii sztuki wojennej, w rozdziale pod tytułem „Jak efektywnie komunikować się z własnym społeczeństwem podczas agresji". Ukraiński prezydent nie tylko dodaje ducha, zagrzewa do walki, nagradza bohaterów, ale też nieustannie mobilizuje Zachód do dalszej pomocy. Regularnie przemawia również do społeczeństwa rosyjskiego oraz do Kremla. W jednym z ostatnich wystąpień stwierdził: „Mówię do Rosji – uczcie się słów reparacja i kontrybucja. Zapłacicie za wszystko, za wszystko, co nam zrobiliście". Gdy ta wojna w końcu się skończy, przed Ukrainą stanie gigantyczny problem związany z odbudową kraju. Podnoszenie kwestii przyszłych reparacji wojennych jest słuszne. Podobnie jak dokumentowanie coraz powszechniejszych rosyjskich zbrodni. Rozliczenie odpowiedzialnych za wywołanie i prowadzenie tej wojny będzie wielkim sprawdzianem dla świata.

Putin się przeliczył

Pytanie, które stawiają sobie teraz Ukraińcy i reszta świata, dotyczy tego, ile ten konflikt może jeszcze potrwać. Sygnały

EMILIO MORENATTI / AP / EAST NEWS

Uciekinierzy z Kijowa pod mostem zniszczonym w wyniku rosyjskiego nalotu czekają na ewakuację. Irpień, przedmieścia ukraińskiej stolicy, 5 marca 2022 r.

z Kremla każą sądzić, że mimo oczywistego fiaska pierwotnych rosyjskich planów Rosja zamierza iść w zaparte. Putin powtarza, że „wszystko idzie zgodnie z planem", co ma jednak służyć maskowaniu faktycznych niepowodzeń. Mimo że na Białorusi trwają negocjacje rosyjsko-ukraińskie, a w pośrednictwo w zakończenie wojny zaangażowały się Izrael i Turcja, państwa utrzymujące poprawne relacje z Moskwą, to nic nie wskazuje na rewizję planów Kremla.

Wojna z Ukrainą jest dla Putina także walką o utrzymanie władzy. Na to, że Moskwa przygotowuje się do długiego konfliktu, wskazują również postępujące w błyskawicznym tempie zmiany w samej Rosji. Od wybuchu konfliktu władze rosyjskie spacyfikowały resztki wolnych mediów. Oczywistym celem jest „uszczelnienie" przestrzeni medialnej, aby utrudnić przebijanie się przekazu innego niż ten zaaprobowany przez Kreml. O wojnie media mogą informować tylko według oficjalnej wersji władz, co jest klasyczną cenzurą. Trwają również działania na rzecz dalszej „suwerenizacji" rosyjskiego internetu, co oznacza jego izolowanie od informacji z zewnątrz.

Zmieniono też kodeks karny – za udział w wiecach antywojennych grozi teraz do 6 lat więzienia, a za rozpowszechnianie „fejków" na temat działań armii rosyjskiej 15 lat. Dopowiedzmy, że tym głównym „fejkiem" jest twierdzenie, iż na Ukrainie trwa nie rosyjska agresja, ale „operacja wojenna". Według sondaży ponad 60 proc. Rosjan wierzy w wersję wydarzeń prezentowaną przez Kreml. Protesty antywojenne są nieliczne, bo udział w nich wymaga heroicznej postawy. W całej Rosji do aresztów wysłano już tysiące ich uczestników. Jednocześnie Kreml podejmuje działania na rzecz konsolidowania Rosjan wokół siebie, co jest kolejnym potwierdzeniem, że przygotowuje się do długiej wojny. Jej efektem już jest zamiana państwa w dyktaturę wojenną o coraz mocniejszym zabarwieniu totalitarnym.

Na Zachodzie trwają gorączkowe dyskusje o dalszych sankcjach na Rosję. Te nałożone po wybuchu wojny, choć bardzo mocne, nie doprowadziły (tu akurat bez zaskoczeń) do zmiany działania Moskwy. Jest to jednak kolejne potwierdzenie, że Putin przekalkulował – spodziewał się sankcji, ale nie tak potężnych. Liczył bardziej na to, że – w jego percepcji – słaby i podzielony Zachód nie będzie w stanie tak szybko i tak zdecydowanie odpowiedzieć na rosyjską agresję.

Na wojnie z Zachodem

Już wprowadzone sankcje mają niszczący wpływ na gospodarkę rosyjską i w perspektywie kilku miesięcy mogą doprowadzić ją na skraj bankructwa. Dlatego też Putin stwierdził bez ogródek, że „Rosja jest na wojnie z Zachodem". Słowa te jednak w istocie niczego nie zmieniają, bo wiadomo o tym od dawna. Kolejne sankcje, które będą kwestią czasu, zapewne wpłyną na co najmniej ograniczenie zakupu rosyjskiej ropy, czyli kluczowego źródła dochodów do budżetu rosyjskiego (około 30 proc. wpływów). O ile zrezygnowanie z importu gazu jest niemożliwe ze względu na brak alternatywnych źródeł dostaw i niezbędnej infrastruktury, o tyle jest to możliwe w sferze naftowej. Wciąż powraca również sprawa pełnego odłączenia Rosji od systemu SWIFT. Wbrew wciąż pokutującym na Zachodzie iluzjom, jedynie „nuklearne" uderzenie sankcyjne, którego efektem będzie natychmiastowy kryzys, może uruchomić w społeczeństwie rosyjskim niekorzystne procesy dla Kremla.

Coraz szerszym strumieniem płyną dostawy broni dla Ukrainy. Kijów wciąż naciska, aby Zachód podjął decyzję o zamknięciu przestrzeni powietrznej nad Ukrainą, co miałoby uniemożliwić ostrzał ukraińskich miast. Nie ma jednak na to zgody ani w Unii Europejskiej, ani w USA, gdyż wyegzekwowanie tego zakazu oznaczałoby konieczność zestrzeliwania rosyjskich samolotów, co równałoby się przystąpieniu do wojny z Moskwą.

Rosyjska agresja na Ukrainę już wywołała potężny kryzys na skalę europejską, który w najbliższym czasie będzie się tylko pogłębiał. Rosja nie wygra tej wojny, ale pytanie o czas i liczbę ofiar jest niestety otwarte. Niezwykle wysoką cenę płacą za to Ukraińcy, choć każdy dzień tej wojny jedynie potwierdza, że Ukraina jest i będzie. ©

JACEK TARAN

Antyukraiński komunikat po rosyjsku, ukraińsku i polsku, zamieszczony przez hakerów na państwowych witrynach Ukrainy 14 stycznia 2022 r. Wzmianki m.in. o Wołyniu i UPA miały fałszywie wskazywać na autorstwo Polaków.

Tajny front

AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

Batalie tej wojny prawie nigdy nie trafiają do mediów. Cyberwojna jest niebywale niszczycielska i nie uznaje żadnych granic. Chce sięgać nawet do naszych głów.

Mówi, że jest rosyjskim patriotą, chociaż zaznacza, że nie jest zwolennikiem Władimira Putina. Pracuje w firmie informatycznej. Gdyby szef wiedział, co robi po pracy, toby go wylał. Siergiej (to oczywiście nie jest jego prawdziwe imię) i jego grupa hakerska The Red Bandits od pierwszych dni wojny codziennie atakowali ukraińskie strony rządowe. Starali się je zablokować i wykradać dane.

– Jeśli siły rosyjskie zaczną bombardować Ukrainę i zabiją tysiące ludzi, nie sądzę, byście musieli się nas obawiać. Wycofamy się – zastrzega. Dodaje, że zdjęć ze zbombardowanych ukraińskich miast stara się nie oglądać. – Nie chcę widzieć, jak cierpią niewinni ludzie – tłumaczy. – To mnie boli, jak każdego. Ale jeśli cierpieć będą także Rosjanie, niewinni Rosjanie, będziemy eskalować ataki.

– A ile macie lat?

– Wszyscy powyżej 19.

Ta wojna miała się zacząć całkiem inaczej. Jej scenariusz był szczegółowo planowany i przećwiczony. Najpierw Ukrainę miał ogarnąć chaos, a Zachód niepewność, co się tam właściwie dzieje, i strach o własne interesy. Później miały się zacząć spory w państwach europejskich i USA, podsycane precyzyjnie skrojonymi fake newsami, rozsiewanymi przez prorosyjskie media i na portalach społecznościowych. Dopiero wtedy miała ruszyć inwazja. Ukraińcy zapewne nawet nie do końca wiedzieliby, co się w ich kraju dzieje, a pozbawieni zachodniej pomocy, nie mieliby się czym bronić. CIA tuż przed rozpoczęciem inwazji ostrzegała, że Rosja będzie chciała zainstalować w Kijowie marionetkowy rząd.

Wiele wskazuje na to, że nie zadziałał tylko jeden element ułożonej na Kremlu układanki. A reszta zaczęła się wtedy sypać jak domek z kart.

Maskirowka

Początkowo w ukraińskiej sieci nie działo się nic nadzwyczajnego, przynajmniej jak na cyberprzestrzeń Ukrainy. Tylko w zeszłym roku doszło tam do ponad 280 tys. cyberataków, więc 14 stycznia, gdy zaczął się kolejny, wymierzony w strony instytucji państwowych, w zasadzie nikogo to nie zdziwiło. Służby szybko i sprawnie odpowiedziały na zagrożenie i już wieczorem podano, że nie doszło do wycieku danych, a zaatakowane witryny znów działają.

Ten atak, na pierwszy rzut oka nie bardziej wyrafinowany niż wybazgranie budynku sprayem, był zasłoną dymną. Podczas gdy hakerzy prowadzili tzw. atak DDoS, czyli generowali sztuczny ruch, by zablokować atakowane ukraińskie strony, na dziewięciu innych, w tym tych należących do resortów spraw zagranicz-

nych i obrony, napastnicy zamieścili obrazek z tekstem w językach rosyjskim, ukraińskim i polskim. Pisownia oryginalna: „Ukrainiec! Wszystkie Twoje dane osobowe zostały przesłane do wspólnej sieci. Wszystkie dane na komputerze są niszczone, nie można ich odzyskać. Wszystkie informacje o Tobie stały się publiczne, bój się i czekaj na najgorsze. To dla Ciebie za twoja przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, za Wołyń, za ON UPA, Galicje, Polesie i za tereny historyczne".

Hakerzy, którzy zamieścili ten komunikat, zadbali, by nie tylko jego treść wskazywała na sprawców z Polski. Potwierdzać to miały także sfałszowane metadane obrazka, wskazujące, że powstał na parkingu warszawskiej SGH, tuż obok siedziby Sztabu Generalnego Wojska Polskiego. Na tak szytą prowokację służby ukraińskie oczywiście nabrać się nie dały. Zresztą, jak twierdzi Oleh Derevianko, ekspert sektora IT, Ukraińcy zawsze się obawiali, że za takimi „hałaśliwymi" atakami może się kryć coś znacznie poważniejszego.

– Rosjanie mają doskonale opracowaną maskirowkę. Jeżeli coś wygląda na duży atak, to nie zawsze znaczy, że to atak właściwy. Oni się w tym lubują – dodaje Krzysztof Kaliński, ekspert ds. cyberterroryzmu z Centrum Badań nad Terroryzmem im. Krzysztofa Liedela w Collegium Civitas. W tle tych dwóch ataków dokonywał się trzeci. Mógł przesądzić o losach wojny, w której jeszcze nie padł pierwszy strzał.

Globalny poligon

WhisperGate przypomina oprogramowanie, które blokuje dostęp do systemu komputerowego i żąda od ofiary okupu. Podobny rosyjski wirus, NotPetya, który w 2017 r. sparaliżował Ukrainę i rozlał się od Indii po USA, spowodował na całym świecie szkody o wartości 10 mld dol. Tyle że WhisperGate nie czekał na żaden okup. Po prostu uszkodził serwery ukraińskiego pogotowia ratunkowego i ubezpieczyciela. Szkody w porównaniu ze skutkami NotPetya były jednak minimalne. Część ekspertów twierdziła, że to miał być sposób na zastraszenie władz w Kijowie, by były bardziej uległe wobec Kremla gromadzącego wojska przy granicach Ukrainy. Komunikat w stylu „Bój się i czekaj na najgorsze". Jeśli to miała być próba generalna przed głównym atakiem, to przeprowadzenie jej stanowiło największy błąd putinowskiej strategii inwazji na Ukrainę.

Drugi cyberatak zaczął się 15 lutego. Znów przez kilka godzin nie działały strony niektórych resortów, dwóch największych ukraińskich banków i bankomaty. Prawdopodobnie był to największy atak DDoS w historii Ukrainy. Jednocześnie nie wykryto, by atak kamuflował cokolwiek innego. Wyglądał na kolejny akt nękania: „Bój się i czekaj na najgorsze". Służby ukraińskie, brytyjskie i amerykańskie bardzo szybko wskazały winnego, ale Rosja – jak wiele razy wcześniej – wyparła się, nazywając oskarżenia rusofobią.

Trzeci, także zmasowany DDoS zaczął się kilka godzin przed rozpoczęciem rosyjskiej inwazji. Znów celem były witryny państwowe i banki. Znów było „hałaśliwie". Ale równolegle pojawił się wirus Hermetic Wiper. Nie jest jasne, kto pierwszy go wykrył. Alarm wszczęli analitycy znajdujący się 9 tys. kilometrów od Kijowa, w monitorującym zagrożenia ośrodku Microsoftu pod Seattle. Niespełna trzy godziny po tym, jak wirus się aktywował, wiedziały o nim służby ukraińskie. Tom Burt z Microsoftu skontaktował się z Anne Neuberger, zastępczynią doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego w Białym Domu, a za jej pośrednictwem w ciągu kilkudziesięciu minut pełne informacje o wirusie trafiły do wszystkich państw nadbałtyckich, w tym Polski.

Zagrożenie było potężne. Hermetic Wiper nie tylko kasuje zawartość dysków, ale także pozbawiony jest ograniczeń, jakie miał użyty miesiąc wcześniej WhisperGate. Mógł błyskawicznie sparaliżować Ukrainę i sąsiadujące z nią państwa. Zdążył uziemić tylko kilkadziesiąt urządzeń.

Służby Putina od lat dokonywały cyberataków na zagraniczne cele. Zachód jednak wyciągnął z tego lekcję i zbudował system odpornościowy. System w godzinie próby zadziałał błyskawicznie. „Nigdy nie widziałem, by to działo się tak szybko" – powiedział później w wywiadzie dla „The New York Times" Tom Burt, podkreślając, że jeszcze kilka lat temu informacje o zagrożeniu przekazywane były w ciągu tygodni, a nawet miesięcy.

Ukraina była globalnym poligonem cyberwojny. Poza wspomnianym NotPetya odnotowywano tu m.in. ślady ataków grup hakerskich znanych na Zachodzie pod kryptonimami Sandworm (najprawdopodobniej jednostka 74455 GRU), Fancy Bear (jednostka 26165 GRU) czy Gamaredon (operująca z Krymu jednostka FSB). Rosjanie testowali tu nową cyberbroń, a inni – nie tylko Ukraińcy – uczyli się ją rozpoznawać i zwalczać. Najwyraźniej nauczyli się dobrze. Hermetic Wiper był ewidentną próbą oślepienia i ogłuszenia Ukraińców. Zawiódł.

Demontaż machiny

W pierwszych godzinach po rozpoczęciu cyberataku na Ukrainę Microsoft odegrał rolę podobną do tej, jaką firma Ford Motor Company odegrała w II wojnie światowej, gdy przekształciła linie produkcyjne samochodów na wytwarzanie czołgów Sherman. Jednak jeszcze bardziej zaskoczyć Kreml mógł fakt, że Rosjanom zaczęła się wyślizgiwać z rąk ich najpotężniejsza broń. Gdy z Ukrainy na żywo płynęły obrazki pokazujące bohaterstwo jej obrońców, prorosyjskie trolle od lat instalowane w mediach społecznościowych nie miały możliwości przekonywania, że to „pokojowa interwencja" w „faszystowskim państwie upadłym", „sprowokowana przez Zachód" i prowadzona „w obronie niewinnych Ukraińców", których armia „masowo przechodzi na stronę Rosji". W konfrontacji z prawdą taka manipulacja nie mogła się udać – zarówno władze Ukrainy, jak i poszczególni jej obywatele zdominowali narrację, dokumentując wszystkie wydarzenia na froncie. Każdy ukraiński sukces i każda rosyjska zbrodnia niosły się szerokim echem w mediach społecznościowych. Rosjanie zaczęli przegrywać walkę o uwagę świata w ciągu minut od rozpoczęcia inwazji.

Jednocześnie prawda zdobyła niespodziewanego sojusznika. Wielkie koncerny mediów społecznościowych, dotąd zaciekle walczące o każdy przecinek w przepisach ograniczających ich swobodę działania, teraz arbitralnie podjęły decyzję, by uniemożliwić rosyjskim firmom wykupywanie reklam. A to za ich pomocą manipulowano opinią publiczną w Wielkiej Brytanii w sprawie brexitu, Amerykanami zaś przed wyborami, które wygrał Donald Trump, czy ostatnio Polakami w sprawie kryzysu migracyjnego, i całym światem zachodnim przez nakręcanie antyszczepionkowej histerii. Firmy Meta (spółka matka Facebooka) i Alphabet (właściciel ↦

↦ Google'a i YouTube'a) zaczęły ograniczać dostęp do swoich usług rosyjskim propagandystom. Po konsultacjach z Brukselą obaj giganci odcięli w Europie kanały Russia Today i agencji Sputnik, a Twitter opatruje specjalnymi etykietami posty publikowane przez konta powiązane z rosyjską propagandą. Efekt? Potężna i wpływająca na zachodnią opinię publiczną rosyjska machina propagandowa dostała łupnia.

Problem w tym, że to wcale nie oznacza całkowitej porażki wojny informacyjnej Putina.

Na wariata

Strategie walki informacyjnej polegającej na oddziaływaniu na społeczeństwo przeciwnika rozwijane są w Rosji od ponad pół wieku. Przykładem może być m.in. obecna w doktrynach, stworzona przez Władimira Lefewra koncepcja zarządzania refleksyjnego. Wychodzi ona z założenia, że przeciwnikowi można niepostrzeżenie podsunąć przesłanki, które następnie sam uzna za logiczne podstawy do podejmowania decyzji – w efekcie korzystnych dla inicjatora.

Doskonałym przykładem, że to nie tylko teoria, była tuż po inwazji na Ukrainę próba kreowania wizerunku Władimira Putina jako człowieka nieobliczalnego i zdolnego do wszystkiego. Odruchowo powinniśmy się bać „wariata z bombą atomową". Sęk w tym, że Putin to oficer KGB z krwi i kości, a KGB nie prowadziło wojen, tylko operacje specjalne. Ich ważną częścią były i są operacje psychologiczne. I tak też była obmyślona rosyjska „interwencja", dzięki której Putin chciał się zapisać w historii swojej ojczyzny.

Elementem walki informacyjnej Rosji, który odbił się echem wśród zachodniej opinii publicznej, były także szeroko nagłaśniane informacje o ściągnięciu do Ukrainy czeczeńskich zbirów Ramzana Kadyrowa. Mieli zasiać strach w sercach Ukraińców i obywateli Zachodu. Prawdziwa wartość bojowa tych zbirów była żadna, ale liczył się efekt psychologiczny. „Polityka Putina jest w całości oparta na domniemanym strachu przeciwnika. W razie napotkania oporu wycofuje się, bo jest w rzeczywistości bardzo niechętny ryzyku" – komentował na Twitterze Kamil Galejew, rosyjski analityk związany z waszyngtońskim Wilson Center. I dodawał: „Jeśli przekonasz przeciwnika, że opór jest bezcelowy, że i tak przegra i będzie do tego cierpiał on i jego bliscy, nie musisz oddać nawet jednego strzału. Tyle że ta technika działa tylko wówczas, kiedy przeciwnik w to uwierzy. Ukraina już nie wierzy".

Rosja wojnę informacyjną z Zachodem toczyła od lat. Podczas ataku na Ukrainę wiele założeń udało jej się zapewne zrealizować. Jednak w tej dziedzinie przeciwnicy też od lat uczyli się na zadanych ciosach. W efekcie Rosja, zawodnik wagi ciężkiej, trafiła na co najmniej równego sobie przeciwnika. Przykład? Już dzień po wydaniu przez Putina rozkazu do inwazji rosyjskie MSZ narzekało, że rząd w Kijowie w odpowiedzi na propozycje negocjacji zaproponował rozpoczęcie ich dopiero kolejnego dnia. Na groźby ataku kadyrowców był podobnie obojętny. Jedyną oficjalną odpowiedzią w tej sprawie był komunikat: „zostali wyeliminowani".

– Moja teza jest taka, że na naszych oczach pada mit nie tylko rosyjskiej armii, ale także rosyjskiej machiny propagandowej – mówi prof. Tomasz Aleksandrowicz, wykładowca Wyższej Szkoły Policji w Szczytnie i Collegium Civitas w Warszawie, autor książki „Kluczowe megatrendy w bezpieczeństwie państwa XXI wieku". – Ci rzekomi mistrzowie walki informacyjnej po prostu przesadzili. Nie tylko sprawili, że Putin, zamiast niebezpieczny, wydaje się już śmieszny z tymi swoimi groźbami wobec reszty świata. Podważyli też autorytet całego państwa, któremu nikt w nic już nie uwierzy, czego dowodzą choćby wyniki głosowania nad rezolucją Zgromadzenia Ogólnego ONZ potępiającą rosyjską agresję na Ukrainę. Na to nałożyły się inne błędy, jak zbombardowanie Babiego Jaru, co stawia rosyjskiego prezydenta w jednym rzędzie z Hitlerem.

HAKER ANONYMOUS:

Musieliśmy wyznaczyć sobie kilka zasad: żadnych ataków na szkoły, szpitale czy sterowniki przemysłowe w celu wywołania chaosu. Jesteśmy hakerami, a nie mordercami.

ROSYJSKI HAKER:

Nie chcę widzieć, jak cierpią niewinni ludzie. To mnie boli, jak każdego. Ale jeśli cierpieć będą także Rosjanie, niewinni Rosjanie, będziemy eskalować ataki.

Działania radykalne

Younesa (to oczywiście nie jest jego prawdziwe imię) poznaliśmy dzięki Jonathanowi Scottowi, specjaliście od cyberbezpieczeństwa, który niedawno rozpracowywał Pegasusa [czytaj na powszech.net/pegasus]. Younes jest studentem. Przypisuje się mu włamanie do sieci rozstawionych przez Rosjan kamer, które miały monitorować ruchy ukraińskich wojsk. Hakerzy z Anonymous podmienili w nich hasła, odcinając w ten sposób jedno ze źródeł rosyjskiego rozpoznania.

– Próbujemy wyrządzić tyle zniszczeń, ile się da – mówi Younes.

Zaczynał od hakowania dla czystej frajdy i – jak sam przyznaje, był „zwykłym internetowym wandalem". Kilka lat temu skontaktowały się z nim osoby z kolektywu Anonymous, będące pod wrażeniem jego dokonań. Grupa, która kiedyś atakowała zachodnie rządy w odwecie „za imperializm i łamanie praw człowieka", teraz wypowiedziała wojnę Rosji.

Najbardziej widocznym aspektem działalności tego kolektywu są ataki DDoS. Od początku konfliktu udało mu się sparaliżować kilkaset rosyjskich i białoruskich witryn. Niektóre, jak strona Gazpromu, agencji TASS czy Kremla, pozostawały wyłączone przez kilkadziesiąt godzin. Ataki DDoS wzmagają co prawda poczucie chaosu i przynoszą straty zaatakowanym instytucjom czy firmom, ale zwykle nie wyrządzają trwałych zniszczeń. O największych tego typu akcjach nie dowiedziała się jednak opinia publiczna.

JEGOR AUSZEW, KOORDYNATOR UKRAIŃSKIEJ „ARMII INFORMATYCZNEJ”:

Mamy już tysiąc hakerów-ochotników i 200 tysięcy ludzi, którzy walczą z rosyjską dezinformacją.

JULIA WEBER

Cyberpartyzanci

Wkrótce po inwazji Rosji na ukraińskich forach pojawiło się wezwanie do wszystkich, którzy znają się na cyberbezpieczeństwie, by wspomogli ukraińską „armię informatyczną”. To był początek globalnego pospolitego ruszenia, które działaniami w cyberprzestrzeni wspiera ukraińską walkę o wolność.

AGATA KAŹMIERSKA I WOJCIECH BRZEZIŃSKI: Jaka jest w tej chwili sytuacja w ukraińskiej cyberprzestrzeni?

JEGOR AUSZEW: Wielu ludzi się zjednoczyło. Odpowiadam za koordynację działań hakerów-ochotników. W poprzednim życiu byłem prezesem firmy cyberbezpieczeństwa, więc mam doświadczenie w zarządzaniu, ale to najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek musiałem robić. Do każdego zadania muszę przypisywać troje-czworo menadżerów, bo każdy nalot oznacza, że muszą chronić się w bunkrach bez łączności. Tylko ludzie spoza Kijowa i Charkowa mogą działać bez przerwy. Rosjanie mają silną armię, ale wszystko, co robią w cyberprzestrzeni, jest oparte na kłamstwach. Okłamują swoich obywateli, swoich wojskowych, więc jednym z naszych zadań jest przekazywanie Rosjanom prawdziwych informacji zamiast propagandy. Dlatego wiele grup zajmuje się hakowaniem rosyjskich mediów i stron internetowych w Rosji, by umieszczać tam prawdziwe informacje o działaniach rosyjskiego wojska, o bombardowaniu ukraińskich cywilów, o śmierci ludzi, śmierci dzieci.

Kto się zgłosił na ochotnika?

Jeśli nie możesz walczyć z bronią w ręku, możesz używać mózgu, żeby bronić naszego kraju. Mamy już tysiąc hakerów-ochotników. Mamy też prawie 200 tys. ludzi, którzy walczą z rosyjską dezinformacją, np. zgłaszając propagandowe treści do Instagrama, Facebooka czy Telegrama. To nasze dwie linie frontu. Mamy też grupy atakujące infrastrukturę, np. koleje, dzięki czemu nie mogą dowozić one zaopatrzenia rosyjskim wojskom. Ja koordynuję niektóre grupy, inne działają samodzielnie. Są wśród nich członkowie Anonymous. Mamy wsparcie cyberpartyzantów z Gruzji, Białorusi, dostajemy nawet dane od ludzi z Rosji. Pozostajemy w kontakcie z naszym wojskiem i Ministerstwem Obrony, dajemy im tyle wsparcia, ile się da.

To wygląda na światowy ruch.

Rządy nie mogą wypowiedzieć wojny Rosji, ale ich obywatele tak. Nawet w rosyjskich mediach słychać, że w cyberprzestrzeni, przestrzeni informacyjnej, Rosja przegrywa. My przekazujemy prawdę, oni kłamstwa.

Nie widzieliśmy jak dotąd wielkich cyberataków na infrastrukturę, choć od lat to była specjalność jednostek hakerskich Rosji. Dlaczego?

Przez ostatnich osiem lat prowadzili wojnę hybrydową. Mogli się zawsze wyprzeć odpowiedzialności. Teraz nie muszą się już maskować. Nie muszą hakować elektrowni, skoro mogą ją po prostu zbombardować. W naszym przypadku przeszli od wojny hybrydowej do wojny konwencjonalnej. W innych krajach mogą zacząć prowadzić działania hybrydowe. Oni działają krok po kroku. Musimy ich zatrzymać teraz i nauczyć się z nimi walczyć wspólnie.

Co może się wydarzyć w ciągu tygodnia czy dwóch?

Wielkie ataki hakerskie wymagają tygodni, a nawet miesięcy przygotowań. Spodziewam się jednak, że wkrótce Rosja dokona na świecie niszczących cyberataków. W Ukrainie spodziewamy się bomb, nie hakerów. Chcą nas zabić, zabrać nam wolność. Nie zhakować. ©

JEGOR AUSZEW *w sieci znany jest w angielskiej transkrypcji: Yegor Aushev.*

– Staramy się stworzyć nad Ukrainą tarczę – mówi pochodzący z Polski haker działający pod szyldem Anonymous. – Kiedy oni atakują, odpowiadamy jeszcze większym atakiem, paraliżując ich działania.

– Putin przez lata był świadomy siły nowych technologii i zdeterminowany, by ich używać, czego najlepszym przykładem była rosyjska machina dezinformacyjna. I teraz ktoś powiedział mu: „sprawdzam” – uważa Maciej Broniarz, architekt bezpieczeństwa i systemów informatycznych, wykładowca w Centrum Nauk Sądowych Uniwersytetu Warszawskiego. Zaznacza jednak, że Rosja po pierwszym szoku zdecydowała się na działania radykalne, odłączając znaczną część swojej sieci od światowego internetu.

– To powoduje, że tak wielkie cyberataki, jak w pierwszych dniach po inwazji, stają się trudniejsze – mówi. – Separacja Rosji od ogólnoświatowej sieci ułatwia pracę machinie putinowskiej propagandy.

Wśród hakerów działających na rzecz Ukrainy są też tacy, którzy opanowali sztukę wyrządzania permanentnych szkód. W trzecim dniu wojny grupa Network Battalion 65’ wrzuciła do mediów społecznościowych zapis ataku, w którym napastnicy przejęli systemy sterowania kompresorami gazu w Nogir w Osetii Północnej, co potencjalnie pozwalało im na wywołanie wybuchu.

– Ten kompresor zhakowali moi znajomi. Wiemy, że większość Rosjan nie chce tej wojny, więc pomysł, że mielibyśmy celowo wywołać eksplozję, to stuprocentowa bujda – twierdzi Younes. – Musieliśmy wyznaczyć sobie kilka zasad na początku cyberwojny z Rosją. Niektóre z nich to: żadnych ataków na szkoły, szpitale czy sterowniki przemysłowe w celu wywołania chaosu. Jesteśmy hakerami, a nie mordercami.

Hakerska artyleria

Większość zaawansowanych ataków hakerskich opiera się na tzw. zero-daysach (*Zero-day exploit*) – lukach w oprogramowaniu, które nie zostały jeszcze załatane przez ich producentów ani upublicznione (czyli upłynęło zero dni od ich oficjalnego wykrycia). Mogą one ↦

↦ dawać dostęp do najbardziej podstawowych funkcji systemów infrastruktury krytycznej i pozwalają m.in. paraliżować ją albo w skrajnych przypadkach fizycznie niszczyć (to także rosyjscy hakerzy „przećwiczyli" kilka lat temu w Ukrainie).

– Rosja jest jednym z najmocniejszych krajów w tej dziedzinie. Prawdopodobnie mają do dyspozycji setki zero-daysów – twierdzi Younes.

Według National Cyber Power Index opracowywanego przez Belfer Center Uniwersytetu Harvarda „wielką piątką" krajów o najbardziej kompleksowych możliwościach prowadzenia działań w cyberprzestrzeni są kolejno USA, Chiny, Wielka Brytania, Rosja i Holandia. Mają one odpowiednio wyszkolonych ludzi, własne narzędzia, strategie i taktyki pozwalające efektywnie prowadzić działania defensywne i ofensywne.

– Rosja może chcieć zaatakować ukraińskie systemy SCADA [nadzorujące przebieg procesu technologicznego lub produkcyjnego – red.] i powodować gigantyczne wyłączenia. Rosyjskie cybersłużby zdecydowanie mają takie możliwości i spodziewam się, że je wykorzystają – uważa Younes. Kiedy może to nastąpić? Część ekspertów wskazuje, że największe zagrożenie pojawi się, gdy Kreml uzna, że nie ma szans na odniesienie militarnego zwycięstwa w Ukrainie.

– Wtedy jest dużo większe prawdopodobieństwo, że walka przeniesie się do innej przestrzeni – mówi Maciej Broniarz.

– Sztuką nie jest jednak narobienie hałasu. Najważniejsze operacje dzieją się w ścisłej tajemnicy i raczej nie trafiają do mediów. Należy założyć, że służby obu stron działają już teraz i cały czas dochodzi do prób wejścia do systemów i ich infiltracji oraz obrony – dodaje Krzysztof Kaliński i przypomina, że obrona systemów IT przed napastnikami to proces ciągły, a atakującemu wystarczy, że uda się tylko raz.

Czy Polska jest przygotowana do cyberataków na dużą skalę? Maciej Broniarz: – Gdyby do takich ataków, jak w Ukrainie, doszło u nas, to mocno bym się zdziwił, jeśli konsekwencje nie byłyby opłakane. Firmy robią w zakresie bezpieczeństwa cybernetycznego dużo, ale bezpieczeństwo naszego sektora rządowego jest dyskusyjne i wcale nie trzeba sięgać do afery z wyciekiem maili ze skrzynki ministra Dworczyka. Jeszcze zanim wybuchła, okazało się, że część serwerów rządowych zostało zhakowanych, bo przez lata nie aktualizowano systemu Microsoft Exchange. Jeszcze wcześniej z audytu, podczas którego sprawdzano, jak starego oprogramowania używa się w Polsce, wynikło, że część pamięta czasy prezydentury Lecha Wałęsy, i w tym zakresie zaległości ma przede wszystkim sektor publiczny. Deklaracje rządowe, że dochodzi u nas do cyberataków i są one odpierane, traktowałbym jako PR. Dużych ataków jeszcze po prostu nie widzieliśmy – stwierdza ekspert. – Tym, co mnie martwi w kontekście Polski, jest fakt, iż regularnie przy okazji audytów czy testów penetracyjnych znajdujemy ślady włamań. Możliwe, że skala zinfiltrowanych systemów jest większa, ale jeszcze o tym nie wiemy. Że napastnicy są w systemie np. od dwóch lat, ale nic nie robią, poza cyklicznym logowaniem się i sprawdzaniem, czy nie stracili dostępu. W newralgicznym momencie mogą zniszczyć system lub sukcesywnie pobierać z niego dane.

Krzysztof Kaliński: – Można mieć tylko nadzieję, że Polska nie znajduje się na pierwszej linii zainteresowania Rosjan.

WIKIPEDIA / DOMENA PUBLICZNA

Komunikat z żądaniem okupu wyświetlany przez jeden z wariantów wirusa Petya użytego do ataku na Ukrainę.

Cyfrowe szturmy na Ukrainę

2013–2014 seria ataków **na ukraińskie serwery** dokonana przy pomocy wirusa Turla/Uroboros. To jeden z pierwszych cyberataków, o dokonanie których oskarżono hakerów działających **na zlecenie rządu Rosji**.

2014 zmasowany cyberatak na systemy **państwowej komisji wyborczej**.

2015 atak przy użyciu wirusa BlackEnergy powoduje **awarię zasilania** i pozbawia prądu 230 tys. mieszkańców Kijowa i zachodniej Ukrainy. O atak oskarżana jest grupa Sandworm (znana też pod nazwą Voodoo Bear oraz Unit 74455). To hakerzy działający w ramach **jednostki GRU**.

2016 kolejny udany atak na **sieci energetyczne**.

2017 wirus **NotPetya** najpierw paraliżuje ukraińskie sieci komputerowe, a następnie infekuje **komputery w wielu państwach** na świecie. O atak oskarżana jest grupa Sandworm. Zaraz po tym ataku sekretarz generalny **NATO** Jens Stoltenberg zapowiada, że sojusz wzmocni swoje siły cyberobrony, i ostrzega, że podobny atak na jedno z państw członkowskich może spowodować uruchomienie przez Sojusz artykułu 5.

2022 największy w historii Ukrainy atak DDoS na kilka godzin paraliżuje strony **rządu i największych banków**. Jednocześnie zaczyna się atak wirusem **Hermetic Wiper**.

Klin

– W Rosji widać już w tej chwili elementy zarządzania kryzysowego – mówi prof. Aleksandrowicz. – Przekaz skierowany na własnych obywateli i totalne odcięcie ich od informacji z zewnątrz oraz przedstawianie całej operacji w Ukrainie jako wręcz obrony Rosji. Jeszcze chwila i okaże się, że Ukraińcy szykowali łodzie atomowe, by zaatakować Rosjan. Spodziewam się, że walka informacyjna Kremla dalej będzie posuwała się w kierunku, który normalny, orientujący się w świecie człowiek będzie traktował jako idiotyzm. Ale, biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia w Przemyślu, można się spodziewać, że znajdą się tacy, którzy w to uwierzą.

Post pojawił się o piątej nad ranem. „Znalezione w sieci... porażka" – pisze użytkowniczka Facebooka. Z jej posta, okraszonego zdjęciami mężczyzn o ciemnej karnacji, wynika, że podają się oni za uchodźców z Ukrainy, choć nie mają z nimi nic wspólnego. „Na Białorusi budowali mur a my jeszcze ich karmimy i dajemy dary" – stwierdza autorka. Posty identycznej treści, jak ten kobiety podającej się za Ślązaczkę na stałe mieszkającą

w Leverkusen, już wcześniej były publikowane w polskich mediach społecznościowych.

– Nie wiem, z jakiego powodu właśnie ten został w ciągu 24 godzin rozpowszechniony 72 tys. razy – mówi Michał Fedorowicz, prezes Instytut Badań Internetu i Mediów Społecznościowych. – To znaczy, że dotarł do łącznie 15 mln ludzi. Dla porównania post Roberta Lewandowskiego, w którym ogłosił, że nie zagra w meczu z Rosją, jeden z najpopularniejszych w polskim internecie w ostatnich dniach, miał zasięg o połowę mniejszy.

Ekspert zaznacza, że płatna kampania w mediach społecznościowych, która miałaby dotrzeć do tylu odbiorców, co post Ślązaczki, kosztowałaby około miliona złotych. Co ciekawe, post rozchodził się w sieci nie do przypadkowych osób, lecz do ściśle określonych grup: antyszczepionkowców czy kibiców piłkarskich, i – jak zaznacza Fedorowicz – większość postów, a niekiedy również szerujących je kont, zniknęła już z internetu. Swój post skasowała też Ślązaczka.

– Na pewno to było zaplanowane działanie. Miało na celu wywołanie histerii w Przemyślu oraz agresji w grupach kibicowskich w Przemyślu, Tarnowie i Krakowie. W związku z tą sprawą pojawia się cała seria pytań, szczególnie że nie wygląda, by był to ruch całkowicie sztucznie generowany, przez co ekstremalnie trudno wychwytywać w sieci takie wiadomości. Nie wykluczam, że właściciele części kont, które powielały tę wiadomość, mogą nawet o tym nie wiedzieć – twierdzi Fedorowicz. Służby Ukraińskie kilka razy od rozpoczęcia inwazji apelowały o ostrożność w mediach społecznościowych i ostrzegały, że może dochodzić do włamań na internetowe konta.

Jaki jest efekt całej operacji? O aktach przemocy Polaków wobec ciemnoskórych uciekinierów z Ukrainy piszą – i to na dużą skalę – media z całego świata. Klin między sojuszników został wbity.

EKSPERT:

W Polsce część oprogramowania w sektorze publicznym pamięta prezydenturę Wałęsy. Deklaracje rządowe, że cyberataki są u nas odpierane, traktowałbym jako PR. Dużych ataków jeszcze po prostu nie widzieliśmy.

BADACZ:

Rosyjscy mistrzowie walki informacyjnej po prostu przesadzili. Sprawili, że Putin wydaje się już śmieszny, podważyli też autorytet państwa, któremu nikt w nic już nie uwierzy.

■■■

Wkrótce po naszej pierwszej rozmowie, Rosjanie z The Red Bandits zrewidowali swoje stanowisko. W oświadczeniu napisali: „Chcemy, żeby wszyscy w Ukrainie to przeczytali. Stoimy po stronie obywateli Ukrainy i dlatego nie atakowaliśmy niczego poza [ich – red.] rządem. Nie oddaliśmy nikomu danych na temat Ukrainy, jakie zdobyliśmy. Nie szanujemy Putina jako przywódcy, szanujemy go jako obywatela Rosji i wszystkich obywateli wspieramy. Nie zgadzamy się z jego sprzecznymi z pokojem działaniami. (...) Odmawiamy ataków przeciw niewinnym, chyba że nastąpi poważna eskalacja”.

Sekretarz generalny NATO Jens Stoltenberg ostrzegł, że cyberataki na Sojusz mogą doprowadzić do uruchomienia artykułu 5., który traktuje atak na dowolnego sojusznika NATO jako atak na wszystkich.

© AGATA KAZIMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Marta Bogucka, Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Jan Klata, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Kapłańskie szaty

„Nie patrz na dzban, lecz na to, co w nim jest" – zwykł był mawiać starożytny redaktor pierwszej części Talmudu. Po polsku powiedzielibyśmy: nie szata zdobi człowieka. Tymczasem inaczej miała się sprawa z kapłanami posługującymi w Przybytku, a potem w Świątyni, albowiem Pięcioksiąg poświęca wiele miejsca ich liturgicznym szatom. Nosili oni białe lniane spodnie, tuniki i turbany, wielobarwny akcent kolorystyczny stanowił długi wysoko wiązany pas. Do wykonania szat arcykapłana nie starczały kosztowne tkaniny i barwniki – potrzebne też były drogie kamienie i złoto. Dla Aarona, a potem jego potomków, należało sporządzić jeszcze cztery dodatkowe elementy stroju (zob. Wj 28, 6-42).

Na upiętym inaczej niż u zwykłych kapłanów zawoju miał Aaron przywiązaną złotą tabliczkę, na której widniał napis „święty dla Boga". Do posługi wkładał również szatę z niebieskiej wełny, której brzeg ozdobiony był wełnianymi jabłkami granatu przetykanymi złotymi dzwoneczkami. Na tej szacie nosił rodzaj wkładanego od tyłu fartuszka, na którego opinających ramiona paskach znajdowały się dwa kamienie, a na każdym z nich – imiona sześciu spośród dwunastu plemion Izraela. Na tych paskach wisiał napierśnik – złożony prostokątny kawałek materiału, utkany z barwionej na trzy kolory wełny, lnu i złotych nici, w którego złożeniu umieszczone były urim i tumim, z zewnątrz ozdobiony dwunastoma drogimi kamieniami, na których też znajdowały się imiona izraelskich plemion.

Rabin Izaak Cylkow tak oddaje po polsku Wj 28, 30: „I złożysz na napierśniku wyrocznym Urim i Thummim, i będą na sercu Ahrona, gdy będzie wchodził przed oblicze Wiekuistego; i tak nosić będzie Ahron sąd synów Israela na sercu swojém przed obliczem Wiekuistego ustawicznie". Komentator wszech czasów uważa, że w złożeniu napierśnika znajdowało się Imię Boże, dzięki któremu – poprzez podświetlanie liter na dwunastu kamieniach – komunikowane były Boże wskazówki. Korzystał z nich – między innymi – Jozue, dowodzący podbojem Kanaanu (zob. Lb 27, 21), a także walczący z Amalekitami król Dawid (zob. 1 Sm 30, 8). Można się pokusić o ustalenie rdzeni słów *urim* i *tumim*: w pierwszym odruchu narzuca się, że *urim* – liczba mnoga – pochodzi od pojedynczego *or*, światła, stąd zapewne koncepcja rozbłyskiwania tworzących odpowiedź liter. Jednak można też przypuścić, że odpowiednie rdzenie to *arar* oraz *tamam* – pierwszy powiązany z przekleństwem, drugi – z pełnią i doskonałością, tworzące duet typu „prawda / fałsz". Wołodymyrowi Zełenskiemu przydałyby się dzisiaj – mógłby zapytać jak Dawid: „Mam li ścigać tę hordę? Czyż ją dopędzę?" i usłyszeć jak on w odpowiedzi: „Ścigaj, bo dopędzisz ją z pewnością, a też wyzwolisz!". ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Oschłość serca

Dla wielu z nas przekaz naszych świętych ksiąg zredukował się do słów umierającego na szubienicy Jezusa z Nazaretu: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?". Słowa straszne, pełne rozpaczy. Chcąc je jakoś udźwignąć, bywa, że próbujemy je złagodzić. Mówimy, że jest to cytat z Psalmu, że Jezus w ten sposób się modli, że jest to wyznanie wiary, a nie niewiary, natomiast w odniesieniu do nas to trzeba pamiętać, że jeśli już, to my opuszczamy Boga, a nie On nas. Tyle tylko że rozmiękczając te i inne słowa Jezusa, przypisujemy sobie umiejętności, których nie mamy. W Biblii, jak wierzymy, w Księdze Bożego Słowa, czytamy, że prawdę o tym, co dzieje się w duszy człowieka, zna tylko Bóg. Dlatego będzie dla nas bezpieczniej, co nie znaczy łatwiej, wziąć te słowa dosłownie. A jeśli chcemy uratować Boga przed posądzeniem o nieczułość względem Jego cierpiących tu i teraz dzieci, przypatrzmy się uczestnikom tragicznych wydarzeń na Golgocie, które stały się fundamentem naszej wiary.

Nie tak dawno papież Franciszek, mając świadomość tego, co dzisiaj dzieje się w świecie, pytał Boga, dlaczego robi wszystko, żebyśmy w Niego nie wierzyli. Na pytanie dziecka zaś, co by zrobił, gdyby mógł robić cuda, odpowiedział, że uzdrowiłby wszystkie dzieci, a ponieważ nie może tego dokonać, pozostaje mu razem z nimi płakać, co jak rozumiem znaczy: towarzyszyć im w ich nieszczęściu. Nie mogąc więc w cudowny ani w naturalny sposób zaradzić radykalnie dziejącemu się złu, nie możemy opuścić rąk, poddać się woli Bożej i powiedzieć: Jezu, Ty sam się tym zajmij. Takie postawienie sprawy świadczyłoby, że chcemy w sprytny, niby pobożny sposób zrzucić z siebie i przerzucić na Boga obowiązek uczestniczenia w doli i niedoli tego tutaj świata.

Każą nam śpiewać w kościołach suplikacje i organizować więcej nabożeństw, by prosić Boga: „Od powietrza, głodu, ognia i wojny (...) od nagłej i niespodziewanej śmierci zachowaj nas Panie". Tyle tylko że to złowrogie powietrze (covid) albo wojna już są. A nagła śmierć? Widzimy ludzi, którzy nie czekają na jej przyjście, ale sami wychodzą jej naprzeciw. Nie są samobójcami, sobą zasłaniają tych, których kochają. Obok nich mamy dzisiejszych Nikodemów i Józefów z Arymatei, rówieśników Jana Apostoła, także Piłata. Kiedy Jezus przegrywał wszystko, oni pozostali przy Nim.

Nic się na to nie poradzi, że prawda o przyjaźni z ludźmi i Bogiem, prawda o naszej religijności i pobożności naszych słów i czynów, naszych Kościołów sprawdza się na polach bitew krwawych i bezkrwawych. Pisał Zbigniew Herbert: „ocalałeś nie po to aby żyć / masz mało czasu trzeba dać świadectwo (...) strzeż się oschłości serca (...) Bądź wierny Idź". ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Zakryć grzechy?

Kto chce, żeby Bóg szybko go wysłuchał, gdy tylko wstanie i podniesie ręce do Boga, ten powinien w pierwszej kolejności modlić się z serca nawet nie za własną duszę, ale za nieprzyjaciół. Jeśli to osiągnie, to o cokolwiek by prosił, Bóg go wysłucha.

ABBA ZENON

Niczym pył rzucony pod wiatr, zło spada z powrotem na głupca, który skrzywdził człowieka łagodnego, czystego i niewinnego.

DHAMMAPADA

Wybrał PIOTR SIKORA

„Bracia moi, jeśliby ktokolwiek z was zszedł z drogi prawdy, a drugi go nawrócił, niech wie, że kto nawrócił grzesznika z jego błędnej drogi, wybawi duszę jego od śmierci i przesłoni liczne grzechy” – z takim pouczeniem zwrócił się do nas niedawno w Liturgii św. Jakub (zob. Jk 5, 19-20).

Dla pełnego zrozumienia tego wskazania niezwykle ważne wydaje się odkrycie, iż ostatni jego zwrot („przesłoni liczne grzechy”) jest cytatem – przywołuje dwunasty werset dziesiątego rozdziału Księgi Przysłów: „Nienawiść wznieca kłótnię, miłość wszelki błąd ukrywa”. W wielu przekładach ów tekst brzmi: „miłość zakrywa wszystkie grzechy” (w hebrajskim tekście mamy słowo *pesha*’, które może zapewne oznaczać „błąd”, ale jego podstawowe znaczenia są o wiele mocniejsze: grzech, rebelia, przestępstwo). Tak więc: „miłość zakrywa wszystkie grzechy”.

W jaki sposób „miłość zakrywa wszystkie grzechy”?

W świetle przytoczonego na wstępie pouczenia Jakubowego odpowiedź brzmi: miłość zakrywa grzech w ten sposób, że „nawraca grzesznika z jego błędnej drogi”. A więc nie w ten sposób, że ukrywa prawdę o złu i o grzechu; nie w ten sposób, że „zamiata (czyjś grzech) pod dywan”; nie w ten sposób, że szuka łatwych (zbyt łatwych) usprawiedliwień.

Miłość przekonuje grzesznika (bo sama najpierw jest do tego przekonana), że może jeszcze raz wszystko zacząć od nowa; że stać go na zmianę kierunku; że ciągle ma w sobie potencjał ku dobru. I jeśli je z siebie wyzwoli, jeśli je przełoży na konkretne czyny, to ostatecznie „zasłoni” ono wszystkie wcześniejsze grzechy – jakiekolwiek by one były.

Ktoś pamięta, że Kmicic spalił Wołmontowicze? Że – wcześniej – po pijaku strzelał do portretów zmarłych? Że porwał Oleńkę? Że na śmierć i życie związał się ze zdrajcą Radziwiłłem?

Nie. Nie. Nie. Wszystko zostało „zakryte”. Pamiętamy Kmicica z Jasnej Góry i tego, który w drodze do Polski ratuje Jana Kazimierza, rzucając się z Kiemliczami na cały szwedzki oddział; pamiętamy jego rany odniesione dla Rzeczypospolitej...

Jest też w tekście Jakubowym – czytanym w symbiozie z wersetem Księgi Przysłów – jeszcze inne pouczenie. Mianowicie: nie bierz się do nawracania, jeśli nie kochasz!

Jeśli tylko jesteś oburzony i zgorszony; jeśli tylko wiesz, że masz rację i koniecznie chcesz postawić na swoim; jeśli tylko napędza cię (jedynie) słuszna i „zbawcza” wizja świata – nie bierz się za nawracanie. Jeśli kochasz, odnajdziesz w sobie właściwe słowa upomnienia i nadziei, właściwy czas, by je wypowiedzieć, i cierpliwą oraz wierną wyrozumiałość, która ci nie pozwoli zadowolić się samym napomnieniem. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (13 – 20 III)

2. niedziela Wielkiego Postu: Rdz 15, 5-12. 17-18; Ps 27; Flp 3, 17 – 4, 1; Łk 9, 28b-36;
Poniedziałek: Dn 9, 4b-10; Ps 79; Łk 6, 63-38;
Wtorek: Iz 1, 10. 16-20; Ps 50; Mt 23, 1-12;
Środa: Jr 18, 18-20; Ps 31; Mt 20, 17-28;
Czwartek: Jr 17, 5-10; Ps 1; Łk 16, 19-31;
Piątek: Rdz 37, 3-4. 12-13a. 27b-28; Ps 105; Mt 21, 33-43. 45-46;
Sobota – uroczystość św. Józefa: 2 Sm 7, 4-5a. 12-14a. 16; Ps 89; Rz 4, 13. 16-18. 22; Łk 2, 41-51a;
3. niedziela Wielkiego Postu: Wj 3, 1-8a. 13-15; Ps 103; 1 Kor 10, 1-6. 10-12; Łk 13, 1-9.

ZA CHWILĘ ZACZNIEMY OD ZERA

Stojąc już w drzwiach mieszkania, spytałam męża, czy niczego nie zapomnieliśmy. „Musimy zapomnieć o wszystkim, co było do tej pory naszym życiem" – odpowiedział.

MAREK RABIJ

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Ale zdaje pan sobie sprawę – polski pogranicznik rzuca znad mojego paszportu badawcze spojrzenie – że można tam utknąć i na dwie doby? Dzisiaj wprawdzie jest spokojniej, bo Ukraińcy się wreszcie ogarnęli i kolejka po ich stronie stopniała, ale to się może znów błyskawicznie zmienić.

– Dobry moment, żeby jechać – uspokaja kilka minut później ukraińska strażniczka, wbijając pieczątkę w paszporcie. – Ludzi wprawdzie jest tu coraz więcej, ale po waszej stronie wreszcie się ogarnęli i czas oczekiwania na przejściu nie przekracza dwóch godzin. To wszystko. Witamy w Ukrainie – dodaje i naciska przycisk otwierający elektryczną bramkę.

Na przejściu granicznym Medyka–Szeginie zapada zmierzch. Temperatura spadła już w okolice zera, a w nocy dobije do minus sześciu. Zapowiadają też lekki śnieg. Na razie powietrze przesyca smród spalin. Opodal, w zatoczce na poboczu, stoją dwa autokary z włączonymi silnikami. „Drohiczyn–Warszawa". „Chersoń–Polsza". Za nimi łańcuszek kilkudziesięciu samochodów. Po wielokilometrowych korkach sprzed kilku dni zostały tylko śmieci walające się na poboczu.

– Zaraz wszystkich puścimy, najpierw autobusy, potem auta – uprzedza pytanie Andrij, młody żołnierz odpowiedzialny za porządek na tym fragmencie przejścia. – Jeśli w środku są same kobiety i dzieci, to kierujemy od razu do Polski. Gorzej, jeśli jadą też mężczyźni. Trzeba każdego sprawdzić, czy może przekroczyć granicę.

Andrij jest opanowany i rzeczowy. Sfatygowany poradziecki kałasznikow przewiesił z przodu w poprzek, żeby służył za oparcie dla rąk, bo tylko do tego – jak żartuje – się nadaje. Wkrótce do przejścia dotrze kilka autokarów ze Lwowa, które kurs kończą na granicy. Pasażerowie przejdą odprawę na przejściu dla pieszych, ale najpierw trzeba ich sprawnie wyładować.

– Pan, ja już idę, ale zasady proste. Masz nie fotografować żołnierzy, pograniczników i budynków. A jak będziesz przeszkadzać kobietom i dzieciom, które na granicy muszą się pożegnać ze swoimi mężami i ojcami, to dostaniesz po ryju – ostrzega Andrij.

Tylko jedna para butów

– Przynajmniej taki z niego pożytek, że teraz nie ma za kim płakać. Mąż zniknął z naszego życia, jak Ola miała dwa latka – mówi Julia, pocierając przy tym zmęczone oczy. Od momentu, w którym zamknęła drzwi domu w Nowej Kachowce koło Chersonia, minęło ponad 40 godzin.

Julia Pimaczowa ma 34 lata, ośmioletnią córkę Aleksandrę, dwuletnią labradorkę Dżinę, neseser ze sprzętem fotograficznym i dwie walizki, do których – jak mówi – nawrzucała, „co jej wpadło do rąk".

– Boję się tam teraz zajrzeć, bo pewnie nie zabrałam najważniejszych rzeczy – śmieje się gorzko. – Spakowałyśmy się dosłownie w dwadzieścia minut. Nasi dali znać, że się wycofują i za jakąś godzinę do miasta mogą wejść Rosjanie. Trzy kwadranse później byłyśmy już u mojej cioci zostawić klucze.

– Kwiaty jeszcze podlałaś – zadziornie dodaje córka Julii. – Nie wiadomo po co.

Początkowo miały to być jedynie tymczasowe przenosiny w inną, bezpiecz-

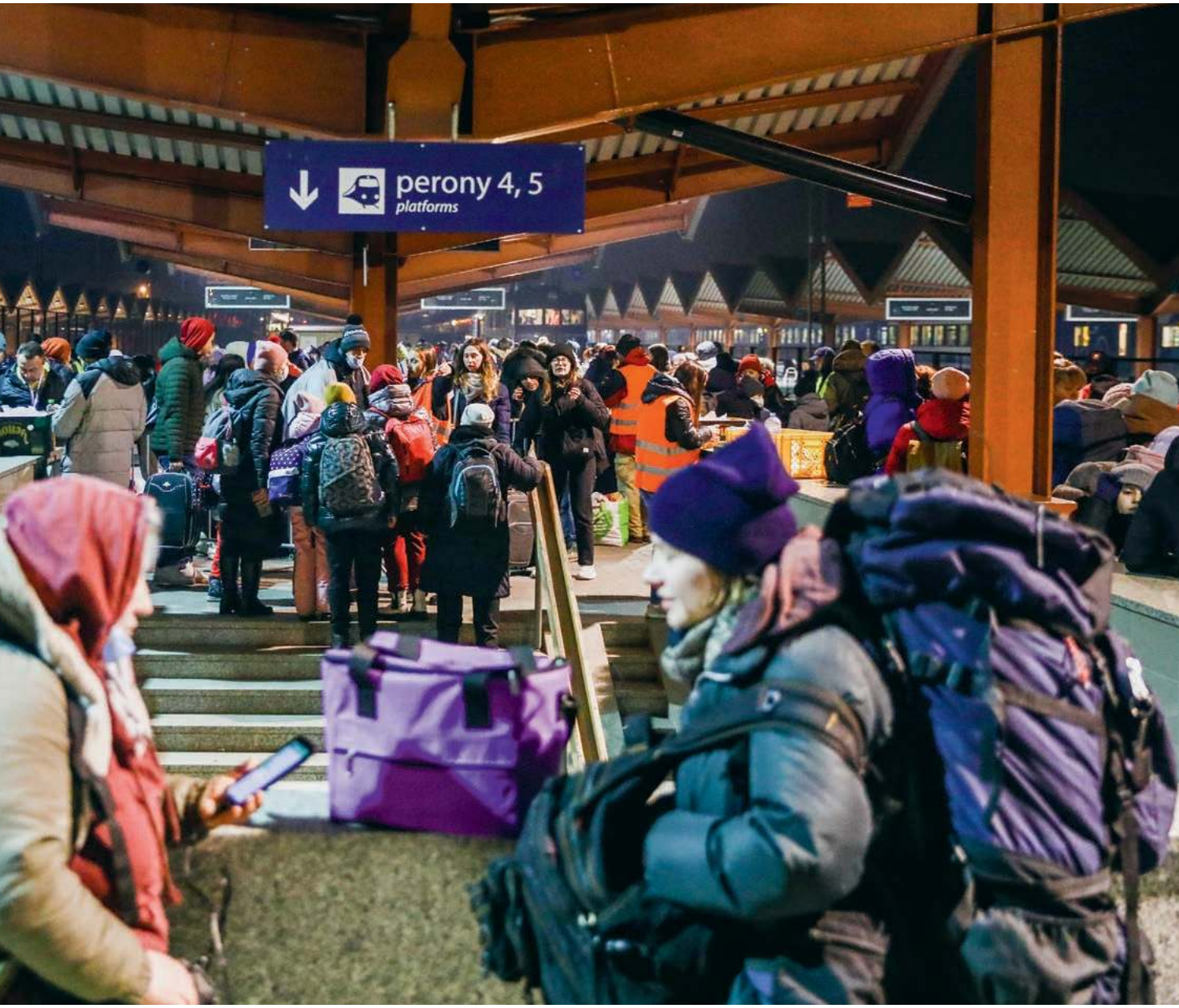

Tysiące uchodźców z Ukrainy przybywa na dworzec kolejowy w Przemyślu. 28 lutego 2022 r.

niejszą część Ukrainy. Julia wraz z Olą i Dżiną ruszyły w stronę pobliskiego Mikołajowa, do krewnych.

– Jak tylko przyjechałyśmy, łup!, zaczęli bombardować – relacjonuje Julia. – Wsiadłyśmy więc w pociąg, który miał nas zawieźć do Chmielnickiego, ale okazało się, że on najpierw pojedzie na północ, w kierunku Połtawy. Tam też nie dotarłyśmy, bo ostrzelali tory, wysłali nas więc do Krzywego Rogu. A tam znów bomby! Dopiero koło Lwowa poczułam, że jest bezpieczniej.

Naprawdę bezpiecznie będzie dopiero w Polsce. Po drugiej stronie granicy czekają już przyjaciele mieszkający od kilku lat we Wrocławiu. Julia spróbuje tam popracować w zawodzie. Jest fotografem ślubnym, ma swój sprzęt i bogate portfolio. A na Wrocław już teraz mówią przecież „Mały Kijów". Mieszka w nim ponad 60 tys. Ukraińców.

– Piękne miasto. Świętowałam w nim ostatni Nowy Rok. Gdybym wtedy wiedziała, że tak się to skończy, zostawiłabym część rzeczy. Boże mój, przecież Ola ma tylko te buty, które włożyła do ucieczki – Julia nagle wybucha przejmującym płaczem. – Rozumiesz? Jedne buty...

Czy rozumiem? Niecałe 10 kilometrów od miejsca, w którym rozmawiamy, do 7 kwietnia 1944 r. istniała wieś Pyszówka, w której przyszła na świat moja mama. W nocy z Wielkiego Piątku na Wielką Sobotę osadę zaatakowali banderowcy. Zginęły 52 osoby. Dziadek, w porę ostrzeżony przez ukraińskiego sąsiada, zdążył zbudzić rodzinę i ewakuować się z nią w stronę pobliskiego Krakowca. Podczas niemal każdej rodzinnej uroczystości wysłuchiwałem opowieści o starszej siostrze mamy, która uciekała zaśnieżonymi polami, mając na nodze lewy but jednej pary, podczas gdy w prawym wędrował jej brat. Dzieci co jakiś czas zamieniały się butami, żeby ogrzać jedną ze stóp. Mógłbym więc odpowiedzieć Julii, że chyba rozumiem, o czym mówi. Ale przeżyć to co innego, niż wysłuchać.

Na szczęście kolejka do odprawy zdaje się być wyposażona we własne wentyle ↦

↦ psychicznego bezpieczeństwa. Stojąca obok Julii kobieta natychmiast zaczyna opowiadać anegdotkę o dwóch rosyjskich czołgach, które krążyły wokół jej domu. – Cuchnęło ropą i spalinami, do tego okropnie hałasowali. W końcu nie zdzierżyłam i spytałam ich, czemu to robią. Odpowiedzieli, że pojeżdżą tak jeszcze z godzinę, spalą całe paliwo i wrócą na piechotę do jednostki. Nie chcą walczyć.

Julia Pimaczowa uśmiecha się delikatnie. Chciałaby, mówi, żeby jej córeczka zapamiętała tę wojnę jako jakieś surrealistyczne przedstawienie. – Niestety wiem, że to niemożliwe – dodaje.

Jak pachnie dom

– Dwadzieścia osób! – krzyczy nagle Andrij z przodu kolejki. – Proszę do odprawy, tylko bez bałaganu, najpierw kobiety z dziećmi. Do tej obrotowej bramki i dalej wzdłuż drutów. Powodzenia!

W ruch idą walizki. W większości małe modele kabinowe o niewielkiej pojemności. Na tych ostatnich metrach ukraińskiej ziemi biegną tylko dzieci podniecone perspektywą bliskiego końca długiej wędrówki. Dorośli idą z trudem. Zmęczeni, a może i poruszeni tym, że opuszczają ojczyznę. Za chwilę zaczną wszystko – jak mówią – od zera.

Tymczasem z budynku, w którym odbywa się ukraińska kontrola paszportowa, w przeciwnym kierunku wychodzi grupka młodych mężczyzn wracających do kraju.

– *Sława Ukrainie!* – skandują niespodziewanie ustawieni w kolejce do odprawy.

– *Gierojom sława!* – odkrzykują tamci i znikają za ogrodzeniem. Nikt nie musi pytać, po co jadą do Ukrainy.

Rozmowa wraca w stare tory. Ktoś zastanawia się, czy na pewno obowiązkowi mobilizacyjnemu nie podlegają młode kobiety. Ktoś inny pyta, jak wyglądają formalności z pracą. Wątpliwości budzą też bezpłatne przejazdy polskimi pociągami. Ktoś upiera się, że trzeba jednak płacić za rezerwację miejsca.

– Skoro już tu jesteś – zagaduje Oksana Litwinienko z Zaporoża – to powiedz proszę, jak najłatwiej dojechać do Niemiec? Jesteśmy w podróży równą dobę, część samochodem, część pociągiem. Chciałabym mieć to już za sobą.

Oksana, jej mąż Piotr i syn Dawid są świadkami Jehowy. Nie wolno im nosić broni. Oksana nie jest pewna, czy w trakcie wojny mąż nie zostałby za to skazany z paragrafu za dekownictwo. – Na szczęście ma 64 lata, a pobór jest do 60 – podkreśla. – Będziemy się modlić za naszych ludzi. Bo ludzi strasznie mi żal. Ukrainy jako ojczyzny także. Ale państwa to mi nie żal.

MAREK RABIJ

Julia Pimaczowa z córką Aleksandrą i labradorką Dżiną. Szeginie, Ukraina, 2 marca 2022 r.

W kraju, w którym bez łapówki nie można załatwić wielu rzeczy, a po 40 latach wyniszczającej pracy w fabryce dostaje się, jak Piotr, emeryturę wystarczającą jedynie na leki, nie jest łatwo mieć propaństwowe nastawienie. Oksana jest jednak daleka od pielęgnowania takich urazów, tym bardziej teraz, gdy kraj dewastuje Rosja. Chciałaby tylko zapewnić dziecku start w dorosłość wolny od wojennej traumy i balastu ciągłej walki o godny byt, który ona z mężem musieli dźwigać przez życie.

– Wierzę, że tam można się utrzymać z ciężkiej pracy i że nasi ludzie z Kościoła nam pomogą. Jestem gospodynią domową, mogę być i służącą. Ważne, żebyśmy byli bezpieczni i żebyśmy już nigdy nie musieli uciekać. Nie umiałam opuścić domu. Wracałam do niego dwa razy, żeby się jeszcze nawdychać jego zapachu. Wychodząc po raz ostatni, już w drzwiach, spytałam męża, czy na pewno niczego nie zapomnieliśmy. „Musimy zapomnieć o wszystkim, co było do tej pory naszym życiem", odpowiedział.

Uciec przed nienawiścią

Na zielonej karimacie wciśniętej w kąt hallu przemyskiego dworca stoją dwie walizki. Na jednej czeka parujący posiłek. Pierwsze jedzenie od rana – choć

dwie godziny temu wybiła północ. Teraz ważniejsze są jednak zwierzęta. Żanna, czternastoletnia kotka i trzymiesięczny szczeniak Archie. Wypuszczony z transportera, natychmiast nadrabia godziny stracone w niewoli i zaplątuje smycz wokół nóg statywu kamery japońskiej ekipy telewizyjnej. Drogocenny sprzęt niemal ląduje na podłodze. Archie z piskiem ucieka z miejsca zbrodni do transportera. – No pięknie, dopiero przyjechałeś, a już robisz takie rzeczy? – śmieje się Alina Totmjanina z Zaporoża.

Alina zdecydowała się ruszyć w drogę do Polski po pierwszych bombardowaniach. Coraz więcej czasu spędzała w schronach, pojawiły się problemy z dostępem do jedzenia. Stało się jasne, że jeśli Rosjanie odetną miasto od dostaw wody i żywności, będzie źle – Alinie na chwilę głos więźnie w gardle, gdy głaszcze kotkę. – Podróż nie była dla nich tak męcząca, jak sądziłam. Naszego pociągu nawet nie ostrzelali. Na polskiej granicy zostały od razu zbadane, dali trochę jedzenia, a Archiego nawet zaszczepili i zaczipowali. Bardzo jestem wdzięczna Polsce. Jesteście jak rodzina. Losowi też dziękuję, że wyszliśmy z tego żywi.

24 lutego Alinę obudził telefon od mamy. Natychmiast pobiegła do kuchni, w której miała radio. – I nie wyszłam stamtąd do wieczora – wspomina. – W pewnym momencie zaczęło mi się kręcić w głowie. Telefon dzwonił, z radia napływały kolejne informacje, komunikatory pluły we mnie wiadomościami od znajomych. Jak za szybko oddychasz, to po chwili masz zawroty głowy. Ja tak miałam wtedy od nawału informacji. W pewnym momencie poczułam, że jeśli wstanę, to się przewrócę. Ja, która baletową arabeskę potrafię zrobić nawet w grubych zimowych kozakach!

Życie, które zostawiła w Zaporożu, kręciło się Alinie wokół sceny. Z wykształcenia jest aktorką, choć bliżej jej, jak zastrzega, do zawodowej tancerki. Niedawno ukończyła nawet kurs terapii przez taniec z osobami straumatyzowanymi. – W pociągu, którym jechaliśmy w stronę polskiej granicy, wyłapywałam spojrzeniem osoby, którym przydałaby się taka pomoc. Wciąż zesztywniałe z napięcia, z głową schowaną w ramiona jak bokser unikający ciosu. W wagonie nie było warunków, żeby coś z tym zrobić, jechaliśmy w plackarcie upchani jak szproty. 116 osób na 54 miejsca!

MAREK RABIJ

Oksana i Piotr Litwinienko z synem Dawidem. Szeginie, Ukraina, 2 marca 2022 r.

Na noc dzieci i starszych kładło się do łóżek, reszta siedziała, na czym mogła. Ale nikt sobie do gardeł nie skakał. Bałam się, że ludzie będą narzekać na moje zwierzęta, ale gdzie tam! Zresztą spójrz – Alina zrywa się z karimaty i niemal tanecznym gestem kreśli w powietrzu okrąg wokół siebie – tu co drugi człowiek jedzie ze zwierzakiem. Dopóki o nie dbamy, dopóty jesteśmy ludźmi.

O człowieczeństwie atakujących Zaporoże Rosjan Alina Totmjanina nie chce rozmawiać.

– Nie mam jeszcze 30 lat, ale od ośmiu mieszkam niemal przy linii frontu, bo w sąsiednich obwodach na wschodzie od dawna toczy się wojna. Kilkoro znajomych opłakiwało braci i ojców zabitych w Donbasie. Widziałam, co robi z nimi cierpienie i nienawiść. Po tym, co się teraz stało, Rosjanie już nigdy nie będą dla mnie po prostu jednym z narodów. Ale nie chcę ich nienawidzić. Dlatego niech znikną. Zrywam znajomości z Rosjanami. Chcę zapomnieć rosyjskie litery. Niech zniknie Teatr Bolszoj i cały ich cholerny balet. Zrozum, proszę, to nie jest nienawiść. Uciekam przed nią do Poznania. Tam jest moja mama – Alina mówi szybko, nerwowo. – Pracuje w Polsce od pięciu lat, a od jakichś dwóch namawiała mnie, żebym do niej dołączyła. W Poznaniu działa dużo instytucji kulturalnych, kwitnie teatr, mama mówi, że się tam odnajdę. Zaporoże i Ukrainę będę nosić głęboko w sercu, ale już tam nie wrócę. Z domu zabrałam tylko ubrania. Żadnych pamiątek. Im bardziej będzie bolało, tym szybciej przestanie.

Dochodzi czwarta nad ranem. Alina zwija karimatę. Za chwilę na peron drugi wjedzie pociąg do Warszawy, na który czeka od dziewięciu godzin. Na Dworcu Centralnym przesiądzie się do składu jadącego do Poznania i wieczorem uściska wreszcie mamę. Po ponad czterech dobach podróży.

W jarzeniowym świetle na peronach tańczą płatki śniegu. Na peron piąty wjedzie też wkrótce pociąg ze Lwowa. Wolontariusze w seledynowych kamizelkach niosą gorącą herbatę i pożywienie. Ratownicy medyczni taszczą nosze. Pochód zamyka dwóch zziębniętych policjantów z długą bronią, którzy wsunęli dłonie za kamizelki kuloodporne i skuleni z zimna też drepczą na peron piąty.

„We Lwowie upchali dwa i pół tysiąca ludzi do pociągu, który normalnie mieści tysiąc czterysta osób" – skrzeczy opodal krótkofalówka jednego z kolejarzy.

©℗ MAREK RABIJ

ŁUKASZ GĄGULSKI / PAP

Nowo wyremontowany oddział pediatryczny w Szpitalu Powiatowym w Chrzanowie. Czerwiec, 2021 r.

System do gruntownej naprawy

MACIEJ MÜLLER

Brakuje pieniędzy, lekarzy jest za mało, a pacjent musi sam zadbać o zdrowie. Nie brakuje jednak pomysłów na to, by po pandemii ochrona zdrowia stała się nowocześniejsza i przyjaźniejsza.

Eksperci są zgodni: przejście kolejnych fal pandemii nie odsłoniło nieznanych słabości systemu ochrony zdrowia. Co najwyżej pogłębiło i unaoczniło opinii publicznej te od lat znane. – Fundamentalnym problemem jest niedobór lekarzy, pielęgniarek, ratowników i innych pracowników medycznych – wymienia dr Małgorzata Gałązka-Sobotka, dyrektor Instytutu Zarządzania w Ochronie Zdrowia Uczelni Łazarskiego.

Rankingi OECD regularnie umieszczają Polskę w ogonie Europy. Według raportu tej organizacji z 2021 r. w Polsce przypada 2,4 lekarza na tysiąc mieszkańców; za nami jest tylko Turcja. Średni wskaźnik dla krajów OECD to 3,6. Według Gałązki-Sobotki sprowadzanie problemu do liczebności personelu to jednak jego spłycenie: – Od dekad brakuje myślenia długoterminowego, strategicznego, opartego na prognozach biorących pod uwagę zmiany społeczne, zmiany na rynku pracy czy w technologiach. W dodatku na pracownika medycznego patrzy się jak na kogoś, kto obsługuje dane stanowisko pracy, a nie jak na posiadacza konkretnych kompetencji. W rezultacie personelu nie tylko jest za mało, ale także struktura jego kompetencji jest niedopasowana do nowoczesnych sposobów zaspokajania potrzeb zdrowotnych.

Stąd wynikają takie problemy, jak brak w wielu powiatach gabinetów ginekologicznych. Z raportu NIK za 2018 r. wynika, że np. w województwie podlaskim na 118 gmin w 93 (czyli w 79 proc.) nie działała żadna poradnia ginekologiczno-położnicza; w mazowieckim takich gmin było 62 proc., w lubelskim 63 proc. Skutki braku zarządzania są poważne – chodzi o nierówności w dostępie do opieki zdrowotnej, czyli wręcz łamanie gwarancji konstytucyjnych.

Poniżej kompetencji

Zjawiska te są przejawem narastającej od lat dezorganizacji. Gałązka-Sobotka: – System przez dekady był niedofinansowany. Naciągaliśmy krótką kołderkę finansową, ujawniając kolejne problemy. W sytuacji braku środków finansowych i ludzi pojawiło się np. zjawisko agresywnej konkurencji między placówkami o lekarzy i kontrakty z NFZ. Ostra rywalizacja o kadry powodowała konieczność płacenia za ten kapitał coraz więcej.

Jak to wygląda w praktyce? Szpital powiatowy, by w ogóle móc działać, ściąga lekarzy z placówek specjalistycznych w miastach wojewódzkich. Musi im zapewnić ponadprzeciętne wynagrodzenie, ale nie jest w stanie wykorzystać ich potencjału, ponieważ w mniejszych placówkach wykonuje się mniej skomplikowane zabiegi. Gałązka-Sobotka: – Taki specjalista pracuje poniżej swoich kompetencji, a jego wydajność jest o wiele niższa niż wartość wynagrodzenia, które otrzymuje. Pogłębia się skala marnotrawstwa, postępuje entropia systemu.

W szpitalach wysokospecjalistycznych wcale nie jest lepiej. – One również są niedofinansowane, ponieważ wyceny świadczeń medycznych nie odpowiadają realnym kosztom – tłumaczy ekonomistka. – Dyrektorzy nie mogą więc zaproponować fachowcom godziwych zarobków, co powoduje ich odpływanie do sektora prywatnego czy szpitali powiatowych. Nie doprecyzowano poza tym ról szpitali wysokospecjalistycznych i pierwszego kontaktu, co niesie za sobą także ryzyko dla samego pacjenta, który z poważnymi problemami powinien trafiać do ośrodka gwarantującego najskuteczniejsze ich rozwiązanie. System publiczny od lat

w wielu miejscach działa niezgodnie z zasadami racjonalności i gospodarności.

Błędów systemowych jest więcej. – Postawiliśmy na rozwiązania bardzo kosztochłonne – zauważa Gałązka-Sobotka. – Oparliśmy opiekę zdrowotną na leczeniu pacjentów, prawie w ogóle nie inwestując w prewencję poprzez edukację i profilaktykę. W efekcie skala zapotrzebowania na opiekę zdrowotną narasta, a pandemia jeszcze spotęgowała to zjawisko. Po drugie, postawiliśmy na opiekę szpitalną, która jest najdroższa. Tymczasem nowoczesne technologie pozwalają wiele problemów rozwiązać w lecznictwie otwartym, czyli u lekarzy rodzinnych albo w gabinecie specjalistycznym.

Dr Gałązka-Sobotka zwraca uwagę, że polski system nie interesuje się wynikiem leczenia. – Pacjentom nie wyjaśnia się, jak będzie wyglądał cały proces leczenia, nie gwarantuje się jego kompleksowości, nikt go nie koordynuje. Pacjent, wychodząc ze szpitala po operacji, rzadko ma zagwarantowaną rehabilitację, która jest warunkiem skuteczności leczenia ortopedycznego czy onkologicznego. Wydajemy duże pieniądze na operacje i leczenie, ale nie uzyskujemy optymalnego efektu, bo oszczędzamy na rehabilitacji.

Tu dochodzimy do kolejnego fundamentalnego problemu, a zarazem paradoksu. Co prawda liczba świadczeń na każdym poziomie idzie rocznie w miliony, ale nie przekłada się to na efekty. Systemu nie interesuje bowiem, czy pacjent wyzdrowieje. Skupia się on głównie na opłacaniu procedur medycznych w placówkach. Brakuje rejestrów medycznych, które pozwalałyby na ocenę jakości opieki i porównywanie placówek. Gałązka-Sobotka: – Takie podejście jest nie do pomyślenia choćby w branży motoryzacyjnej: producent nie skupia się tylko na tym, ile ma fabryk oraz ile samochodów wytworzy, ale przede wszystkim na tym, czy są sprawne i bezpieczne, czy użytkownicy są zadowoleni.

Jakby tego wszystkiego było mało, pacjent musi na własną rękę szukać kolejnych świadczeniodawców, na ogół w ogóle ze sobą niewspółpracujących i niewymieniających się informacjami. To oznacza, że człowiek chory, wymagający opieki medycznej, musi stać się menadżerem własnej kuracji.

Premia za wyleczenie

Jedną z propozycji wyjścia z tego klinczu jest znany z wielu krajów Zachodu system opieki koordynowanej. Planuje on całą drogę pacjenta od diagnozy po rehabilitację i powrót do normalnej egzystencji, a finansuje się nie pojedyncze procedury, ale cały proces leczenia. Za osiąganie korzystnych efektów ośrodek medyczny otrzymuje na różnych etapach premie. Nie opłaca się więc mnożyć usług, liczy się skuteczność. A pacjent czuje się „zaopiekowany", bo od początku wie, co będzie się z nim działo, otrzymuje też koordynatora leczenia. Badania wykazują również, że u personelu zaangażowanego w taki typ opieki rośnie poziom satysfakcji z wykonywanej pracy – widzi konkretne efekty swoich starań.

Zaprojektowanie opieki koordynowanej i sposobu jej opłacania nie jest łatwe, ale w ostatnich latach jej elementy pojawiają się w polskim systemie. Znakomite wyniki przynosi wprowadzony w 2017 r. program KOS-Zawał (kompleksowa opieka po zawale serca). Pacjenci objęci tym programem mają o 33 proc. niższe ryzyko zgonu i rzadziej wymagają hospitalizacji z powodu zaburzeń kardiologicznych. „Nawet w przypadku nowoczesnej medycyny efektywność jest niższa, jeśli jej poszczególne procedury nie są ze sobą skoordynowane" – komentował te wyniki kardiolog prof. Piotr Jankowski.

Dr Gałązka-Sobotka jest współautorką innego programu opieki koordynowanej – KOS-BAR, przygotowanego dla pacjentów chorych na otyłość olbrzymią, wymagających leczenia operacyjnego. – Jest rozpisany na 24 miesiące. Jeżeli pacjent zostanie zakwalifikowany do leczenia, to przez 3 do 6 miesięcy jest prowadzony przez zespół ↦

Pomoc medyczna dla Ukraińców

„POLSKI SYSTEM OPIEKI zdrowotnej jest przygotowany na przyjęcie pacjentów z Ukrainy, zarówno rannych w wyniku działań zbrojnych, jak i chorych" – zadeklarował minister zdrowia Adam Niedzielski. Podczas konferencji 2 marca mówił m.in. o 7 tys. miejsc przygotowanych w szpitalach.

Narodowy Fundusz Zdrowia już 26 lutego opublikował informację, wedle której Ukraińcy mogą oczekiwać w placówkach medycznych wszelkiej potrzebnej pomocy medycznej, a świadczenia te zostaną rozliczone na podstawie przepisów, które opracowuje rząd (mają działać wstecznie, od 24 lutego). Jedynym warunkiem jest posiadanie zaświadczenia wystawionego przez Straż Graniczną RP lub pieczęci w dokumencie podróży.

Do chwili zamknięcia tego numeru „TP" rząd nie przedstawił rozwiązań ustawowych. Lekarze apelują szczególnie o ustalenie zasad refundacji leków, obecnie bowiem nie ma możliwości wystawiania Ukraińcom recept na leki refundowane – musieliby mieć już potwierdzony prawnie status uchodźców. Poza tym w świetle polskich przepisów lekarz musi zapoznać się z dokumentacją medyczną wcześniejszego leczenia. „Lekarze boją się, że za 5-6 lat NFZ zażąda zwrotu kosztów wypisanych leków. Przepisy są przygotowywane, a ludzie potrzebują leków już" – komentowała Jolanta Zabielska-Cieciuch, lekarka rodzinna z Porozumienia Zielonogórskiego (PZ).

Nie czekając na przepisy, wiele środowisk medycznych podkreśliło gotowość niesienia darmowej pomocy Ukraińcom. „Nasze gabinety są dla Was otwarte, będą dla Was miejscem bezpiecznym, troskliwym i przyjaznym. Zrobimy wszystko, żeby solidarność międzyludzka pomogła przetrwać ten trudny czas" – napisali lekarze zrzeszeni w PZ.

Z kolei portal znanylekarz.pl (umożliwiający umawianie się online na wizyty) uruchomił stronę w języku ukraińskim: na listę deklarujących darmową pomoc i znających język ukraiński lub rosyjski lekarzy, psychologów, fizjoterapeutów i dietetyków z całej Polski wpisało się już prawie 80 osób.

©℗ MaM

interdyscyplinarny, przygotowujący go do operacji w wyspecjalizowanym ośrodku. Ma wyznaczonego koordynatora opieki, który pomaga mu poruszać się w skomplikowanym procesie angażującym chirurgów, internistów, rehabilitantów, diabetologów, kardiologów i psychoterapeutów. Po operacji ma zagwarantowaną dalszą opiekę, w tym rehabilitację. NFZ nie tylko płaci za kolejne etapy opieki, ale także ma nagradzać placówki za osiągnięcie efektów leczenia, np. trwałą poprawę wskaźników metabolicznych.

– Nie ulega wątpliwości, że musimy skleić system, albo inaczej: zburzyć mury pomiędzy poszczególnymi dostawcami opieki, bo dzisiaj pacjent musi się na te mury wspinać – podkreśla dr Gałązka-Sobotka. – Dużo mówi się też o wprowadzeniu asystentów leczenia. Poza tym placówki powinny być zobligowane do tworzenia indywidualnych planów leczenia, dostępnych na Internetowym Koncie Pacjenta. Powinny one wynikać ze standardów diagnostyczno-terapeutycznych dla danego schorzenia. W rezultacie pacjent szybciej wracałby do pracy, co odciążyłoby finanse publiczne.

Czy da się cały system zorganizować w taki sposób? – Nie naprawimy go szybko i w całej rozciągłości – dr Gałązka-Sobotka nie ma złudzeń. – Jeszcze długo będzie działał według dzisiejszych nawyków i zasad, niemniej warto w kolejnych obszarach wdrażać nowoczesne modele organizacji i finansowania oraz pokazywać korzyści z nich wynikające.

Od drzwi do drzwi

Być może elementy koordynowania opieki nad pacjentem pojawią się niebawem w podstawowej opiece zdrowotnej. Obecnie dyskutowana jest w parlamencie nowelizacja ustawy o świadczeniach opieki zdrowotnej, w której miałyby być zawarte przepisy dotyczące wprowadzenia w POZ tzw. budżetu powierzonego. To dodatkowa pula pieniędzy, pozwalająca lekarzowi rodzinnemu kierować chorego na badania diagnostyczne, na które dziś może wysłać go tylko specjalista. – W taki sposób działają np. brytyjscy lekarze pierwszego kontaktu. Budżet powierzony powinien dotyczyć bardzo szerokiej gamy badań, włącznie z tomografią czy rezonansem – tłumaczy dr Maciej Biardzki, lekarz rodzinny z Dolnego Śląska, dawniej pracujący m.in. w NFZ i w zarządach kilku szpitali.

Dzisiaj lekarz rodzinny nie może zlecić wielu badań, co zmusza go do kierowania pacjenta do specjalisty. Biardzki: – Tam trzeba odstać swoje w kolejce, potem z kolejnym skierowaniem idzie się do pracowni. Te ograniczenia są bezzasadne: czy naprawdę na badanie EMG musi kierować tylko neurolog, a na USG stawów ortopeda?

Daleko idące ograniczenia uprawnień lekarza POZ oznaczają dla pacjentów stratę nie tylko czasu, ale i niepotrzebne wydatki. – Jeśli podejrzewam u pacjenta zakrzepicę, muszę skierować go do poradni chirurgii naczyniowej, by tam zbadano przepływy żylne – mówi dr Biardzki. – Ja nie mam możliwości zlecenia tego badania. Przepisy uniemożliwiają mi wypisanie refundowanej recepty na heparynę, która jest tu podstawowym lekiem, bez potwierdzenia zakrzepicy żył głębokich: groziłaby mi wtedy kara z NFZ i konieczność zwrotu kwoty refundacji. Pacjent albo musi przejść całą tę niepotrzebną drogę od gabinetu do gabinetu, albo zapłacić za lek sto procent ceny.

Dr Biardzki wątpi, by po pandemii nastąpiła dobra koniunktura na reformy. – Spodziewam się co najwyżej kilku działań pozornych. Żeby dogłębnie zreformować system, potrzebny byłby człowiek pokroju profesora Zbigniewa Religi, mający silne poparcie społeczne i konkretną wizję.

Namawiam doktora, by wykrzesał z siebie jednak nieco optymizmu. – Czy widzę światełko w tunelu? Może jedno. Pandemia sprawiła, że chyba po raz pierwszy zauważono podstawową rzecz: ochrona zdrowia musi być dobrze finansowana, żeby wykonywać swoje zadania. Jaki był cel lockdownu? Żeby się ludzie nie zakażali? Nie. Żeby nie zakażali się w tempie, który rozsadzi szpitale, żeby nie umierali w domach i na ulicach. Spłaszczyliśmy falę infekcyjną, ale gigantycznym kosztem. I pamiętajmy, że to na pewno nie była ostatnia pandemia. Żeby chronić państwo i gospodarkę, musimy zbudować system opieki zdrowotnej odporny na takie uderzenie, jakie nastąpiło w marcu 2020 roku. ©℗ MACIEJ MÜLLER

Z napięcia między ortodoksją a nieortodoksją tworzy się dialog, z którego powstaje opowieść i z którego bierze się świat.
Olga Tokarczuk
w rozmowie z Tomaszem Stawiszyńskim „Tropem herezji”

Wydanie specjalne „Wiara dla dorosłych”
dostępne w najlepszych miejscach z prasą.
Sprawdź na TygodnikPowszechny.pl/dladoroslych

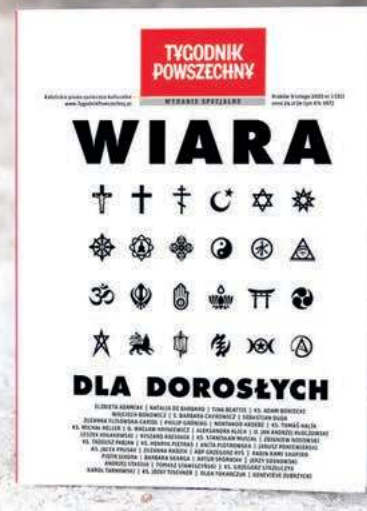

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN DLA „TP”

Nie będziemy chodzić głodni

PIOTR WÓJCIK

Wyższe ceny energii, wzrost inflacji i długu publicznego oraz podwyżki podatków. Taki będzie koszt, jaki zapłacimy za agresję Rosji. Niezbyt wygórowany na tle tego, co tracą wszyscy Ukraińcy.

ROMAN BOSIACKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

W dniu inwazji Rosji na Ukrainę kierowcy ruszyli po paliwo. Bydgoszcz, 24 lutego 2022 r.

Po niemal dwóch tygodniach od rozpoczęcia brutalnej rosyjskiej inwazji w naszym społeczeństwie wciąż widać entuzjastyczne objawy solidarności z Ukraińcami i hojną pomoc niesioną uchodźcom. Z czasem będzie o to coraz trudniej, gdyż zaczniemy odczuwać negatywne skutki gospodarcze wojny, tym bardziej jeśli destrukcyjne działania Kremla będą trwać przez kolejne tygodnie. Ale nawet gdyby konflikt zakończył się szybko, powrót do gospodarki sprzed ataku na Kijów będzie niemożliwy, choćby z uwagi na załamanie relacji politycznych i gospodarczych z Rosją. Koszty te musimy jednak ponieść, by zatrzymać próbę zupełnego wywrócenia europejskiego porządku.

Bez wątpienia przez najbliższe miesiące będziemy bombardowani rosyjską propagandą, wyolbrzymiającą płaconą przez nas cenę i namawiającą do szybkiego powrotu do zasady *business as usual*. Żeby być na nią odpornym, musimy umieć przewidzieć, co nas czeka.

Pożar w spichlerzu

Wojna toczy się niemalże u naszych drzwi, więc poziom bezpieczeństwa i stabilności spadł w całym regionie. Pierwszym skutkiem tej dramatycznej zmiany jest znaczne osłabienie naszej waluty wobec dolara i euro. Na szczęście Narodowy Bank Polski ma rezerwy, którymi może interweniować na rynku, np. skupując złotego za waluty zagraniczne. W zeszłym roku rezerwy NBP wyniosły łącznie 163 mld dolarów, co jak na gospodarkę naszej wielkości jest bardzo pokaźną kwotą – przygotowująca się do bardzo kosztownej wojny ogromna Rosja zgromadziła rezerwy tylko czterokrotnie większe.

Do pierwszej interwencji w obronie złotego doszło już na początku marca i zapewne takie akcje bank centralny będzie podejmował również w przyszłości. Złoty nie upadnie, nie zabraknie też pieniędzy w bankomatach, choć można sobie wyobrazić, że zmasowane akcje dezinformacyjne Moskwy wywołają wśród Polaków krótkotrwałe, paniczne reakcje.

Trwalsze zagrożenie będzie wynikało z szybszych podwyżek stóp procentowych, niż miało to miejsce w ostatnich miesiącach. Raty kredytów hipotecznych znów odczuwalnie wzrosną i część zadłużonych rodzin może znaleźć się na granicy wypłacalności.

Polska gospodarka zderzy się ze ścianą problemów także dlatego, że Rosja jest jednym z największych eksporterów surowców na świecie, w tym ropy i gazu. Rozpoczęcie przez nią wojny doprowadzi więc do wzrostu cen paliw. Właściwie już doprowadziło – ceny benzyny na stacjach przebiły granicę 6 złotych.

– Inwazja na Ukrainę podwyższy inflację w Polsce i Europie. Szacujemy, że przekroczy ona 10 proc. już w kwietniu lub maju, pomimo rządowych tarcz. Będzie to przede wszystkim efekt wyższych cen paliw, gazu oraz żywności – twierdzi Piotr Arak, dyrektor Polskiego Instytutu Ekonomicznego.

Tak naprawdę trudno jednak przewidzieć poziom wzrostu cen w warunkach działań wojennych.

– Sytuacja jest kompletnie nieprzewidywalna. Pewne jest jednak, że ceny energii wzrosną oraz że istnieje realne ryzyko jej braków – zauważa dr Wojciech Paczos, ekonomista z Uniwersytetu w Cardiff.

Nasze problemy nie będą związane tylko z Rosją. Ukraina z kolei bywa nazywana spichlerzem świata. Wojna bez wątpienia spowoduje załamanie upraw zbóż, jak i całej produkcji rolnej, bowiem w marcu powinny zaczynać się już siewy.

– W 2020 r. Ukraina była drugim największym eksporterem zbóż na świecie, a Rosja trzecim. Co prawda oba kraje ↦

↦ eksportują głównie do krajów Azji, ale niedobory spowodują wzrost cen na całym świecie – ostrzega Arak. Nie ma jednak ryzyka dla bezpieczeństwa żywnościowego w Europie, gdyż Ukraina odpowiada za jedynie 4 proc. importu artykułów spożywczych w UE. Pod tym względem ważniejszymi dostawcami do Unii są Brazylia, USA oraz Norwegia.

Poza tym akurat o rolnictwo martwić się nie musimy, gdyż sektor ten jest nad Wisłą bardzo rozwinięty.

– Polska będzie dotknięta słabiej od większości krajów Unii, ponieważ nasza produkcja jest większa od krajowego zapotrzebowania – przekonuje dyrektor PIE. Mogą pojawić się niedobory bardzo wąskiej grupy towarów, głównie olejów – sojowego, rzepakowego i słonecznikowego – które w dużej części importowaliśmy z Ukrainy. Ceny żywności zapewne więc wzrosną, ale nie ma ryzyka, że zabraknie jej na półkach.

Kobiety, dzieci, starcy

Z powodu wojny w Ukrainie musimy się też zmierzyć z kryzysem uchodźczym. Dziś nie wiemy, czy do Polski trafi milion osób, czy więcej.

Na pewno jednak stanie się to wyzwaniem dla polskiego rynku pracy. Według GUS pod koniec ubiegłego roku w Polsce było ponad 150 tys. wakatów, ale większość wymagała konkretnych kwalifikacji, których uchodźcy mogą nie mieć. Popularny wśród Ukraińców handel potencjalnie mógłby dać pracę kilkunastu tysiącom osób. Trzeba jednak pamiętać, że obecna migracja do Polski ma specyficzny charakter.

– Połowa osób przekraczających naszą granicę jest nieletnia i wymaga opieki. Wśród uchodźców pojawiają się również osoby starsze i cudzoziemcy, których wojna zastała na terenie sąsiada. Ci ostatni zapewne uznają nasz kraj za tranzytowy. Natomiast ze względu na trwającą mobilizację w Ukrainie mężczyźni w wieku poborowym są zobowiązani do dołączania do armii i nie mogą opuszczać kraju, przynajmniej na razie – wskazuje Arak.

Trudno obecnie powiedzieć, ilu uchodźców będzie chciało ułożyć sobie życie w Polsce na stałe, ale z racji bliskości Ukrainy i podobieństw kulturowych, będzie to znaczna liczba. Rząd pracuje nad specustawą, która miałaby umożliwić wszystkim uchodźcom podjęcie legalnej pracy. Większość z nich jednak nie będzie szukać zatrudnienia, gdyż to głównie dzieci, samotne matki oraz osoby starsze. Za wcześnie więc oceniać wpływ obecnej migracji na rynek pracy. Sytuacja musi się najpierw ustabilizować.

Ukraina bywa nazywana spichlerzem świata. Wojna bez wątpienia spowoduje załamanie upraw zbóż i produkcji rolnej, bowiem w marcu powinny zaczynać się już siewy.

– Mamy do czynienia z osobami uciekającymi przed wojną i szukającymi bezpieczeństwa. Dopiero po zapewnieniu im schronienia i miejsc w szkołach dla dzieci będziemy mogli mówić o kwestiach związanych z rynkiem pracy – wyjaśnia dyrektor PIE.

To wszystko oznacza, że państwo polskie będzie musiało zmierzyć się z bardzo wysokimi wydatkami, i to już w najbliższych tygodniach. Rząd nie tylko zapowiedział objęcie wszystkich ukraińskich dzieci świadczeniem 500 plus, ale też zapewnienie uchodźcom bezpłatnej opieki medycznej w polskich placówkach. To są bardzo chwalebne decyzje, jednak kosztowne. Tymczasem polski budżet został nadwyrężony pandemią oraz tarczami antykryzysowymi. Zdaniem ekonomistów powinniśmy jednak poradzić sobie z obecnym kryzysem humanitarnym.

– Polskę stać na dodatkowe wydatki. Można je sfinansować poprzez przesunięcia w obecnym planie, poprzez podwyżkę podatków lub emisję długu. A najlepiej przez kombinację tych działań – wyjaśnia Wojciech Paczos.

Piotr Arak wskazuje natomiast, że chociaż w czasie pandemii nasz dług publiczny wzrósł do 56,5 proc. PKB, to wg szacunków MFW w najbliższych dwóch latach ma spaść do 52 proc. Tak więc nowe wydatki budżetowe po prostu zahamowałyby proces zmniejszania zadłużenia w relacji do PKB.

W związku z wojną Komisja Europejska zapowiedziała, że w przyszłym roku nadal nie będą obowiązywać unijne reguły fiskalne zawieszone w czasie pandemii, co umożliwi nam utrzymywanie podwyższonego deficytu budżetowego. Być może otrzymamy też z Unii jakieś nadzwyczajne wsparcie.

Równocześnie jednak Jarosław Kaczyński zapowiedział zwiększenie wydatków na zbrojenia do 3 proc. PKB, a więc o połowę, i to już w przyszłym roku. Musimy więc przygotować się na podwyżkę podatków. Zapewne zacznie się to od przywrócenia poprzednich stawek VAT, obniżonych tarczą antyinflacyjną.

Damy sobie radę bez Rosji

O ile nie dojdzie do jakiegoś tragicznego scenariusza, nie powinno być większego zagrożenia recesją spowodowaną odcięciem UE od rosyjskiego rynku zbytu. Sankcje unijne jak na razie zabraniają sprzedaży wybranych technologii – np. części do samolotów. Jednak nawet zupełne embargo na eksport do Rosji nie byłoby dla polskiej gospodarki specjalnie odczuwalne. Według danych PIE, rosyjski popyt na dobra i usługi generuje zaledwie 0,7 proc. unijnego PKB i 1 proc. polskiego.

– Unijna gospodarka nie jest zatem uzależniona od Rosji popytowo, ale podażowo. Najważniejsze wyzwanie dla unijnej i polskiej gospodarki stworzyłoby embargo na import surowców energetycznych z Rosji – zauważa Arak.

Inaczej mówiąc, sankcje gospodarcze nałożone na Rosję nie powinny wpłynąć na wzrost bezrobocia w Polsce i UE, gdyż nasze przedsiębiorstwa bez większych problemów powinny znaleźć rynki zbytów w innych rejonach świata. Bez wątpienia jednak wpłyną na wzrost cen energii, szczególnie gazu. Polska będzie niezależna od rosyjskich dostaw najwcześniej w przyszłym roku, gdy gazociąg Baltic Pipe osiągnie pełną przepustowość.

Do tego czasu minie jednak jeszcze przynajmniej jedna zima, podczas której użytkownicy gazu będą musieli zapłacić znacznie wyższe rachunki. To jednak cena konieczna, by zatrzymać imperialne plany Moskwy i ocalić Europę.

© PIOTR WÓJCIK

DOROTA

Masłowska:
Happy sleep

Kapsułki Happy Sleep, które poleca mojemu chłopakowi farmaceutka, mają w sobie coś niewydarzonego. Opakowanie przedstawia wiecheć ziół spoczywających na Księżycu, z którego (domyślnych) ust wydobywa się chrapnięcie („zzzzzz"). Infantylnie szpetny projekt budzi we mnie taki sam dreszcz dystopii, jak wielki napis „Family Protection" na paście do zębów, pod którym widnieje zębata trzyosobowa rodzinka – jakby zabezpieczona swoimi ślepiąco białymi siekaczami przeciwko złemu losowi. O dziwo, medykament zdaje się działać. Szczęście wywoływanego przez niego snu polega na wrzaskliwej mnogości wątków; niby w kalejdoskopie postaci i twarze rodzą się z siebie, krzycząc. Jednak kiedy się budzę, szczęście znika. Jest piąta, mój chłopak jeszcze nie śpi. „Wojna wybuchła" – mówi, zdejmując zegarek. Trwoga i jej potoczność. Nienormalność i jej normalność. Leżymy w żółtawej ciemności warszawskiej nocy, podekscytowani i płaczliwi.

Na ulicy rano podminowane baby. Ręce założone na brzuchy, torby, siaty zawieszone tam jak na hakach. Nie wiadomo, jaki to gramatycznie czas. „Benzyny już od dawna ponoć ma nie być", „Do bankomatów były są będą kolejki". W piekarni sprzedawczynie sprzedają chleb samymi rękami. Oczami patrzą w dal. Usta same rozmawiają. „Podobno wykupują". „Podobno bomba za bombę", „Putin podobno w schronie w Ałtaju siedzi". Pod bankiem kolejka babć i dziadków. Wózki, kule, laski. Po kątach staruszki liczą oszczędności życia wypłacone przez spustoszone bankomaty w pięćdziesięciozłotówkach. Idą ukryć je w tapczanach, maselnicach, kołowrotkach, krosnach.

Jadę do szpitala. Ale tam wojna dociera powoli, z trudem forsując grubą warstwę ciszy i przegrzanego powietrza. Problemy chorych ciał, konkretne, dosłowne, zdają się odpierać te bardziej abstrakcyjne, nawet jeśli są totalne. Ogólna ekscytacja z trudem przenika przez obezwładniający spokój, rutyny, błędne koła szpitalnej rzeczywistości. Wszystko wydarza się tu rano, kiedy korytarzami niesie się tętent chodaków, lekarskich kopyt. Około 13.00 dzień zaczyna się kończyć. O 16.30 pryzma z kromek chleba i połówki serka topionego ogłasza nadejście nocy. Plumkają aparatury, beczą dzieci, parska morda zatrzaskiwanej mikrofalówki.

Kobieta z pyzatym chłopczykiem na ręku przychodzi do kuchni najczęściej. Nie potrafię oszacować jej wieku, bo takie rzeczy stają się tu nie do stwierdzenia. Wysoka temperatura, cisza, pustka, powtarzalność dni rozpuszczają rysy twarzy i atrybuty tożsamości. Zdekoloryzowane matki w uniformach dresów i leginsów z Hello Kitty, włosach ściągniętych recepturkami wędrują mantrycznie między salą a kuchnią, stare i młode, grube i chude jednocześnie. „Tak ogółem to już cztery miesiące z nim w szpitalu leżę" – mówi kobieta, wkładając tackę do mikrofalówki i patrząc nigdzie. Chyba dawno do nikogo nie mówiła. „Tutaj to jest niebo a ziemia. Pozwalają po jedzenie sobie wyjść, można po korytarzu się przejść. W innych to mi się już zapalenie żył zrobiło od leżenia. A teraz jeszcze ta wojna". „Ale to najwięcej matek z dziećmi teraz do Polski jedzie. Nie tak jak ci z granicy uchodźcy. To sami faceci młodzi, dorośli, pozostawiali rodziny i przyjechali szukać sobie lepszego życia i darmowego socjalu".

Nie potwierdzam ani nie zaprzeczam. Tak paraliżuje mnie ta nagła obcość, dalekość w fizycznej bliskości. Nieopatrznie podjęty small talk okazuje się big talkiem, słowotokiem. Ale to chyba nawet nie są myśli. Brzmi to, jakby coś nawpadało jej do uszu i oczu, kiedy nieopatrznie trzymała je otwarte; zakręciło kilka razy po mózgu, podsycone udręką, samotnością i lękiem i stamtąd pospieszyło do ust. „Ja nie mam tak nic do Ukraińców. Byle uczciwie pracowali, tak? Ja więcej wolę Ukraińców, jak tych Arabów. Bo oni i nie chcą naszej kultury przyjąć, i mają stosunek do kobiet. Ile to napaści przecież było na kobiety. Gwałtów".

Informuje mnie o tym wszystkim lekko, jakby wzdychała, z zadowoleniem kogoś, kto mówi rzeczy może przykre, lecz zasadne. To jakby rozkosz policjanta, który pierwszy raz dostał do ręki pałkę i wymachuje nią, imaginując sobie opór zwijających się z bólu ciał, w powietrzu. Dzwonek mikrofali obwieszcza koniec rundy. Kobieta schodzi z ringu z talerzem pełnym jakiegoś bałaganu, potrawą, która wygląda jak wrzask wariata. Jej twarz na pewno wróci do mnie w szczęśliwym śnie, objęta dziecięcymi rączkami, jasna od nienawiści. ©

POŻEGNANIE

Naszemu autorowi Wojtkowi Nowickiemu

serdeczne wyrazy współczucia z powodu śmierci

Ojca

składają

Przyjaciele z „Tygodnika Powszechnego"

Potencjał kobiet. Jak rozwijać się mimo pandemii?

ZAPRASZAMY DO WYSŁUCHANIA CYKLU PODKASTÓW, w których rozmawiamy o sytuacji kobiet po pandemii, opisujemy problemy i znajdujemy rozwiązania. Naszymi rozmówczyniami będą znakomite ekspertki, teoretyczki i praktyczki: naukowczynie, szefowe firm, które spotykały się z porażkami i osiągnęły sukces. To kobiety, które dokonały w swoim życiu skutecznej zmiany.

WIELE KOBIET NA CAŁYM ŚWIECIE boleśnie odczuło skutki pandemii, znacznie silniej niż mężczyźni. Raporty organizacji pozarządowych wskazują na pogłębianie się nierówności. Brak rzetelnych działań politycznych i programów zaognia tę trudną sytuację. Jednocześnie, pomimo dodatkowego obciążenia obowiązkami (np. opieką nad bliskimi) to właśnie kobiety zaczęły wyznaczać nowe standardy przywództwa: jako przywódczynie państw, szefowe firm czy liderki lokalnych społeczności.

WIELE OSÓB KRYZYS ZMOBILIZOWAŁ DO DZIAŁANIA, a utrata pracy stała się szansą na nową ścieżkę kariery. Praca zdalna przestała być przywilejem, a stała się elastycznym, efektywnym narzędziem pomagającym godzić obowiązki zawodowe i życie rodzinne. Jak przenieść pozytywne doświadczenia z pandemii na nasze życie zawodowe?

W podkastach poruszymy m.in. takie tematy jak:

- zmiany na rynku pracy i nowe wyzwania dla kobiet,
- obciążenie psychiczne i wypalenie w związku z pandemią,
- trudności związane z pracą zdalną i „prawo do odłączenia się",
- szanse rozwoju zawodowego w nowej sytuacji.

NASZE ROZMOWY TO KNOW-HOW dla współczesnej kobiety w Polsce. Jeśli chcesz się dowiedzieć, jak walczyć z wypaleniem, jak zmienił się rynek pracy, szukasz pomysłów, inspiracji i rozwiązań, to zapraszamy do słuchania.

Biuro PE w Polsce

Twitter, Biuro PE w Polsce

Youtube, Biuro PE w Polsce

Wyłącz komputer, telefon i poczucie winy

KATARZYNA KASIA, FILOZOFKA:

Jeśli my kobiety nie zatroszczymy się o siebie, nie będziemy w staNie funkcjonować. W samolocie słyszymy przecież: „Maskę tlenową proszę założyć najpierw sobie, w późniejszej kolejności osobom znajdującym się pod naszą opieką".

MAŁGORZATA NOCUŃ: Czego nauczyła nas kobiety pandemia?
KATARZYNA KASIA: Poruszę dwie kwestie. Po pierwsze: pandemia uświadomiła nam – szczególnie w kontekście wykonywanej przez nas pracy – że technologia może być naszą sojuszniczką. Możemy dzięki niej uelastycznić pracę, zaoszczędzić czas. I chociaż już wcześniej wiele obowiązków wykonywałyśmy zdalnie, to teraz przekonałyśmy się, że praca na odległość nie jest „gorsza". To praca pełnowartościowa. Świat akademicki korzysta z tej formy kontaktu od dawna, ale nigdy nie czynił tego na taką skalę. Pandemia unaoczniła nam, że nie musimy codziennie być obecni na uczelni.

Ale – i tu przechodzę do drugiej, trudniejszej kwestii – zaczęliśmy się przyzwyczajać do stylu pracy, w którym żąda się od nas bezustannej, wręcz stuprocentowej dostępności. W wielu osobach (wcześniej pracujących w określonych godzinach) praca online wytworzyła złudzenie, że można pracować bez przerwy. Pojawił się wielki problem z oddzieleniem pracy od czasu wolnego. Aktywność zawodowa i inne obowiązki zaczęły się przenikać. Okazało się, że można uczestniczyć w spotkaniu online i jednocześnie robić obiad. Zwłaszcza dla kobiet taki model funkcjonowania wiąże się z problemem zupełnego braku czasu na jakąkolwiek formę wypoczynku. Chcę też podkreślić: pandemia nie minęła. Przeżyliśmy szczyt piątej fali, ale przy tak niskim wskaźniku szczepień jesienią liczba chorych może znów gwałtownie wzrosnąć.

Więc praca zdalna z nami zostaje.
Obecnie jesteśmy na etapie funkcjonowania hybrydowego. Łączymy pracę zdalną z wykonywaniem obowiązków „na miejscu", czyli np. w biurze, uczelni. Żyjemy równocześnie w dwóch światach. Mamy bezpośrednie relacje z ludźmi, ale możliwość spotykania się i funkcjonowania online pozostaje. Uważam jednak, że przeniesienie części życia zawodowego do sfery wirtualnej jest trwałą zmianą. Uświadomiliśmy sobie bowiem, że w takim systemie wykonywania zawodowych obowiązków nasza produktywność jest większa. Jako wykładowczyni akademicka wiele aktywności mogę wykonywać dzięki internetowi. Teraz rozmawiam z panią, a zaledwie przed chwilą skończyłam konsultację ze studentką. I była to merytoryczna, pełnowartościowa rozmowa. Poświęciłam na nią mniej energii, niż jeśli musiałabym jechać na uczelnię i stać w korkach. Wiele kobiet może w takim hybrydowym systemie pracy łatwiej pogodzić różne obowiązki.

Wspomniała Pani, że łatwo wpaść w pułapkę pracy, która „nigdy się nie kończy". Jak więc znaleźć czas i przestrzeń, by zadbać o siebie.
Niestety, w zdalnym modelu pracy nie zamykamy komputera i nie wychodzimy z biura. Jeśli „coś wypadnie", to nie musi poczekać do jutra. Istnieje pokusa, żeby wszystko wykonać natychmiast. I w tym kontekście bardzo wiele z nas przestało myśleć o rzeczy niezmiernie ważnej, czyli o dbaniu o siebie. Umyka nam troska o zachowanie równowagi pomiędzy życiem prywatnym i zawodowym. Potrzebujemy uświadomić sobie, że troska o siebie i nasz psychiczny dobrostan jest kluczowa. Jako kobiety żyjące w patriarchalnym społeczeństwie opiekujemy się wszystkimi dookoła. Ten model przypisuje nam taką właśnie rolę. Kobieta jest „tą, która się troszczy". Chcę jednak podkreślić: jeśli nie zaopiekujemy się sobą, nie będziemy w stanie funkcjonować. Sytuację tę porównałabym do komunikatu, który słyszymy w samolocie: „Maskę tlenową proszę założyć najpierw sobie, a w późniejszej kolejności osobom znajdującym się pod naszą opieką". Przypomnijmy sobie tę podstawową zasadę. Jeśli chcesz pomagać innym (a w kontekście wojny na Ukrainie będzie to potrzebne), musisz zadbać o siebie. Jeśli tego nie uczynisz, nie będziesz w stanie pomóc nikomu.

Dlatego Unia Europejska wprowadza prawo mówiące o „odłączeniu się". Po ośmiu godzinach pracy zamykamy komputer. A pracodawca powinien zrefundować nam rachunki za wykorzystany w domu prąd.
Ta dyrektywa jest mądra i potrzebna. Ale musimy pamiętać o jednym: jeśli sami nie zdobędziemy się na to, by wyłączyć komputer, nikt tego za nas nie zrobi. To my musimy zatroszczyć się o swój wolny czas, który jest jednym z podstawowych praw. Szczególnie jeśli my kobiety same nie będziemy respektować swoich praw i dbać o swój wypoczynek oraz prawo do wolnego czasu, to nikt nam nie stworzy możliwości regeneracji. Same musimy wyłączyć komputer, telefon i pozbyć się absurdalnego poczucia winy. Troska o własne prawo do odpoczynku nie jest egoizmem, jest mądrym altruizmem.

Poświęcały się nasze babki i matki. Więc i my powinnyśmy, tego się od nas oczekuje.
Tak. Tego się od nas oczekuje. Ale każda z nas powinna sobie zadać pytanie: „Jakie ja mam wobec siebie oczekiwania?". Oczywiście, można chcieć być heroską. Udźwignąć wszystko, ze wszystkim dać radę. Ale jeśli jest się odpowiedzialnym nie tylko za siebie, ale także za innych, należy zadać sobie pytania: „Jak długo dam radę? Jak długo będę w stanie działać w takim wypalającym rytmie?". Jeśli dla troski o siebie kobieta potrzebuje zewnętrznego usprawiedliwienia, to musi zastanowić się, co będzie w stanie zrobić dla innych, kiedy sama stanie się niewydolna. Odpowiedź jest prosta: nic nie będzie w stanie zrobić.

Czy to w ogóle jest czas, by mówić o rozwoju zawodowym i ambicjach kobiet?
Nie ma złego czasu na mówienie o zawodowych ambicjach kobiet. Teraz najważniejsze jest jednak stworzenie wielkiej samopomocowej siostrzanej sieci wspierającej uchodźczynie z Ukrainy. Oprócz doraźnej materialnej pomocy, powinnyśmy pomyśleć o wsparciu dla nich w cierpieniu psychicznym i o takim przeorganizowaniu świata, żeby mogły tutaj żyć, uczyć się, pracować. Po prostu być. ©

Dr KATARZYNA KASIA jest filozofką, wykładowczynią, publicystką.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

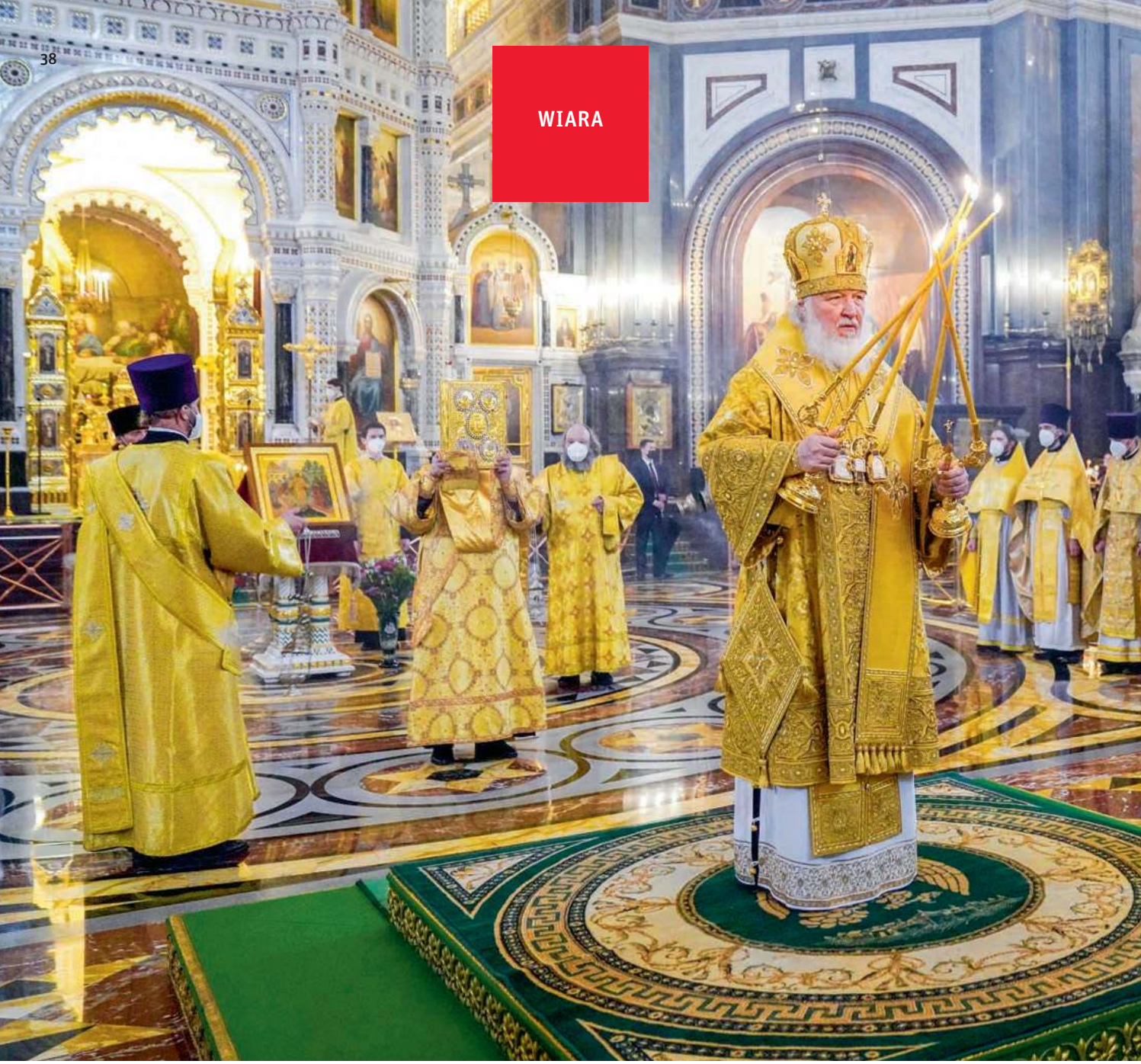

NIE-BOŻY POMAZANIEC

Putin trafi do piekła – przestrzega grupa duchownych, która wyłamała się z podporządkowanej autokracie Cerkwi prawosławnej.

ANNA ŁABUSZEWSKA

IGOR PALKIN / AFP / EAST NEWS

PATRIARCHA CYRYL podczas nabożeństwa w soborze Chrystusa Zbawiciela nazwał siły sprzeciwiające się Rosji „diabelskimi". Moskwa, 27 lutego 2022 r.

ROSYJSKA CERKIEW PRAWOSŁAWNA jest największym lokalnym Kościołem prawosławnym na świecie. Dysponuje obecnie 34 764 świątyniami lub innymi miejscami, gdzie mogą odbywać się nabożeństwa. Kult sprawuje 35 tys. duchownych oraz prawie 5 tys. diakonów. Posiada 455 męskich i 471 żeńskich klasztorów. Cerkiew nie podaje danych o liczbie wiernych należących do wspólnoty.

Na dzień przed inwazją Rosji na Ukrainę patriarcha Moskwy i całej Rusi Cyryl podczas obchodów Dnia Obrońcy Ojczyzny wypowiedział zagadkowe słowa: żołnierze nie mogą mieć żadnych wątpliwości, że dokonali słusznego wyboru. Czy było to błogosławieństwo dla wojny Putina?

W orędziu ogłoszonym już w dniu rosyjskiej agresji zbrojnej na ukraińskie ziemie Cyryl też nie wychylił się poza wyznaczone przez Kreml ramy – nie nazwał agresji agresją, nie potępił tych, którzy wysłali armię do walki z pobratymcami. Również cztery dni później, w niedzielnym kazaniu po liturgii w najważniejszej świątyni rosyjskiego prawosławia, soborze Świętego Zbawiciela w Moskwie, myśli patriarchy biegły na Ukrainę przez Kreml i nawiązywały wprost do oficjalnej wykładni władz. Nie po raz pierwszy patriarcha wsparł pasterskim słowem Putina. Ich współpraca od początku świetnie się układa, Cyryl posłusznie realizuje plany Kremla.

Symfonia ołtarza i tronu

Po śmierci Aleksego II, pierwszego patriarchy odzyskanej z sowieckich popiołów Cerkwi, w 2009 r. najwyższym zwierzchnikiem rosyjskiego prawosławia został Władimir Gundiajew, zakonne imię Cyryl. Jedni wiązali z jego nastaniem nadzieje na otwarcie Cerkwi na świat, na ekumenizm (Cyryl był przez lata szefem wydziału kontaktów zagranicznych Patriarchatu Moskiewskiego), na nowe trendy, inni podkreślali zagrożenia płynące z domniemanej współpracy Gundiajewa z KGB (agent „Michajłow").

W inauguracyjnym przemówieniu Cyryl opowiedział się za budową stosunków z władzami świeckimi „na zasadzie symfonii". Pięknie brzmiąca metafora w realiach okazała się wymianą wzajemnych uprzejmości i konkretnych usług. Główną partię w tej symfonii od początku grał Kreml, z biegiem lat zawładnął wręcz pulpitem dyrygenckim, wyznaczając Cerkwi do wykonania jedynie kontrapunkty, polegające na wspieraniu władz w najtrudniejszych i najbardziej kontrowersyjnych projektach politycznych.

Okazji było wiele, choćby przed wyborami prezydenckimi w 2012 r. Władimir Putin miał wtedy po czteroletniej przerwie (gdy prezydentem był Dmitrij Miedwiediew) powrócić na Kreml. Moskwą wstrząsały wielotysięczne protesty przeciwko sfałszowanym wyborom do Dumy. Wzbierała też fala niezgody na pozostanie Putina u steru. Tymczasem, jak pisze Swietłana Sołodownik, rosyjska publicystka specjalizująca się w tematyce religijnej, patriarcha osobiście wsparł Putina, nie protestujących: „Muszę otwarcie powiedzieć jako patriarcha, który zobligowany jest do mówienia prawdy, niezależnie od politycznej koniunktury ↦

↦ i propagandowych akcentów, jak wielką rolę odegrał pan, Władimirze Władimirowiczu, w prostowaniu krzywizn naszej historii. Chciałem panu za to podziękować".

Cerkiewni hierarchowie wyruszyli z krucjatą przeciwko wichrzycielom porządku, którzy manifestowali na ulicy niezadowolenie wobec władzy. W mediach powielali przekaz propagandowy Kremla o knowaniach Zachodu, który chce wywołać w Rosji kolejną „kolorową rewolucję" i wysadzić z siodła Putina. Rzecznik antyzachodniego kursu, ojciec Wsiewołod Czaplin przypominał, że w dawnych czasach Cerkiew wzywała ludzi do broni i błogosławiła idących w bój w słusznej sprawie. A tą słuszną sprawą jest popieranie kursu politycznego władz. Budująca swoją potęgę militarną Rosja zawsze mogła liczyć, że na uroczystości wodowania okrętów wojennych czy umieszczania na dyżurze bojowym nowych rakiet obecny będzie prawosławny duchowny z kropidłem.

Patriarcha bez Ukrainy

W 2014 r. po aneksji Krymu Putin znowu potrzebował poparcia Cerkwi. Patriarcha Cyryl długo lawirował. Stosunki z ukraińską Cerkwią stanowiły bowiem jedno z najważniejszych wyzwań, przed jakimi stanął. W Kijowie istniały od 1991 r. dwie ważne ukraińskie Cerkwie: Ukraińska Cerkiew Patriarchatu Moskiewskiego, większa, kanoniczna (tzn. uznawana przez wspólnotę prawosławnego świata), oraz samodzielna Ukraińska Cerkiew Patriarchatu Kijowskiego, nieuznająca zwierzchnictwa Moskwy, bez kanonicznego statusu. Przez lata trwał stan zawieszenia. Cyryl zabiegał o popularność u ukraińskich wiernych, często odwiedzał Ukrainę w duszpasterskich podróżach. Konsekwentnie promował przy tym jedność prawosławia pod przewodnictwem Moskwy.

Koncepcja „terytorium kanonicznego", czyli naturalnej strefy wpływów Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, jednego „narodu prawosławnego", „jednej Rusi" (Rosja, Ukraina, Białoruś) współgrała z lansowanym przez Kreml projektem „ruskiego świata" (*russkij mir*), też obejmującego ziemie „ruskie", będące naturalną strefą politycznych wpływów Moskwy. Obie te koncepcje zakładały pozostanie Ukrainy w zależności od Rosji. I obie zostały poddane weryfikacji.

Prawosławna hierarchia wspiera Putina

– prowadzi krucjatę przeciwko wichrzycielom porządku, którzy manifestują na ulicy niezadowolenie wobec władzy.

Wydarzenia na Majdanie, a potem aneksja Krymu i rozpętana na wschodzie Ukrainy wojna, która doprowadziła do faktycznego oderwania części Donbasu, zmieniły sytuację i notowania Cyryla w Kijowie. Ukraińscy wierni w pełnych napięcia dniach nie doczekali się dobrego słowa od swego pasterza. A patriarcha *de facto* stanął znów po stronie Kremla: nie potępił rosyjskiej wojennej awantury i zabijania braci. Cyryl nie odważył się już potem pojechać z pielgrzymką do Kijowa, nie odwiedził więcej jednego z najważniejszych ośrodków prawosławia, Ławry Peczerskiej.

Konsekwencją polityki uników i opowiedzenia się patriarchy po stronie Putina było stopniowe słabnięcie wpływów Patriarchatu Moskiewskiego w Ukrainie – hierarchowie ukraińskiej Cerkwi coraz częściej przechodzili na pozycje antyrosyjskie. Proces ten został zwieńczony w styczniu 2019 r. przyznaniem przez honorowego zwierzchnika światowego prawosławia patriarchy Konstantynopola Bartłomieja tomosu (aktu nadania autokefalii) Cerkwi Prawosławnej Ukrainy, czyli zdjęcia zwierzchności cerkiewnych struktur Moskwy nad Kijowem. Dominacja rosyjskiej Cerkwi w ukraińskim prawosławiu została przełamana, choć autokefaliczna ukraińska Cerkiew nie zyskała dzięki temu dominującej pozycji – wpływy Patriarchatu Moskiewskiego i jego struktur pozostawały silne; ponadto autokefalii nie uznała większość lokalnych Cerkwi.

Można założyć, że obecna, rozpętana przez Putina i niepotępiona przez Cyryla wojna ostatecznie przypieczętuje usamodzielnienie się ukraińskiego prawosławia od moskiewskiego zwierzchnictwa. Wprawdzie metropolita Kijowa Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego Onufry nazwał inwazję Rosji na Ukrainę „grzechem Kaina", ale czy kiedykolwiek zdoła odzyskać utracone pozycje? Na razie opuścił Kijów. Część duchownych tej Cerkwi wystosowała 2 marca apel do Cyryla i Onufrego o rozważenie wystąpienia struktur cerkiewnych z Patriarchatu Moskiewskiego w związku z poparciem tegoż dla rosyjskich władz. „Myśleliśmy, że jesteś naszym ojcem, a ty zachowałeś się gorzej niż ojczym" – napisał proboszcz jednej z kijowskich parafii.

Kremlowski kult

Jednocześnie z utratą wpływów w Ukrainie można było zaobserwować spadek akcji Cerkwi także na wewnętrznej rosyjskiej scenie. Patriarchat Moskiewski pod wodzą Cyryla był coraz częściej obsadzany w roli jednej z instytucji usługowych Kremla. Cerkiew została wpisana przez władze jako podwykonawca projektu tzw. konserwatywnego zwrotu w polityce Kremla, obliczonego na wyrugowanie tendencji modernizacyjnych opartych na zachodnich wzorcach. Jak pisali w analizie Ośrodka Studiów Wschodnich „Potiomkinowski konserwatyzm" Witold Rodkiewicz i Jadwiga Rogoża, chodziło o podkreślenie „fundamentalnej odmienności Rosji od współczesnej cywilizacji zachodniej, aby stworzyć przeciwwagę ideologiczną dla liberalizmu oraz wykluczyć przejmowanie zachodnich modeli ustrojowych. (...) Teza ta służyła także uzasadnianiu rosyjskich aspiracji do roli wielkiego mocarstwa współkształtującego światowy ład oraz konfrontacji ze »zdegenerowanym« Zachodem i poszukiwaniu sojuszników". Cerkiew spełniła pokładane w niej nadzieje władz świeckich.

Pisarz Borys Kołymagin tak opisał to w opozycyjnym portalu „Jeżedniewnyj Żurnał": „Wewnątrz Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej obserwujemy procesy wytwarzania hybrydowej religijności – zlepku świeckiej religii z elementami prawosławnych tradycji, nostalgii za sowiecką przeszłością i marzeń o silnym imperium. Ekspansja wpływów Łubianki [siedziba Federalnej Służby Bezpieczeństwa, wcześniej KGB] czy budowa głównej świątyni Sił Zbrojnych Rosji pod Moskwą [gigantyczna niegustowna budowla, obwołana przez krytyków siedzibą diabła] – to oznaki tego procesu".

Putin narzucił wierzącym w jego geniusz ludziom własną wersję kultu –

rdzeniem tego wierzenia jest mit Pobiedy (zwycięstwa w wielkiej wojnie ojczyźnianej 1945 roku) i związane z nim obrzędy, przede wszystkim masowe marsze „Nieśmiertelnego pułku", w którym uczestnicy niosą portrety swoich przodków poległych w latach wojny. Patriarcha wezwał podległą mu Cerkiew do aktywnego udziału w tych świeckich marszach, przez wielu obserwatorów uważanych wręcz za pogański obrzęd.

Taka hybrydowa religijność w pełni odpowiada zapotrzebowaniu Putina. On sam, wychowany w ateistycznej sowieckiej rodzinie i działający zgodnie z kodeksem kagiebisty, wiele lat temu postanowił upozować się na człowieka wierzącego. Podczas najważniejszych świąt cerkiewnych pojawia się w świątyni, modli się, zapala świeczki, całuje ikony. Wygląda to sztucznie. O przestrzeganiu boskich przykazań w kształtowaniu polityki Putin ewidentnie nie myśli – w imię realizowania swoich celów łamie je bez zastanowienia. Wśród dobranych do wizerunku detali, mających poświadczać jego religijność, prezydent ma także spowiednika. Dla wzmocnienia efektu – sekretnego. To znaczy Putin oficjalnie nie przyznaje się, że ma spowiednika, media natomiast konsekwentnie piszą, że jest nim Tichon (Szewkunow). Ten zaś indagowany w sprawie duchowej opieki nad prezydentem udziela wymijających odpowiedzi. Duchowny w ciągu niespełna dziesięciu lat pokonał drogę na szczyty hierarchii, obecnie jest biskupem, piastuje godność metropolity. Z Putinem poznał go wspólny znajomy – generał KGB.

Cerkiew upodabnia się do państwa, np. ogranicza wolność słowa. Duchowni, którzy prowadzą blogi czy występują w mediach, podlegają kontroli zwierzchności.

Tichon jest głosicielem koncepcji „Moskwa – trzeci Rzym" i bizantyjskich wartości. Oraz – a może przede wszystkim – gorącym orędownikiem wiecznych rządów Putina, czemu dał wyraz m.in. w znamiennym wywiadzie udzielonym pod koniec ubiegłego roku (zamieszczonym na YouTubie). Według Szewkunowa Rosja trzyma się tylko dzięki Putinowi, który miłuje swój kraj i naród, choć wzajemności się za to nie spodziewa. W ujęciu Tichona Putin to pomazaniec Boży, a jedyny problem polega na tym, że jest człowiekiem śmiertelnym.

Cerkiew zamknięta

Putinizm od lat prowadzi wojnę z opozycją, dysydentami, mediami prezentującymi odmienne od władz poglądy, inicjatywami obywatelskimi itd. W ubiegłym roku walka ta weszła w ostrą fazę. Według Kołymagina Cerkiew upodabnia się do państwa, np. ogranicza wolność słowa. Duchowni, którzy prowadzą blogi czy występują w mediach, podlegają kontroli zwierzchności.

„Patriarcha jest zamknięty na krytykę i wymaga pełnej lojalności od swoich współpracowników. Świadczy o tym ignorowanie przejawów krytyki ze strony społeczeństwa (np. w reakcji na afery) oraz blokowanie przejawów pluralizmu wewnątrz Cerkwi. Potwierdzeniem tej tezy było zwolnienie z funkcji wykładowcy w Moskiewskiej Akademii Duchownej popularnego publicysty prawosławnego Andrieja Kurajewa, któremu zarzucano, że zamieszczając na swoim blogu »skandaliczne i prowokacyjne« wypowiedzi na tematy związane z Cerkwią działa na jej szkodę. Kurajewowi, który według komentatorów niegdyś cieszył się pełnym zaufaniem patriarchy, ostatecznie zakazano wystąpień publicznych, co można interpretować jako próbę wprowadzenia w Cerkwi wewnętrznej cenzury" – pisała w raporcie Ośrodka Studiów Wschodnich „Sojusz ołtarza z tronem. Rosyjski Kościół Prawosławny a władza w Rosji" Katarzyna Chawryło.

List sprawiedliwych

Kurajew nie dał sobie zamknąć ust i nadal jest aktywny w niezależnych mediach. Podobnie jak ojciec Aleksiej Uminski, który w wywiadzie dla opozycyjnej „Nowoj Gaziety" mówi o najeździe putinowskich hufców na Ukrainę własnymi słowami, nie oglądając ↦

Słuchaj i rób, co chcesz!

W cyklu „Tygodnik" na ucho

co tydzień 5 wybranych tekstów z bieżącego wydania – do odsłuchania w dowolnym czasie, miejscu i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki z GooglePlay lub AppStore i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów – dla nowych abonentów 14 dni gratis!

TYGODNIK POWSZECHNY

audioteka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

↦ się na wyznaczony odgórnie skrajnie ostrożny kurs władz cerkiewnych: „Jesteśmy podzieleni w naszym świecie, w naszym państwie, w ojczyźnie naszej, w naszej Cerkwi. Linia podziału przebiega wzdłuż linii, czy jesteś za, czy przeciw. Człowiek, Rosjanin, w ogóle nie powinien zastanawiać się nad wyborem strony. Nigdy. W dzieciństwie uczyli nas w szkole piosenki ze słowami poety Jewgienija Jewtuszenki »Czy Rosjanie chcą wojny?«. Pamiętam swoje wrażenia z dzieciństwa – przez plecy przebiegał mi zimny dreszcz. Wszyscy byliśmy przekonani, że to niemożliwe, by Rosjanie chcieli wojny. Niezależnie od tego, jaka to wojna: sprawiedliwa czy niesprawiedliwa, jakakolwiek. I oto nagle okazało się, że nie możemy już więcej śpiewać tej pieśni, że ona nas już nie dotyczy. To katastrofa".

W dowodzonej przez prokremlowskiego patriarchę Cerkwi znalazła się grupa sprawiedliwych, którzy w swoim apelu nazwali rzeczy po imieniu: wojnę wojną, zbrodniarzy zbrodniarzami. Duchowni wystąpili z wezwaniem do natychmiastowego zaprzestania działań wojennych. „My, duchowni i diakoni Rosyjskiej Cerkwi Prawosławnej, każdy w imieniu własnym, zwracamy się do wszystkich, od kogo zależy powstrzymanie bratobójczej wojny w Ukrainie, wzywamy do przerwania ognia i zgody. Sąd Boży dotyczy każdego człowieka. Żadna ziemska władza, żadni lekarze, żadna ochrona nie uratuje przed Sądem Bożym. Troszczymy się o zbawienie każdego człowieka uważającego się za dziecię Cerkwi, nie chcemy, aby on pojawił się na Sądzie Bożym obciążony ciężkim brzemieniem przekleństw matek. Tego, kto wydaje zbrodnicze rozkazy, czeka nie życie, ale wieczna męka. Przypominamy, że życie każdego człowieka jest bezcennym i niepowtarzalnym darem Bożym, dlatego chcemy, aby wszyscy żołnierze – i rosyjscy, i ukraińscy – powrócili do swych domów cali i zdrowi" („Obraszczenie swjaszczennosłużitelej Russkoj Prawosławnoj Cerkwi").

Do tej chwili (2 marca, godz. 12.40) podpisy pod apelem złożyło 233 duchownych.

© ANNA ŁABUSZEWSKA

Wojna Putina – test dla Watykanu

MASSIMO FAGGIOLI

Papież prowadzi ostrożną politykę wschodnią, widząc się w roli mediatora. Wydarzenia ostatnich tygodni potwierdzają słabość Franciszkowego pontyfikatu w dostrzeganiu rosyjskiego zagrożenia.

Watykan realizuje koncepcję „pozytywnej neutralności" – przekonywał sekretarz stanu kard. Pietro Parolin na zorganizowanej przez siebie w lutym 2019 r. na Uniwersytecie LUMSA (Niezależny Uniwersytet pw. MB Wniebowziętej) w Rzymie konferencji z okazji 90. rocznicy podpisania Paktów Laterańskich pomiędzy Stolicą Apostolską a państwem włoskim (a mówiąc precyzyjnie – faszystowskim reżimem Benita Mussoliniego). „Stolica Apostolska nie ogranicza się jedynie do patrzenia przez okno, ale przyczynia się do budowania dialogu pomiędzy zaangażowanymi w konflikt stronami (...), przyjmując postawę towarzyszącą, służącą szybszemu rozwiązaniu problemu". Celem takiej postawy – nieustannego dialogu z państwami w stanie konfliktu – jest „zapewnienie ludzkości godnej przyszłości", tłumaczył Parolin. Wtedy za przykład wprowadzania w życie tej koncepcji podawał stanowisko Watykanu wobec Wenezueli. Dziś to samo podejście realizowane jest wobec wojny na Ukrainie.

Pojęcie „pozytywnej neutralności" wpisuje się w szerszy obraz papiestwa i pojmowania jego roli, zwłaszcza za pontyfikatu Franciszka. Papież Bergoglio zinterpretował neutralność i suwerenność Watykanu w nowy sposób, w kontekście tego, co można nazwać „papiestwem granicznym": mocne koncentrowanie się na peryferiach oznacza ponowne zdefiniowanie granic, zwłaszcza w epoce budowy nowych murów pomiędzy państwami i narodami.

Oczywiście, historia aktywnego angażowania się Watykanu w sprawy międzynarodowe jest długa. Ale akceptacja przez Stolicę Apostolską aktualnego podziału państw i ich suwerenności to owoc epoki posoborowej i umocnienia pozycji dyplomatycznych Watykanu. Stolica Apostolska okazała się zdecydowanym obrońcą prawa międzynarodowego i sojusznikiem instytucji międzynarodowych: wielkim szacunkiem darzy ONZ, w której dostrzega jedną z form realizacji teologii jedności wielkiej rodziny ludzkiej. Widać, jak mocno to zaangażowanie Watykanu w „świecki świat" przyspieszyło – zwłaszcza po II wojnie światowej i podczas zimnej wojny.

Zerwanie z eurocentryzmem

Uwolnienie nowych sił papiestwa w kierunku jego „aktywnej neutralności" ma

OSSERVATORE ROMANO / CPP / POLARIS / EAST NEWS

Pierwsze spotkanie papieża Franciszka z Władimirem Putinem, Watykan, 25 listopada 2013 r.

niewątpliwie korzenie w biografii samego papieża. Franciszek jest katolikiem z Ameryki Łacińskiej. Choć ma włoskie korzenie i dobrze zna Europę, jego światopogląd i rozumienie historii nie są zdominowane przez eurocentryzm. Zwrotem w watykańskiej geopolityce za jego pontyfikatu było, przynajmniej do pierwszych miesięcy tego roku, skierowanie większej uwagi na Azję i Bliski Wschód. Dla niektórych tradycyjnych rozmówców Stolicy Apostolskiej była to bolesna zmiana priorytetów: zmniejszyło się uprzywilejowanie Europy, pojawiły się nowe parametry w stosunkach z USA. To zmiana epokowa.

Od czasów zimnej wojny obowiązywała w Watykanie zasada nieingerowania w rolę Stanów Zjednoczonych na polu bezpieczeństwa międzynarodowego, co wpływało na całość relacji z USA i skutkowało dobrymi stosunkami z największym mocarstwem. Oderwanie się od Zachodu pozwoliło Franciszkowi i Kościołowi katolickiemu spojrzeć szerzej na świat, współdziałać z nim w nowy sposób oraz rozpoznać demograficzne zmiany w Kościele na świecie i w konsekwencji przyznać większą przestrzeń katolicyzmowi pozaeuropejskiemu.

Ślepota na zagrożenia

Atak putinowskiej Rosji na Ukrainę, rozpoczęty 24 lutego 2022 r., zmienia te scenariusze i stawia Stolicy Apostolskiej i papieżowi kilka ważnych pytań. Nie da się zaprzeczyć, że system demokratyczny Ukrainy miał wiele wad, ale mimo to rosyjska inwazja na suwerenne państwo jest jednym z frontów wojny pomiędzy systemami etnopopulistycznymi i autorytarnymi z jednej strony a demokratycznymi aspiracjami państw i narodów z drugiej. Wydarzenia ostatnich tygodni potwierdzają słabość Franciszkowego pontyfikatu w dostrzeganiu rosyjskiego zagrożenia. Nikt w Watykanie nie potrafił wprost oświadczyć, że pragnienie papieża, aby Patriarchat Moskiewski był kluczowym partnerem w kwestiach ekumenizmu i stosunków międzynarodowych, nie przesądza o reakcji watykańskiej dyplomacji na długotrwałe zagrożenia dla pokoju na świecie, jakie stwarza prezydent Putin.

Papież i jego dyplomatyczne służby próbowali w ostatnich dniach skorygować swój kurs, ale wciąż w rozczarowująco słaby sposób, o czym mówią, na razie po cichu, na przykład ukraińscy grekokatolicy. Różnicę w działaniach widać najlepiej, gdy przypomnimy sobie zdecydowane działania Franciszka w obliczu wcześniejszych kryzysów – choćby czuwanie modlitewne na placu św. Piotra 7 września 2013 r., gdy Stany Zjednoczone groziły atakiem na Syrię. W okresie poprzedzającym rosyjską inwazję na Ukrainę apele Franciszka były nieśmiałe, a rosyjski ekspansjonizm w ogóle nie był nazywany po imieniu. Również w pierwszych dniach po agresji, aż do końca lutego, papież i watykańskie media bardzo uważały, by nie wymieniać nazwy Rosja i nazwiska Putin.

Obecna wojna jest nie tylko testem dla watykańskiej doktryny „pozytywnej neutralności". Komplikuje też kluczowe aspekty politycznej narracji pontyfikatu Franciszka. W swoim nauczaniu i gestach papież z Argentyny słusznie wytyka grzechy Zachodu i wskazuje na jego obowiązki – na przykład w kwestii imigracji, uchodźców czy ochrony środowiska. Nie robi tego oczywiście w duchu antyliberalnej retoryki Orbána, ale wyraźnie usiłuje wyciągnąć katolicyzm z zachodniego, kapitalistycznego, liberalnego porządku, w kierunku globalnej, postkapitalistycznej perspektywy, bliższej wartościom katolickiej nauki społecznej. Aż tu nagle okazuje się, że zagrożenia dla tych wartości – od godności człowieka poczynając – płyną nie tylko z zachodniego kapitalizmu i liberalnej nowoczesności. Pochodzą także z innych systemów, wobec których Watykan był i jest ostrożny (ze zrozumiałych powodów) i wolał nie poddawać ich otwartej krytyce. To systemy, za którymi opowiadają się wschodzące lub powracające na arenę światowe mocarstwa: Rosja, Chiny i Indie.

Inna Cerkiew

Wojna w Ukrainie różni się od poprzednich wojen, na przykład w byłej Jugosławii w latach 90. XX wieku, także ze względu na religijną ideologię postsowieckiego i neoimperialnego „russkiego miru", która wykorzystuje dla politycznych celów schizmę w obrębie cerkwi i quasi-schizmę w katolicyzmie zachodnim. Ukraina zajmuje centralne miejsce zarówno w chrześcijaństwie prawosławnym (naznaczonym napięciami ↦

↦ Moskwy i z Kijowem, i z Konstantynopolem), jak i w katolicyzmie (naznaczonym trudnymi relacjami grekokatolików – czasami pogardliwie nazywanymi „unitami" – z Rzymem). Z tych powodów rosyjska agresja na nowo definiuje Europę, przez co zmienia także spuściznę watykańskiej *Ostpolitik* z lat 60. i 70. W tamtych czasach dotyczyła ona zupełnie innego kontynentu i innej epoki: czasów zimnej wojny pomiędzy dwoma blokami, z których jeden – komunistyczny z hegemoniczną rolą ZSRR – głosił (kłamliwie) idee „braterstwa narodów", jak najdalsze od nacjonalizmu.

Wojna Putina w Ukrainie oznacza koniec epoki postzimnowojennej. Związek Radziecki już dawno nie istnieje, a międzynarodowa polityka Watykanu musi teraz stawić czoło scenariuszowi, który coraz bardziej przypomina lata 30. ubiegłego wieku – Rosja Putina zastępuje oś dwóch reżimów: nazistowskiego i faszystowskiego.

Watykańska polityka wschodnia lat 60. i 70. traktowała jako jedno zagadnienie ekumenizmu pomiędzy Kościołami w Europie oraz polityczne i wojskowe odprężenie pomiędzy dwoma blokami. Dziś nie jest to już możliwe: ekumenizm musi zmierzyć się z formalnym i nieodwracalnym rozłamem w prawosławiu (przynajmniej w perspektywie krótko i średnioterminowej), zwłaszcza między patriarchatem moskiewskim a Konstantynopolem.

Ostpolitik Stolicy Apostolskiej opierała się też na pewnym „usposobieniu" teologicznym i politycznym prawosławia, uznawanego za religię prześladowaną, poddaną naciskom władzy politycznej i niespełniającą funkcji ideologii nacjonalistycznej. Dlatego Patriarchat Moskiewski wciąż jest w oczach Rzymu niezbędnym rozmówcą, choć już od lat badacze prawosławnej tradycji (zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii) ostrzegają Zachód, że Putin wykorzystuje moskiewską Cerkiew w służbie neoimperialnej ideologii. Polityczna manipulacja rosyjskim prawosławiem ma konsekwencje wykraczające daleko poza Rosję i sprawy religijne.

Przepaść między Watykanem a moskiewską Cerkwią prawosławną jest coraz większa, nie tylko w porównaniu do czasów zimnej wojny i *Ostpolitik*. Papież Franciszek mówi o niestosowaniu przemocy, podczas gdy patriarcha Cyryl z założenia przyjmuje język krucjaty, a kierowanej przez siebie instytucji nadaje rolę Kościoła cesarskiego, podporządkowanego dyktatorowi Putinowi.

Powrót do Europy

W ciągu trzech dekad przed upadkiem muru berlińskiego Stolica Apostolska zdołała stworzyć na zachodzie „strefę buforową", która pozwalała uniknąć identyfikacji katolicyzmu z NATO. Teraz jest o wiele trudniej: wraz z realizacją ekspansjonistycznego projektu przez Rosję NATO zaczyna się odradzać, a USA coraz bardziej potrzebują Europy. Dyplomacja amerykańska, która już od kilku lat miała wątpliwości co do stanowiska Watykanu wobec Chin, teraz dostrzega słabość Stolicy Apostolskiej także w stosunku do Rosji. Co więcej, jeśli Ukraina przetrwa atak, Watykan będzie mieć inny problem, nieznany w USA, a mianowicie: jak uniknąć powojennego zwrotu politycznego w suwerennym, niezależnym państwie, które – co bardzo możliwe – wpadnie w ręce radykalnego nacjonalizmu z podtekstem religijnym.

Wojna Rosji z Ukrainą tworzy nową sytuację w stosunkach międzynarodowych. Los kontynentu europejskiego znów staje się dramatycznie niepewny. Watykańska doktryna „pozytywnej neutralności" znajduje się w trudnej sytuacji: teraz mamy do czynienia nie ze „stronami konfliktu", ale – po raz pierwszy od lat w Europie – z agresorem i atakowanym.

„Globalny zwrot" pontyfikatu Franciszka nie uwolnił Watykanu od powrotu do Europy. Powrotu przytłaczającego, bo naznaczonego wojną. Dla polityki międzynarodowej Stolicy Apostolskiej (ale nie tylko) atak Rosji na Ukrainę okazał się bardziej zaskakujący i mocniej zmienia jej długoterminowe koordynaty niż 11 września 2001 r.

© MASSIMO FAGGIOLI

Przełożył EA

MASSIMO FAGGIOLI *(ur. 1970) jest profesorem Uniwersytetu Villanova (Filadelfia, USA), wykładowcą historii Kościoła i teologii historycznej, publicystą, autorem artykułów i książek nt. Soboru Watykańskiego II, doktorem honoris causa Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Najświętszego Serca w Connecticut.*

W LABIRYNCIE ŚWIATA

„O życiu i nadziei"

Zapraszamy na spotkanie z **ks. Adamem Bonieckim** oraz **reżyserką Aleksandrą Potoczek**.

Rozmowę poprowadzi **Anna Goc**, a wydarzeniu towarzyszył będzie pokaz filmu **„xABo: Ksiądz Boniecki"**.

Spotkanie odbędzie się **30 marca o godz. 17:00** w **Filharmonii Podkarpackiej w Rzeszowie**.

Rezerwacja bezpłatnych biletów: **wielkiepytania.wsiz.pl/o-zyciu**

WYŻSZA SZKOŁA INFORMATYKI i ZARZĄDZANIA z siedzibą w Rzeszowie

DOMINIKANIE RZESZÓW

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

TYGODNIK POWSZECHNY

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

RAVEENDRAN / AFP / EAST NEWS

Procesja wielkopiątkowa, New Delhi, kwiecień 2014 r.

Szafranowy zamach na wolność

MARTA ZDZIEBORSKA

Po latach prześladowań muzułmanów indyjscy radykałowie postawili sobie nowy cel: atakują chrześcijan, których oskarżają o przymuszanie do konwersji religijnej.

Zielonoświątkowcy z Indore w stanie Madhya Pradesh tamtego poranka nie zapomną: 26 stycznia rozwścieczony tłum wdarł się do ich świątyni, pobił prowadzących nabożeństwo pastorów i szarpał za włosy wiernych. Gdy na miejsce zdarzenia przyjechała policja, do aresztu trafili duchowni, a nie napastnicy. Powód? Pastorowie Kościoła zielonoświątkowego zostali oskarżeni o rzekome przymuszanie hindusów do konwersji religijnej, za co według lokalnego prawa grozi kara do dziesięciu lat więzienia. Tego rodzaju przepisy obowiązują już w dziewięciu spośród 28 stanów, co od miesięcy sprzyja nakręcaniu fali prześladowań wobec chrześcijan – mniejszości liczącej zaledwie 2,3 proc. indyjskiej populacji. Jak alarmuje organizacja United Christian Forum, tylko w 2021 r. odnotowano 486 ataków na społeczności chrześcijańskie – to aż 75-procentowy wzrost w porównaniu z rokiem 2020.

W indyjskich wsiach i miastach bojówki nacjonalistycznych radykałów dewastują kościoły, palą Biblie, a nawet atakują wiernych w ich własnych domach. Do nasilenia przemocy doszło w okresie świąt Bożego Narodzenia: w wielu miejscach w kraju zakłócano nabożeństwa, palono podobizny św. Mikołaja, a w Ambali w stanie Haryana zniszczono półtorametrowy posąg Jezusa.

Polowanie na konwersje

– To już nie są czasy, gdy chrześcijanie mogli czuć się w Indiach bezpieczni – mówi „Tygodnikowi" metropolita Bangalore abp Peter Machado, który wylicza, że tylko od listopada do grudnia 2021 r. w jego rodzimym stanie Karnataka doszło do 45 ataków na chrześcijan. Oprócz incydentów podczas bożonarodzeniowych uroczystości w dwóch szkołach katolickich, najczęściej ofiarami padali protestanci, którzy nie mają swoich własnych świątyń i organizują nabożeństwa w domach lub wynajętych salach.

– Taka sytuacja tylko wzmaga podejrzliwość wśród lokalnych mieszkańców, którzy wierzą w rozpowszechnianą przez nacjonalistów narrację, jakoby podczas nabożeństw dochodziło do nawracania wyznawców hinduizmu – dodaje arcybiskup Machado. Hierarcha tłumaczy, że podobnie jak w innych indyjskich stanach wzrost hejtu wobec chrześcijan z Karnataki zbiegł się z politycznymi przepychankami dotyczącymi ustawy penalizującej przymusowe konwersje (projekt reguluje również zasady dotyczące dobrowolnej zmiany wyznania, o czym należy powiadomić lokalne władze co najmniej z 60-dniowym wyprzedzeniem).

Najgorętszy okres dyskusji przypadł na koniec grudnia zeszłego roku, gdy miało się odbyć głosowanie w sprawie przyjęcia ustawy w izbie wyższej parlamentu. Ostatecznie Indyjska Partia Ludowa (BJP) – ugrupowanie rządzące zarówno w Karnatace, jak i na poziomie federalnym – przełożyła głosowanie na pierwszy kwartał tego roku.

Sprawa zdążyła jednak wzbudzić ogromne kontrowersje: 23 grudnia, w dniu przyjęcia projektu w izbie niższej, ulicami stolicy stanu Bangalore przeszły setki demonstrujących, wśród których znaleźli się przedstawiciele ↦

Kościoła katolickiego, z arcybiskupem Peterem Machado na czele. W wywiadach dla lokalnych mediów hierarcha bez ogródek oskarżał stanowe władze o wspieranie bojówek prześladujących „innowierców".

Dwa miesiące później, w rozmowie z „Tygodnikiem", arcybiskup zarzucił również rządzącym, że celowo utrudniają Kościołom prowadzenie bieżącej działalności. Hierarcha podał przykład podległej mu diecezji Gulbarga, gdzie katolickie organizacje charytatywne nie dostały przedłużenia zgody na przyjmowanie darowizn zagranicznych.

To analogiczny problem, jak w przypadku Misjonarek Miłości, założonego przez Matkę Teresę zgromadzenia, które prowadzi schroniska dla ubogich i hospicja. Pod koniec grudnia zeszłego roku zakon dostał odmowę przedłużenia pozwolenia ze względu na bliżej niesprecyzowane „nieprawidłowości".

Dopiero pod presją społeczności międzynarodowej indyjski rząd federalny wycofał swoją decyzję, drażniąc tym hinduistycznych nacjonalistów. Ci od dawna oskarżają misjonarki z Kalkuty, że pod przykrywką dobroczynności prowadzą konwersję religijną. W rzeczywistości „wyznaniowy transfer" biednych Hindusów z niższych kast nie jest niczym nowym: przejście na chrześcijaństwo lub buddyzm jest dla nich ucieczką od dyskryminujących zasad hinduizmu, które przekreślają ich szanse na awans społeczny i zawodowy.

„Miłosny dżihad"

Choć temat konwersji religijnych od dawna budzi w Indiach skrajne emocje, trudno wyobrazić sobie gorszy czas na tego rodzaju dyskusję. Wszystko za sprawą propagowanej przez premiera Narendrę Modiego ideologii hindutwy, która nawołuje do zwalczania obcych religii i filozofii powstałych poza subkontynentem indyjskim. W przeciwieństwie do poprzednich rządów, starających się łagodzić drzemiące w wielokulturowym społeczeństwie tarcia, indyjski premier podsyca narrację, jakoby mniejszości etniczne – a w szczególności stanowiący 15 proc. populacji muzułmanie – byli zagrożeniem dla hinduskiej tożsamości. To właśnie za rządów Modiego w siłę urosła popularna wśród radykałów teoria spiskowa, jakoby muzułmanie prowadzili „miłosny dżihad", czyli celowo rozkochiwali w sobie Hinduski, by zmusić je do przejścia na islam i tym samym zwiększyć populację islamską w Indiach. Od kilku lat muzułmanie padają również ofiarami linczów, głównie ze strony lokalnych bojówek, które pilnują obowiązującego w kilku stanach zakazu uboju bydła (według wyznawców hinduizmu krowy są święte).

Antymuzułmańskie nastroje podsycają dodatkowo kontrowersyjne reformy Modiego, takie jak np. ustawa ułatwiająca legalizację pobytu przybyszom z Bangladeszu, Pakistanu i Afganistanu, ale pod warunkiem, że nie wyznają islamu. Szerokim echem na świecie odbił się również wprowadzony w lutym tego roku zakaz noszenia hidżabu na uczelniach w Karnatace. W reakcji na popierane przez partię BJP przepisy w całym kraju doszło do starć między przeciwnikami zakazu i skandującymi nacjonalistyczne hasła studentami, którzy zakładali symbolizujące hinduizm szafranowe szale.

Rzućcie w nich butem

Upolityczniony ostatnio spór o hidżab i konwersje religijne sprawia, że lokalni działacze BJP nie kryją się z nawoływaniem do dyskryminowania mniejszości. W kontekście ataków na chrześcijan dziennik „New York Times" pisze o politykach ze stanu Chhattisgarh, którzy najpierw zachęcali publicznie do okładania „innowierców" butami, a potem sami wtargnęli na posterunek policji i pobili przetrzymywanych tam dwóch duchownych.

Wymierzona w chrześcijan retoryka wykorzystywana jest również przez lokalnych polityków w Karnatace. Pod koniec grudnia zeszłego roku głośno było o wypowiedzi działacza BJP Tejasviego Suryiego. W ślad za ideologią hindutwy polityk nawoływał do rekonwersji wszystkich, którzy „w biegu indyjskiej historii" porzucili hinduizm. Z kolei inny działacz partii, Guilhatti Shekhar, twierdził, że w jego rodzinnych stronach do przejścia na chrześcijaństwo zmuszono ponad 20 tys. osób, w tym jego matkę. Lokalne śledztwo wykazało, że polityk kłamał: konwersję religijną przeszły zaledwie 42 rodziny i – według ustaleń śledczych – zrobiły to dobrowolnie.

Zanim będzie za późno

W obliczu nagonki na mniejszości religijne pojawiają się naciski, by stanowisko w tej sprawie zajął indyjski episkopat. Na początku stycznia członkowie organizacji Forum for Justice and Peace opublikowali oświadczenie, w którym zarzucili katolickim hierarchom milczenie. „Kiedy nacjonalistyczne bojówki dokonywały linczów na muzułmanach, indyjski Kościół nic z tym nie zrobił. Teraz te same grupy zintensyfikowały swoje ataki na chrześcijan. Musimy działać, zanim będzie za późno" – napisali działacze, których apel podpisały dwie osoby duchowne: kapucyn o. Antony F. Thekkiniyath i siostra zakonna z Patny Dorothy Fernandes.

Publicznie na temat prześladowań wypowiadali się do tej pory jedynie pojedynczy hierarchowie: m.in. wspomniany abp Peter Machado oraz emerytowany arcybiskup Guwahati Thomas Menamparampil. Ten drugi duchowny na łamach magazynu „Indian Currents" grzmiał, że „BJP do perfekcji opanowała sztukę używania symboli religijnych do mobilizowania wyborców i realizacji swoich interesów politycznych". Trudno się z tym nie zgodzić: osiem lat po objęciu rządów przez Narendrę Modiego Indie postrzegane są jako kraj, gdzie dochodzi do poważnych naruszeń wolności religijnej.

Ostatnio jest tak źle, że amerykańska Komisja ds. Międzynarodowej Wolności Religijnej zarekomendowała, by Departament USA wciągnął Indie na tzw. czerwoną listę. Przed zbliżającymi się stanowymi wyborami parlamentarnymi w sekularnych Indiach może być tylko gorzej.

© MARTA ZDZIEBORSKA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

fanimani.pl

ZUZANNA

Radzik:
Park imienia Leopolda

Wciąż jestem tu nowa, więc zamieszkująca pobliski park gęsiówka egipska wydaje mi się zupełnie egzotyczna i jeszcze mi się nie opatrzyła. Gęsiówki władają parkiem, nie chcą przepuścić, zastąpiwszy drogę na chodniku. Manifestują, że są u siebie, i tylko im przeszkadzamy. Z nadejściem wiosny więcej między nimi wzajemnej agresji, z krzykiem biją się w powietrzu. A przecież to chyba nie gody, bo podobno łączą się w pary na całe życie. Może raczej jakiś nowy układ sił kształtuje się przed nadchodzącą wiosną. Może lepiej, że to one wzięły park pod kontrolę.

Park nazwany imieniem Leopolda, choć nikt nie dodaje którego, opiera się zakusom dekolonizacji przestrzeni miejskiej. Wiadomo, że dzielnica wokół parku powstała w czasach Leopolda II i nazywana była jego imieniem, ale dziś, mocno przebudowana, funkcjonuje jako Dzielnica Europejska ze względu na ulokowane tu instytucje UE. Park ostał się jednak pod dawnym imieniem. Zresztą, skoro wciąż nie tak daleko stąd, w innym parku, stoi pomnik króla, który krwawo kolonizował Kongo, to na nową nazwę parku jeszcze poczekamy.

Kiedyś było tu zoo i ogród botaniczny, zgodnie z wielkomiejską modą drugiej połowy XIX wieku. Przestrzeń do czytania, spacerów, koncertów oraz restauracja i kawiarnia. Salon dla klasy średniej, jak w wielu innych miastach w tym czasie. Nie każde zoo okazywało się sukcesem – to splajtowało w 1876 r. Co innego ogród botaniczny, który z sukcesem sprzedano miastu w 1898 r., by zamienić w publiczny park. Dziś jest oazą zieleni na tyłach Parlamentu Europejskiego. Wcześniej to właśnie tu, w budynku dziś zajmowanym przez liceum, odbywały się słynne kongresy Solvaya, które gromadziły najznakomitszych fizyków. Na pierwszym, w 1911 r., najmłodszym uczestnikiem był Albert Einstein. Ale najsłynniejszy jest ten piąty, z 1927 r., gdy dyskutowano elektrony i fotony, a ścierali się ze sobą Einstein i Niels Bohr. Tablica informacyjna w parku przypomina ich zdjęcie, jak zwykle robione na schodach przed budynkiem Międzynarodowego Instytutu Solvaya: 28 mężczyzn i Maria Skłodowska-Curie. W tym gronie 17 osób było noblistami lub zostało nimi później. Przypomnienie, na jaką wielkość stać człowieka.

Jest jednak element historii tego parku skryty i podły. Czemu nie ma on swojej tablicy informacyjnej? Do parku, który dostarczał przyjemnej rozrywki, sprowadzono w 1882 r., obok innych *curiosites*, Mapuczy z Ameryki Południowej. Pomysł prosto z serca epoki kolonialnych potęg i prężenia muskułów, czyje imperium ogarnia więcej świata. Ale też klasyfikacji i kategoryzacji, naukowych zainteresowań antropologią, pochodzeniem ludzi, kategoryzowaniem. Ludzkie zoo odwiedzały stolice i większe miasta Europy i Stanów Zjednoczonych, przywożono mieszkańców Afryki, przywożono różne grupy etniczne, żeby każdy mógł ich zobaczyć. Ciekawostki. Ludzie, oglądając, pękali ze śmiechu. Frekwencja szła w miliony.

Przypomina dziś o tym samo istnienie Królewskiego Muzeum Afryki Środkowej w Tervuren. To dawny kompleks pałacowo-parkowy Leopolda II, do którego latem 1897 r., przy okazji odbywającej się w Brukseli Wystawy Światowej, król sprowadził 267 Kongijczyków i prezentował w pokazowych czterech wioskach niczym reklamę swojego kolonialnego projektu. W liczącej wtedy cztery miliony mieszkańców Belgii wioskę odwiedziło 1,3 mln widzów. Kupowali obrazki, pocztówki, zdjęcia, gadżeciki. Siedmiu Kongijczyków, którzy zmarli na grypę i zapalenie płuc, zakopano w anonimowej, zbiorowej mogile. Dopiero w 1953 r. zyskali godne groby, a teraz mówi się, że właściwie ich szczątki powinny zostać repatriowane.

Patrzę na park w Tervuren i jego rozległe stawy w chłodne sobotnie popołudnie, na przełomie zimy i wiosny. Przed chwilą oglądałam na wystawie pt. „Ludzie zoo" zdjęcia sprzed grubo ponad stu lat, jak na tych samych brzegach siedzą przed chatami z liści, pływają po stawie długą łodzią. Próbuję to sobie wyobrazić. Panie i panowie w odświętnych toaletach, parasolki, spacery i... oglądanie dzikich. Czy tu też, jak na filmie z Paryża, odwiedzający wrzucali do wody monety, by mogły je wyławiać dzieciaki z wystawy?

Ludzkie zoo odbywały się w całej Europie, trafiły nawet do Warszawy. Ze swoją wielomilionową widownią miały wpływ na cementowanie rasizmu. Między 1810 a 1940 r. egzotyczne wystawy obejrzało 1,5 mld odwiedzających, a wystawiono na nich 30 tys. osób.

Wioskę kongijską pokazano ostatni raz podczas Wystawy Światowej w Brukseli w 1958 r. Jakby w odpowiedzi na żądania niepodległości Konga. Na zdjęciach w jej tle widać wybudowane przy tej samej okazji nowoczesne Atomium – symbol ówczesnych naukowych oraz technicznych osiągnięć „wieku atomu". Nad nią – kolejkę linową. Że nowoczesność nie chroni przed dzieleniem ludzi na bardziej i mniej ludzi – to już nawet nie jest odkrywcza myśl. ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Sanoku, I Wydział Cywilny, pod sygn. akt I Ns 40/22 toczy się postępowanie z wniosku Tadeusza Wójcika i Ewy Wójcik o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie prawa własności nieruchomości położonej w Zagórze oznaczonej numerem ewidencyjnym 1091/1, powierzchni 0,0395 ha, zabudowanej budynkiem mieszkalnym, dla której nie ma założonej księgi wieczystej.

Sąd wzywa osoby zainteresowane, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosiły swój udział w sprawie i wykazały własność, gdyż w przeciwnym wypadku Sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

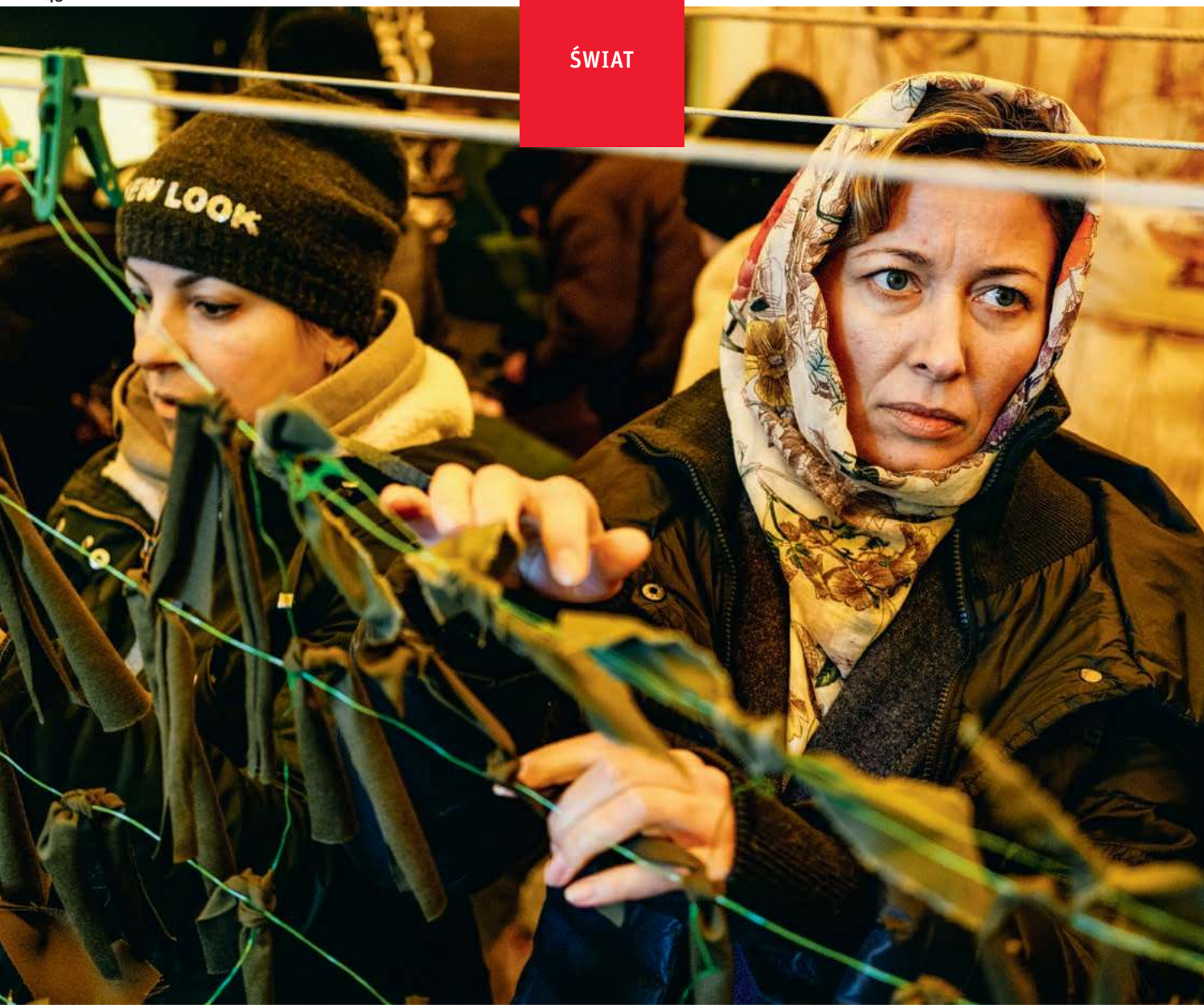

W cerkwi trwa tkanie siatek maskujących. To praca bez końca, bo z siatkami jest jak z amunicją – nigdy nie jest ich za dużo. Na terenie kościoła greckokatolickiego. Drohobycz, 1 marca 2022 r.

WOJNA TO PRACA NA CAŁY ETAT

W ukraińskich miejscowościach, także tych położonych daleko od frontu, codzienne życie zmieniło się nie do poznania. „O nas również Putin się potknie" – mówią ich mieszkańcy. I robią, co mogą, aby wesprzeć tych, którzy walczą.

TEKST MARCIN ŻYŁA | ZDJĘCIA GRAŻYNA MAKARA Z DROHOBYCZA I TRUSKAWCA (ZACHODNIA UKRAINA)

Wolontariuszki ze Lwowa. W ukraiński wolontariat od lat angażują się przede wszystkim kobiety. 2 marca 2022 r.

Tablice kierunkowe przy drogach zasłonięto szóstego dnia wojny. Niedługo po tym, gdy w znajdującym się niedaleko magazynie gazu ziemnego ochroniarze znaleźli urządzenie do naprowadzania rakiet wroga.

Technika techniką, ale gdy już do niej przychodzi, wojna toczy się analogowo. Ta wybuchła 24 lutego. W czwartek. Wtedy do miejscowego sztabu zgłosili się pierwsi ochotnicy. W piątek ustalili, jak współdziałać z regularną armią. W sobotę i niedzielę podzielili się na dyżury, bo obrońca niewyspany to obrońca marny. W poniedziałek powstały kolejne posterunki.

Dziś jest wtorek, dzień zakrywania znaków. Trzeba sprawić, żeby Rosjanie, jeśli tu dotrą, musieli na skrzyżowaniach pytać o drogę.

GDY WPROWADZA LUDZI Z ZEWNĄTRZ, Ihor Szewczyk wchodzi do swojego gabinetu jako pierwszy i odwraca dokumenty, które leżą na biurku, niezadrukowaną stroną do góry. Jako członek sztabu obrony drohobyckiego rejonu (odpowiednik powiatu) Szewczyk mówi instrukcjami: ściennych map nie fotografować, a jego – tylko w zbliżeniu, bez kontekstu i tła. Rozmawia się na stojąco, tak jest szybko i konkretnie.

– Wszyscy się czasem lękają. Ale wszyscy są też przygotowani – mówi Szewczyk. – W nocy, w czasie godziny policyjnej, ulice i drogi wokół Drohobycza patroluje pół tysiąca ludzi. W każdej wsi są dziś grupy samoobrony.

Drohobycz, 70-tysięczne miasto położone na ukraińskim pogórzu karpackim, kilkadziesiąt kilometrów od granicy z Polską, od frontu wojny z Rosją jest oddalony tak bardzo, jak tylko się da (dalej na południe są już masywy Karpat Wschodnich, a za nim – obwód zakarpacki).

Ale również tutaj inwazja zmieniła zwyczaje. Obowiązują nowe: nie tracić czasu na przepuszczanie się w drzwiach i niepotrzebne grzeczności; po korytarzach chodzić szybko, można truchtem; mieć przy sobie najpotrzebniejsze rzeczy, nawet gdy tylko idzie się do kasy zapłacić za benzynę; odbierać wszystkie telefony, bo gdy jest ich pięćset dziennie, nie ma mowy o oddzwanianiu; w wolnych chwilach – w toalecie lub przed snem – pisać notatki z kolejnych spotkań. Słowem – wszystko, co tylko się da, robić od razu. Nic nie odkładać na potem.

– Mężczyźni, którzy teraz dostają wezwania do wojska, rzadko trafiają na front – mówi Szewczyk. – Jednostki armii regularnej już skompletowano. W pierwszej kolejności przyjęto ludzi zdrowych i młodych, a także tych doświadczonych, weteranów z Donbasu. Starsi idą dziś do miejscowej obrony terytorialnej.

Teroborona, jak na nią mówią w skrócie, jest tu teraz obecna w każdym obwodzie (odpowiednik województwa) oraz w każdym powiecie. Tutaj, na Ziemi Lwowskiej, pod postacią 103. Brygady Obrony Terytorialnej, która dzieli się następnie na lokalne bataliony. Tutejszy batalion ma swój numer (67.) i nazwę – „Drohobycz". Jak wygląda dalszy podział – na poszczególne kompanie strzeleckie (według założeń wyposażone w lekką broń strzelecką oraz ręczne granatniki przeciwpancerne) – o to nie należy pytać. Jest wojna.

PRZYDZIELENI CZY NIE, W DROHOBYCZU SŁUŻĄ WSZYSCY. W ciągu kilku pierwszych dni wojny mieszkańcy jakby przestali odczuwać upływ czasu. Tylko po następujących po sobie świtach i zmierzchach poznawali, że czas jeszcze istnieje. ↦

Posterunek samoobrony w okolicy Sambora. Takie posterunki mają zapobiegać przenikaniu rosyjskich grup dywersyjnych. 2 marca 2022 r.

↦ W samochodzie Aleksandry Woźniak, wolontariuszki z lokalnej organizacji Drohobycz SOS, czuć zapach benzyny. – Pierwszego dnia wojny od razu pojechałam zatankować do pełna. Trochę się ulało z kanistra – uśmiecha się Aleksandra. Auto prowadzi, trzymając w rękach dwa telefony. Dzwonią co kilka minut. Codziennie odbiera kilkaset połączeń.

– Przed inwazją, gdy jechałam autem i byłam zmęczona, zatrzymywałam się na moment na poboczu. Teraz już nie ma na to czasu – mówi Aleksandra, gdy jej hybrydowy SUV przyspiesza na drohobyckiej ulicy, na bruku, który ułożono przed wizytą cesarza Franciszka Józefa w Galicji 142 lata temu. Jedziemy pod prąd, Aleksandra wystawia przez okno legitymację prasową (jest także dziennikarką). Nikt z innych użytkowników drogi nie irytuje się na Aleksandrę, nikt nie używa klaksonów. Stan wyższej konieczności.

Trzeba: odebrać, przewieźć, sprawdzić, poinformować, wziąć udział, z rzadka tylko zdrzemnąć się w domu. Tak od tygodnia wygląda życie Aleksandry.

W CERKWI NIE MA CZASU NA KONTEMPLACJĘ. Świątynia greckokatolicka przy ulicy Kozłowskiego pod wezwaniem Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny zamieniła się dziś w jeden z wielu lokalnych punktów koordynujących działania.

Ksiądz Ihor Cmokanycz wymienia esemesy ze swoim bratem. Po przeczytaniu od razu je kasuje. Piszą do siebie enigmatycznie, hasłami, prawie zagadkami. To jedyna możliwość kontaktu – brat oraz chrześniak księdza zgłosili się do wojska. Gdzie są i co robią – to sprawy tajne.

– Oni mieszkali w wieżowcu, który ostrzelali Rosjanie. Zaraz po tym postanowili, że chcą służyć – mówi ksiądz Ihor, prowadząc do schronu przeciwlotniczego, który parafianie przygotowują w piwnicy świątyni. Jest kłopot z wentylacją – jak przez twardy beton przeprowadzić rurki zapewniające dopływ świeżego powietrza?

Między esemesami i telefonami ksiądz Ihor pokazuje betonowe bloki przed kościołem. Miały być użyte do budowy ośrodka parafialnego. Teraz szybko zdecydowano inaczej – trafią na posterunki wojskowe, rozstawione na drogach wokół miasta. Właśnie podjeżdżają dźwig i ciężarówka, aby zebrać niedoszłe elementy ośrodka parafialnego.

– Mieszkańcy zgłaszają się do nas, robią wszystko, w czym mogą być przydatni. W tym ruchu, w działaniu, zapominają o wojnie – mówi duchowny.

W INNYCH OKOLICZNOŚCIACH ta metalowa rama byłaby elementem teatru cieni. Służyłaby rozśmieszaniu. Za zawieszonym na niej ekranem z białego materiału tworzone dłońmi postaci opowiadałyby bajki dzieciom z Drohobycza. W tych opowieściach mowa byłaby o tym, że życie czasem zakręca niespodziewanie, że są ludzie prawi i źli, jest lęk, strach, opuszczenie. Jednak te bajki na pewno kończyłyby się dobrze.

– Na szczęście zdążyliśmy kupić ramę, zanim to wszystko się zaczęło – uśmiecha się ksiądz Ihor. – W ostatnim momencie! Po tamtym czwartku już tak łatwo by jej nie dowieźli.

Odkąd zaczęła się rosyjska inwazja, nie ma czasu na bajki dla dzieci. Zaraz ramę – dobrze, że ma kółka – przesunie się na środek cerkwi. Obok staną dwa prowizoryczne rusztowania: parę desek opartych na szczytach drabin, dociążonych, czym się da. Rozwiesi się na nich kilkudziesięciometrowe druciane siatki.

Tak, z pomocą parafian, będą powstawać siatki maskujące dla wojska.

Przygotowanie posiłków dla wojska na terenie parafii greckokatolickiej w Drohobyczu, 1 marca 2022 r.

Ksiądz Ihor otwiera drzwi. Na schodach czekają dwie kobiety. Przyszły za wcześnie. Do wojennych zadań mieszkańcy Drohobycza spóźniają się rzadko.

WOLONTARIUSZE MAJĄ ZEBRANIA O JEDENASTEJ. W podziemiach katedry, bo ściany są tu grube i prawie nie ma zasięgu komórkowego. To jest godzina, kiedy trzeba odpocząć i być uważnym.

Koordynatorka miejskiego wolontariatu mówi, że teraz najbardziej potrzebne są apteczki wojskowe. Brakuje hełmów i kamizelek kuloodpornych.

Podczas naszej rozmowy słychać różaniec, odmawiany przez kobiety, które w sąsiednim pokoju lepią pierogi. Te pojadą do żołnierzy na froncie. Druga kuchnia, w piwnicy, przygotowuje posiłki dla trzydziestu ubogich mieszkańców miasta. Bo choć trwa wojna, miasto pozostaje miastem: trzeba zaopiekować się potrzebującymi, służby muszą wywozić śmieci, a policja – ścigać przestępców.

Ojciec Taras Harasymczuk, proboszcz parafii Przenajświętszej Trójcy w Drohobyczu, żartuje, że on też ma zadanie: musi pilnować, aby ci, którzy karmią innych, sami nie padli z głodu. Dodaje, że taka mobilizacja to dla nich żadna nowość.

– Nasza wojna trwa od ośmiu lat – mówi o. Taras. – Przywykliśmy do tego, że się toczy. Walczymy na trzech frontach: modlitewnym, wojskowym i dyplomatycznym. I wynik może być tylko jeden z dwóch: albo niewola, albo zwycięstwo. Nie ma trzeciego wyjścia.

Harasymczuk robi długą pauzę, żeby wybrzmiały te słowa: – W tej wojnie Rosja występuje przeciwko całemu światu. A Ukraina za cały świat.

MARIA NASTIOSZYN MÓWI CICHO, LECZ BEZ PAUZ. Nie ma jeszcze trzydziestu lat, a już pełni wiele funkcji: jest radną, dziennikarką, pracuje w biurze promocji miasta. A od czwartku – zastępczynią koordynatora obrony terytorialnej wsi Staniła.

Spotykamy się w biurze informacji turystycznej w Truskawcu, starym uzdrowisku z czasów austro-węgierskich. Turystów brak – hotele i pensjonaty zajmują teraz uchodźcy z Kijowa, Charkowa i innych regionów, w których trwają walki.

Obecnie w biurze odpowiada się na pytania: – Gdzie można zjeść? Gdzie zapisać się do obrony terytorialnej? Jaki jest telefon do pomocy psychologicznej? A gdzie jest wojskowa komenda uzupełnień? Jak znaleźć pracę?

Codziennie w nocy, o 22 – kiedy zaczyna się godzina policyjna – Maria wychodzi na ulice miasta. Dyżur trwa do drugiej. Ale kontrole trwają całą dobę.

– W Drohobyczu i Truskawcu zatrzymało się wielu uciekinierów ze wschodu. Ważne, żeby wszyscy mężczyźni w wieku poborowym zarejestrowali się w komendzie uzupełnień – wyjaśnia Maria.

Maria temu zaprzecza, ale między jej słowami słychać napięcie. Na relatywnie spokojnym na razie zachodzie Ukrainy czuć paradoks: o ile mężczyźni stąd są brani na front, o tyle z rejonów, gdzie trwają najcięższe walki, przyjeżdżają mężczyźni zdatni do służby.

Jest środek dnia, w tle wyją syreny alarmowe. Nad zachodnią Ukrainę co jakiś czas nadlatują drony. W lokalnym sztabie obrony mówią, że stary system ostrzegania ludności nie rozpoznaje, czy to swoje czy obce. Syreny włączają się automatycznie i wyją tak długo, aż dron, śmigłowiec lub samolot opuści ukraińską przestrzeń powietrzną lub zostanie w końcu zidentyfikowany. Teraz deptak nie pustoszeje, po pięciu dniach wojny ludzie sami nauczyli się oceniać ryzyko.

Maria nie płacze. Jest różnica między płaczem a tym stanem, gdy łzy zbierają się ↦

Szkolenie wojskowe dla ochotników. Lwów, 2 marca 2022 r.

↦ wokół oczu, człowiek na chwilę milknie, patrzy w jeden punkt. A potem, w jednej chwili, budzi się z takiego stanu.

Te momenty są bardzo ważne – pomagają przypomnieć, co się dzieje. Że to nie jest zwykłe życie, że ta absurdalna rzeczywistość wokół, jak na przykład mężczyzna z bronią, który stoi pod drzwiami urzędu, jest już częścią nowego porządku. Takiego, który zostanie na długo.

Teraz Maria jest z powrotem z nami. Biegnie przez korytarz do biura wiceburmistrza miasta. – Gdy zaczęła się wojna, nie było czasu na panikę – mówi. Zabawne, w tamtej chwili pomyślała o Rosji: że przestanie być potężna i nie będzie już prężyć muskułów przed światem, nieważne, jak zakończy się wojna.

JAK WIĘKSZOŚĆ MUZYKÓW ŚWIATA, Wiktor Winnik dużo śpiewa o miłości. Ze swoim zespołem Meri występował kilka razy w Polsce. Jednak od kilku dni w głowie ma inne piosenki.

– Nie wolno nam teraz koncertować, trwa stan wojenny – mówi. – Ale najbardziej chciałbym zaśpiewać o wojnie. O tym, że trwa nie tydzień, nie osiem lat, ale już trzy stulecia. Tak długo Rosja walczy z nami wszystkimi, z narodem Ukrainy. Kradną naszą historię, chcą wszystko zafałszować, opowiadają o Rusi Kijowskiej jak o własnej historii.

W tamten czwartek, gdy zaczęła się wojna, przyszedł więc lęk, ale i poczucie zjednoczenia, jakiego nie doświadczano tu nigdy.

Wiktor: – Nie było tego ani w roku 2004, ani w 2014. I myślę, że już czegoś podobnego za swojego życia nie zobaczę. To czas dramatyczny, ale i historyczny. Taki *Big Bang* naszej historii... – Wiktor mówi, jakby wymyślał tekst refrenu. Taki wybuch kosmiczny. Mówiono nam, Ukraińcom: „Nie jesteście w Europie, jesteście obok niej". No więc teraz jesteśmy już w jej środku. Putin już się o nas potknął. I on o tym wie. Jestem tego pewien.

PÓŹNE POPOŁUDNIE. Piątą już godzinę trwa w cerkwi tkanie siatek maskujących. To misterna praca: do drucianych oczek należy przywiązać paski materiału, po dziesięć centymetrów każdy. To praca bez końca, bo z siatkami jest jak z amunicją – nigdy ich za dużo.

Pod okazałym żyrandolem, w sześciu rzędach, po dwa przy każdym stelażu, pracuje kilkadziesiąt osób. Nikt nimi nie dowodzi, ale gdy w którymś miejscu siatki brakuje maskowania, od razu działa zbiorowa spostrzegawczość.

Równocześnie trwa nabożeństwo drogi krzyżowej. – Nie wiem, jak wyjaśnić wam tę wojnę – mówi ksiądz stojący przed ikonostasem.

Oglądane z chóru zielone siatki maskujące nakładają się w wyobraźni na zdjęcia rosyjskich oddziałów wykonywane przez zachodnie satelity. „Tam po lewej, za grupą drzew, to chyba parę czołgów T-72" – może teraz, w dalekich centralach wywiadów, mówią do siebie analitycy. – Tu po prawej panie tną materiał na paski – wyjaśnia ktoś w cerkwi. – Potem te tutaj owijają je wokół swoich dłoni, tam odmierza się długość.

„W drodze na miejsce jest jeszcze jedno zgrupowanie czołgów" – dopowiada daleko inny analityk.

Do świątyni przy ulicy Kozłowskiego w Drohobyczu wchodzą ciągle ludzie.

DO WIECZORA w całym obwodzie lwowskim wiele znaków zasłonięto. Na niektórych bilbordach, zamiast reklam, zawisły imitujące je plakaty. Także dla wojsk rosyjskich. Napisano na nich: „*Иди нахуй*" – prosto, w prawo, w lewo. A najlepiej – z powrotem.

©℗ MARCIN ŻYŁA

TONI HÄRKÖNEN / MATERIAŁY PRASOWE

SOFI OKSANEN jest znakomitą pisarką z rodziny fińsko-estońskiej (jej ojciec to Fin, matka Estonka), której książki tłumaczono na kilkadziesiąt języków. Już w 2014 r., gdy Rosja zajęła Krym i rozpętała wojnę w Donbasie, pisała, że „Rosja jasno dała do zrozumienia, iż ma zamiar przywrócić imperium jego dawną chwałę". Dziś mówi, jak można i trzeba wspierać Ukrainę, i jak zmienił się stosunek Finlandii do Rosji. Oksanen jest pisarką fińskojęzyczną. Od lat krytykuje sowiecki i rosyjski imperializm; w 2008 r. antologia tekstów o sowieckiej okupacji Estonii, której była współautorką (pt. „Poza wszystkim był strach. Jak Estonia straciła swoją historię i jak może ją odzyskać"), zapoczątkowała debatę o pamięci w Finlandii i Estonii. Wkrótce w wydawnictwie Znak Literanova ukaże się jej najnowsza książka „Psi park" (tłum. Katarzyna Aniszewska). Na zdjęciu Sofi Oksanen w Kijowie, sierpień 2019 r.

Nasz duch obrony

SOFI OKSANEN, PISARKA:

Nawet ci, którzy na Zachodzie jeszcze niedawno sprzyjali Rosji i Putinowi, dziś mówią coś przeciwnego. Najwyraźniej uznali, że chcą się znaleźć po słusznej stronie historii.

PATRYCJA BUKALSKA: Umawiałyśmy się na tę rozmowę tuż przed rosyjską inwazją na Ukrainę. Chciałam zapytać o nastroje w Finlandii i Estonii, krajach mających za sobą doświadczenie zależności od Związku Sowieckiego. Dziś w Europie trwa pełnowymiarowa już wojna, rozpętana przez Rosję. Pani od lat ostrzegała przed Putinem.

SOFI OKSANEN: Nie jestem zaskoczona tym, co się stało. Od lat było widać, że taki rozwój wypadków jest możliwy. Pierwszą moją powieść „Krowy Stalina" opublikowałam w 2003 r. Kilka lat wcześniej Putin doszedł do władzy i wiatry już się zmieniały. Jednak w zachodnich państwach oraz w Finlandii tego nie zauważano. Trwano w iluzji, że Rosja stanie się demokratycznym krajem, takim jak państwa zachodnie. Natomiast w Estonii, a także w pozostałych dwóch krajach bałtyckich – Litwie i Łotwie – nie miano złudzeń. Ton rosyjskiej polityki i retoryki się zmieniał i Estończycy zauważyli, że zmienia się też narracja na temat przeszłości, a Rosjanie zaczęli na nowo zwracać się ku sowieckiemu dziedzictwu. Zaczęły się wojny o pamięć, a w 2008 r. Putin obwieścił, że Ukraina to nie jest prawdziwe państwo. Tak samo traktował państwa bałtyckie, a od tamtego czasu sytuacja tylko się pogarszała. I oto gdzie jesteśmy teraz.

Właśnie dlatego, że państwa bałtyckie nie podzielały złudzeń Zachodu, integracja euroatlantycka była ich priorytetem. Dziś są członkami NATO i UE. Czy mają poczucie zagrożenia? Czy uważają, że Putin sam się nie zatrzyma?

Z całą pewnością. Podobnie czują się ludzie w Finlandii. Jednocześnie skala poparcia dla Ukrainy jest niezwykła. Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Koło sklepu w moim sąsiedztwie wisi na ścianie plakat: „Rosyjski okręcie wojenny, pierd... się" [odpowiedź, jakiej ukraińscy żołnierze z Wyspy Węży udzielili na wezwanie do poddania się – red.]. Ktoś kupił nasiona słoneczników i wrzucił je na dziedziniec rosyjskiej ambasady na znak szacunku dla Ukrainki, która nasionami słoneczników obrzuciła rosyjskich żołnierzy wkraczających do jej miejscowości w Ukrainie. Właściciele psów wpadli na pomysł, by na ten dziedziniec wrzucać psie kupy. Rosyjski konsulat w Turku też podobno jest celem takich spacerów psiarzy. Ten rodzaj protestów jest w Finlandii czymś niezwykłym.

Zmieniło się również nastawienie do Rosji europejskich polityków, którym jeszcze niedawno zdarzało się sugerować, że Ukraina powinna prowadzić ugodową politykę wobec Moskwy, podobnie jak Finlandia w latach 1945-1991.

Wielu polityków zrozumiało, że to nie jest rozwiązanie. Nawet ci, którzy sprzyjali Rosji i niedawno mówili, jakim wspaniałym przywódcą jest Putin, teraz mówią coś przeciwnego. Najwyraźniej uznali, że chcą się znaleźć po słusznej stronie historii.

Niedługo ukazuje się w Polsce Pani najnowsza książka „Psi park", ↦

↦ **której akcja rozgrywa się w Ukrainie czasów transformacji i po rosyjskiej inwazji na Donbas. Główna bohaterka, walcząc o byt, wikła się w niejasne interesy wokół klinik tzw. medycyny reprodukcyjnej. Dlaczego wybrała Pani taki temat?**

Już kilka lat temu, kiedy pisałam poprzednią powieść, zauważyłam, że Ukraina ma niezwykle liberalne przepisy dotyczące leczenia bezpłodności [chodzi o zabiegi *in vitro*, ale też o tzw. surogatki: kobiety, które za wynagrodzeniem noszą ciążę dla obcych ludzi – red.]. Trochę mnie to zaskoczyło, bo Ukraina jest europejskim krajem z silnymi Kościołami, a one zwykle mają coś do powiedzenia w sprawach płodności. W Ukrainie, w klinice leczenia bezpłodności, można wybrać płeć dziecka, nie ma też limitu wieku rodziców. W krajach skandynawskich są takie limity.

Ponadto od pewnego czasu szukałam ciekawej historii o powrocie do domu, ale z punktu widzenia krajów bałtyckich. Gdy zakończyła się II wojna światowa, kraje zachodnie miały inne doświadczenie niż kraje nadal okupowane przez Związek Sowiecki. Dla tych drugich tamta wojna zakończyła się w gruncie rzeczy dopiero wtedy, gdy ich teren opuściły ostatnie oddziały sowieckie i mogły one odzyskać niepodległość. Każdy kraj ma własną opowieść o „powrocie do domu", powrocie z wojny. W mojej książce opisuję jednak bardziej współczesny powrót do domu: ludzi, którzy wrócili do swojego kraju w latach 90. XX stulecia...

Po rozpadzie Związku Sowieckiego wracają oni do Ukrainy z Estonii, w której osiedlili się całe lata wcześniej.

Były też inne powody, dla których ta powieść opowiada o Ukrainie. Było dla mnie nieco frustrujące, że fińscy wydawcy nie poświęcali dużo uwagi Ukrainie. Nawet po 2014 r., gdy spodziewałam się, że w fińskich księgarniach pojawi się dużo książek ukraińskich autorów. Tak się nie stało. Pomyślałam, że skoro tak, to może sama napiszę o Ukrainie i wtedy coś drgnie, pojawi się zainteresowanie tym tematem.

„Psi park" ukazał się także po ukraińsku.

Jeszcze zanim książka się ukazała, dałam do przeczytania rękopis mojemu ukraińskiemu przyjacielowi, który zna fiński. W końcu pisałam o kraju, w którym nie mieszkałam, i byłam ciekawa jego opinii. Prowadziliśmy potem wiele dyskusji o fińskich przysłowiach, które nie mają ukraińskich odpowiedników i na odwrót.

Wyzwanie dla tłumacza!

Nasze rozmowy bardzo mi pomogły. Pisanie jest składaniem wielu różnych punktów, tak aby razem utworzyły obraz.

Chcę zapytać Panią jako pisarkę o wagę słowa w kontekście wojny w Ukrainie. Zwracała Pani uwagę, że nie należy mówić np. o „kryzysie" czy „konflikcie", tylko o „wojnie". Jak bardzo to istotne?

To ma fundamentalne znaczenie, a kluczowa jest tu rola dziennikarzy. Politycy unikają pewnych słów, zamiast nich wybierają inne i jeśli media w ślad za nimi również ich używają, nie otrzymujemy – my, odbiorcy – prawdziwego obrazu sytuacji. Przez długi czas rosyjska dezinformacja odnosiła na Zachodzie sukcesy. To język zadecydował, jak została zdefiniowana przez Zachód wojna rozpoczęta w 2014 r. Rosyjskie działania w sferze informacyjnej sprawiły, że zachodnie media miały problem ze zrozumieniem i przekazaniem tego, co działo się w Ukrainie. Dezorientacja była oczywiście celem rosyjskich kłamstw. Gdy się cytuje Putina, w zasadzie trzeba do tego dołączać tłumaczenie: co on mówi i co tu jest prawdą, a co kłamstwem. Skala i różnorodność rosyjskich operacji w sferze informacyjnej była olbrzymia.

Jednak teraz sytuacja się zmieniła. Jak powiedział kilka dni temu fiński prezydent: „Maski opadły". To dobre podsumowanie. Fikcja, którą Rosja wcześniej z powodzeniem promowała, już nie działa.

Powszechne jest przekonanie, że jesteśmy świadkami przełomowego momentu w historii Ukrainy i narodu ukraińskiego. Że teraz może stać się on, zgodnie ze swoim życzeniem, członkiem wspólnoty europejskiej.

Zdecydowanie tak! Myślę też – choć to oczywiście spekulacje – że może dlatego zachodnie kraje tak się ociągały z militarnym wsparciem dla Ukrainy, gdyż uwierzyły w część kremlowskich kłamstw i nie spodziewały się, że Ukraińcy będą walczyć. Teraz widzimy, jak walczą nawet zwykli ludzie, jak potrafią się organizować, jak broni się cały naród. Może nawet było tak, że sam Kreml uwierzył w swoje własne kłamstwa? Bo widać, że Putin chyba nie rozumie tego, co się dzieje dziś w Ukrainie.

Jak Finowie wspierają Ukrainę?

To, co mogą zrobić kraje zachodnie, to wsparcie militarne, dostawy wojskowe, tak aby Ukraińcy mogli się bronić. Decyzja Unii Europejskiej w tej sprawie jest niezwykle ważna, choć Unia mogła ją podjąć wcześniej. To jednocześnie przełomowy moment dla Europy, której udało się teraz zjednoczyć.

A co może zrobić zwykły człowiek, np. w Finlandii?

Powinniśmy wspierać ukraińską gospodarkę, kupując ukraińskie produkty, i bojkotować gospodarkę rosyjską. Finowie już to robią. Powtórzę: czegoś takiego się nie spodziewałam, coś takiego wcześniej się tu nie zdarzało. Nawet państwowe sklepy monopolowe – a tylko w takich można w Finlandii kupić alkohol – przestały sprzedawać rosyjskie produkty. Przedsiębiorcy, któ-

Skala poparcia dla Ukrainy jest w Finlandii niezwykła. Nigdy czegoś takiego nie widziałam. Takie protesty, jakie dziś mają miejsce, to rzecz u nas niesłychana.

W każdym Finie jest obawa, że jeśli Putin nie zostanie powstrzymany, to po Ukrainie rosyjskie wojska pojawią się na naszych granicach.

rzy zatrudniają Ukraińców, pomagają im sprowadzić z Ukrainy rodziny, wysyłają po nie busy. Tymczasem jeszcze jakiś czas temu w Finlandii starano się unikać mówienia czy robienia czegoś, co dotyczyło działań Moskwy. Politycy powtarzali, jaki to dla nas ważny rynek. Jestem zaskoczona, że Finlandia potrafi tak pięknie się zachować.

Finowie byli ostrożni nie bez powodu – w latach 1945-1991 ich kraj miał w gruncie rzeczy ograniczoną suwerenność, nazywano to „finlandyzacją". To, co się teraz dzieje, pokazuje, jak bardzo sytuacja się zmieniła.

Z powodu niedawnej przeszłości Finlandia mogłaby rzeczywiście obawiać się podjęcia teraz działań. Jednak z drugiej strony doświadczenie wojny bardzo tu rezonuje. Jest to coś, co ludzie tu rozumieją. Myślę też, że w każdym Finie jest obawa, że jeśli Putin nie zostanie powstrzymany, to po Ukrainie rosyjskie wojska pojawią się na naszych granicach.

Czy fińskie doświadczenia z Sowietami mogą okazać się w jakiś sposób użyteczne dla Ukraińców w ich walce?

Uważam, że – niezależnie od aspektów militarnych – najsilniejszą fińską linią obrony jest dziedzictwo i narracja wojny zimowej [w listopadzie 1939 r. Związek Sowiecki zaatakował Finlandię, która, choć osamotniona, po ponad trzech miesiącach dramatycznych walk obroniła się; w marcu 1940 r. zawarto rozejm – red.]. Jako Finka mogę powiedzieć, że tamta historia, której centralnym motywem jest hart ducha żołnierzy i cywilów wykazany podczas wojny zimowej, jest naszą najlepszą bronią dla całych pokoleń. To coś, z czym żaden agresor nie da sobie rady.

Jeśli jakiś naród ma taką definiującą narrację tożsamościową, to jest to coś niezniszczalnego. Coś, co będzie stanowić centrum jego obrony. Ukraina już ją ma – jest nią zwłaszcza dziedzictwo Majdanu i Rewolucji Godności. A kolejny jej etap powstaje teraz, na naszych oczach.

©℗ Rozmawiała PATRYCJA BUKALSKA

Rozmowę przeprowadzono 28 lutego.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Na południowej flance

KAMIL CAŁUS

Długo nieufna wobec największego sąsiada, Rumunia patrzy dziś na Ukrainę jak na sojusznika i ją wspiera. Jej klęska może oznaczać powrót rosyjskich wojsk nad rumuńskie granice. I koniec marzeń o europejskiej Mołdawii, kraju bliskim Rumunom.

Rosyjska inwazja na Ukrainę wywołała poważny niepokój w Bukareszcie i spotkała się z szybką reakcją rumuńskiej klasy politycznej. Rząd i opozycja solidarnie potępiły agresję, a do ostrej krytyki Moskwy przyłączył się nawet Związek Jedności Rumunów (AUR), oskarżany przez przeciwników o prorosyjskie inklinacje i niechętnie komentujący politykę Kremla.

Jak przystało na reprezentanta narodowców, przy okazji potępienia Rosji lider tego radykalnego prawicowego ugrupowania – kontrowersyjny i zarazem mający charyzmatyczne oddziaływanie na zwolenników George Simion – wyraził jednocześnie zaniepokojenie losem mieszkającej na Ukrainie mniejszości rumuńskiej. Ostrych słów nie szczędziła Putinowi także reprezentująca rumuńskich Węgrów partia UDMR – i to mimo jej bardzo silnych związków z Fideszem, do niedawna flirtującym politycznie z Rosją. Rumunia błyskawicznie przyłączyła się też do grupy najbardziej aktywnych w NATO i UE promotorów wdrożenia możliwie najostrzejszych sankcji przeciw Rosji.

Dzień po dniu

Trzeciego dnia inwazji Bukareszt ogłosił zamknięcie swojej przestrzeni powietrznej dla rosyjskich samolotów. Decyzję podjęto z pewnym opóźnieniem wobec innych państw wschodniej flanki NATO – Polska, Czechy i Bułgaria zrobiły to dzień wcześniej – ale zwłokę spowodowała raczej specyfika aparatu administracyjnego niż brak woli politycznej.

Tego samego dnia rzecznik rządu oświadczył, że władze zaczynają procedurę wyjścia Rumunii z Międzynarodowego Banku Inwestycyjnego – powstałej jeszcze w czasach sowieckich i zdominowanej przez Rosję instytucji finansowej, w której rumuński skarb państwa posiada ok. 7 proc. udziałów. Dzień później Rumunia oficjalnie przyłączyła się do krajów, które zdecydowały się dostarczać broń i amunicję dla Ukrainy. Zapowiedziano wysłanie wartego 3 mln euro transportu paliwa, kamizelek, hełmów, amunicji i innego sprzętu wojskowego. Bukareszt zaoferował też leczenie rannym ukraińskim żołnierzom.

Potem, wraz z rosnącym poparciem zachodnich partnerów Rumunii dla kontrdziałań wymierzonych w Rosję, retoryka bukareszteńskich liderów stawała się coraz bardziej stanowcza. Czwartego dnia inwazji przewodniczący współrządzącej Partii Narodowo-Liberalnej (PNL) wyraził zadowolenie z wykluczenia części banków rosyjskich z systemu SWIFT, zastrzegając, że nie należy na tym poprzestać i że wszystkie rosyjskie instytucje bankowe powinny zostać odcięte od SWIFT. Stwierdził też, że Rumunia powinna szybko zablokować wszelkie źródła finansowania – zwłaszcza ze środków publicznych – działających na jej terenie firm należących do Rosjan.

Piątego dnia w geście swoistej licytacji jeszcze ostrzejsze kroki zaproponował Marcel Ciolacu, lider drugiego z ugrupowań koalicyjnych – Partii Socjaldemokratycznej (PSD). „Na terytorium Rumunii musi dojść do całkowitej blokady wszelkich rosyjskich firm i rosyjskich przedsiębiorców" – stwierdził dodając, że sankcje wobec Rosji muszą być znacznie silniejsze, gdyż inaczej „każde państwo, które nie korzysta z ochrony NATO" może stać się kolejnym celem po Ukrainie. Zasugerował nawet, że warto zastanowić się nad zawieszeniem członkostwa Rosji w ONZ.

Rumunia po raz kolejny poparła także integrację Ukrainy z Unią, choć jej władze powstrzymały się przed podpisaniem listu ośmiu unijnych państw, w którym wzywano do jak najszybszego przyznania Kijowowi statusu kandydackiego.

Rumuni otwierają drzwi

Równolegle do działań politycznych kraj zaczął przygotowywać się na napływ uchodźców, docierających zarówno bezpośrednio (głównie od północy), jak też ze wschodu (od strony granicy z Mołdawią).

Jeszcze we wtorek 22 lutego, na dwa dni przed rosyjskim atakiem, minister obrony narodowej Vasile Dîncu uspokajał, że jego resort wraz z MSW przygotował miejsca dla 500 tys. potencjalnych uchodźców. Ci zaczęli przybywać na granicę już 24 lutego, natychmiast po tym, jak rosyjskie wojska uderzyły.

Władze niemal natychmiast zliberalizowały przepisy wjazdowe. Uciekających zwolniono z obowiązku kwarantanny i umożliwiono im przejście przez granicę na dowolnym dokumencie tożsamości. Rumunia zaczęła też przygotowywać obozy dla uchodźców, ale decyzję o uruchomieniu większości z nich

NICOLAS TUCAT / AFP / EAST NEWS

Francuscy żołnierze z 27. Brygady Strzelców Alpejskich wylatują do Rumunii, 1 marca 2022 r.

ETAT MAJOR DES ARMEES / AP / EAST NEWS

Francuski sprzęt na pokładzie samolotu transportowego w drodze do Rumunii, 2 marca 2022 r.

odsuwano aż do weekendu, bo przeważająca część osób przekraczających wtedy rumuńską granicę od razu kierowała się w dalszą podróż, głównie w stronę Węgier i dalej do Polski. Niektórzy deklarowali, że ich cel to Litwa lub Łotwa, inni ruszali na południe, do Bułgarii i Turcji.

Niesamowitą mobilizację wykazali też zwykli Rumuni, którzy przyjmowali uchodźców do swych domów albo ruszyli na granicę, by dostarczyć wodę i żywność czy oferować bezpłatny transport. Grupa Zjednoczeni dla Ukrainy – założona przez jednego z eurodeputowanych i służąca jako centrum koordynacji oraz „giełda" ofert pomocowych – w kilka dni zgromadziła 230 tys. członków. Lokalne media zaroiły się od historii ludzi, którzy organizowali się, by ulżyć cierpiącym.

Ta bezprecedensowa mobilizacja stała się dla Rumunów źródłem podwójnej dumy i radości – po pierwsze, bo mogli pomóc; po drugie, bo poczuli siłę wynikającą z solidarności. Odkryli, że jako społeczeństwo zdolni są do tak bezinteresownych zrywów – i to wobec narodu, który przez długie lata wydawał się większości Rumunów zwyczajnie obcy.

Ćwierćwiecze nieufności

Wsparcie polityczne i wojskowe, a także serdeczność okazywana przez zwykłych Rumunów uciekającym przed wojną Ukraińcom to dowód na dokonującą się coraz szybciej od 2014 r. radykalną zmianę w sposobie, w jaki naród ten, a z nim jego klasa polityczna postrzegają swojego największego sąsiada.

Przez 23 lata od rozpadu Związku Sowieckiego Rumunia spoglądała bowiem na Ukrainę z nieufnością, doprawioną czasem niechęcią i brakiem zainteresowania. W oczach wielu Rumunów Ukraińcy nieszczególnie różnili się kulturowo i językowo od Rosjan, którzy – ze zrozumiałych dla mieszkańców Europy Środkowo-Wschodniej przyczyn historycznych – nie tylko nie budzą pozytywnych skojarzeń w rumuńskim społeczeństwie, ale postrzegani są jako największe zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju. Jak w czasach sowieckich, mówiąc o mieszkańcach Ukrainy Rumuni często posługiwali się słowem *Ruşi*, czyli „Rosjanie" (choć może bardziej adekwatnym tłumaczeniem byłoby w tym przypadku „Ruscy").

Podobnie ostrożne były władze. Aż do 2014 r. Bukareszt widział w Ukrainie nie tylko kraj związany z Moskwą, ale wręcz reprezentujący jej interesy w regionie. Rumuńskich polityków do zmiany zdania nie przekonały Pomarańczowa Rewolucja z 2004 r. i związane z nią działania, mające na celu integrację Ukrainy z UE czy zbliżenie z NATO.

Pytani wprost, z łatwością odbijali piłeczkę: „Skoro Ukraina faktycznie zainteresowana jest zbliżeniem z Zachodem, ↦

↦ to co na jej terenie robi wciąż rosyjska Flota Czarnomorska, po 1991 r. stacjonująca na Krymie na mocy porozumienia z Kijowem? I dlaczego Kijów – dążący rzekomo do asertywności wobec Rosji – nie angażuje się realnie w rozwiązanie problemu separatystycznego Naddniestrza?".

Te pytania, pozostawiane bez odpowiedzi, utwierdzały bukareszteńskie elity w ich ostrożnym nastawieniu. Trzeba było rosyjskiego ataku na Ukrainę w 2014 r., by to myślenie stopniowo zaczęło się zmieniać.

Kto jest Rumunem na Ukrainie?

Prócz aspektu rosyjskiego, na stosunek Bukaresztu do Kijowa wpływała także przez lata kwestia mniejszości rumuńskiej na Ukrainie. Nie chodzi przy tym o sposób, w jaki traktowały ją ukraińskie władze, bo ten – mimo pewnych konfliktów – nigdy nie był zły. Problemem dla Rumunii był raczej fakt nieuznawania znacznej części mniejszości rumuńskiej za Rumunów.

O co chodziło? Otóż wedle ostatniego spisu powszechnego z 2001 r. Ukrainę zamieszkiwało wtedy 150 tys. osób narodowości rumuńskiej oraz 258 tys. przedstawicieli narodowości mołdawskiej. Uznający Mołdawian za członków narodu rumuńskiego, Bukareszt sumuje liczbę obu mniejszości i w swoich statystykach informuje o 400 tys. Rumunów żyjących na terytorium Ukrainy. Liczba ta czyniła tę nację trzecią co do wielkości grupą narodową na Ukrainie, po Ukraińcach i Rosjanach. Kijów nie zgadzał się z takim podejściem, twardo odróżniając Rumunów od Mołdawian, co z kolei negatywnie postrzegano w Bukareszcie (widząc w tym uderzenie w prawa mniejszości rumuńskiej i próbę „derumunizacji" części mniejszości).

Nie jest tajemnicą, że stanowisko to miało kontekst polityczny. Duża mniejszość rumuńska na Ukrainie zwiększałaby potencjał oddziaływania Bukaresztu na Kijów, czego chciano uniknąć. Szczególnie że także Bukareszt w oczach Kijowa przez lata nie był zbyt przyjaznym partnerem.

Jednocześnie strona rumuńska ostro reagowała na jakiekolwiek działania mogące ograniczyć prawa etnicznych Rumunów na Ukrainie. We wrześniu 2017 r., w związku z wprowadzeniem przez Kijów kontrowersyjnej ustawy oświatowej – ograniczającej prawa mniejszości do nauki języka ojczystego – prezydent Klaus Iohannis ogłosił, że odwołuje zaplanowaną wizytę w Kijowie i że nie odbędzie się ona dopóty, dopóki nie nastąpi postęp w sprawie ustawy oświatowej. Do sprawy odniósł się też parlament, podkreślając, że bez poszanowania praw mniejszości „nie jest możliwy postęp Ukrainy na drodze do Unii".

Stanowczość Rumunii była jednak daleka od stanowiska nieustępliwych Węgrów, którzy – przez wzgląd na kwestię mniejszości węgierskiej na Ukrainie – blokowali w ostatnich latach współpracę Kijowa z NATO.

Amerykanie chętnie witani

O ile Rumuni pomagają Ukraińcom kierowani porywem serca, o tyle oficjalny Bukareszt kibicuje ukraińskiej armii głównie ze względów strategicznych. Ewentualny sukces militarny Kremla w najgorszym wariancie oznaczać może pojawienie się wojsk rosyjskich na północnych i południowo-wschodnich granicach kraju oraz wzmocnienie jej obecności na Morzu Czarnym, co dla Rumunii jest wręcz niewyobrażalne. To właśnie obawy przed Rosją kształtują rumuńską politykę zagraniczną, opartą na możliwie najgłębszej współpracy z NATO i USA. Rumunia gości wojska natowskich sojuszników, w tym amerykańskie i polskie. Znajduje się tu także instalacja w Deveselu, stanowiąca element tzw. tarczy antyrakietowej.

Wraz z narastającymi w ostatnich miesiącach napięciami między Rosją z jednej strony a Ukrainą i Zachodem z drugiej, Bukareszt zabiegał o wzmocnienie sił NATO na swoim terenie i z wielkim zadowoleniem przyjął podjętą na początku lutego przez Waszyngton decyzję o wzmocnieniu stacjonujących tam wojsk USA dodatkowym tysiącem żołnierzy. Część z nich przybyła do Rumunii już na początku lutego. Równie pozytywnie odebrana została złożona nieco wcześniej zapowiedź wysłania do tego kraju wojsk francuskich i utworzenia tu Grupy Bojowej NATO (podobnej do obecnych dziś w Polsce i krajach bałtyckich).

Pierwsze francuskie posiłki przyleciały do Rumunii tuż po inwazji, 28 lutego, a ich wyposażenie przybyło na pokładzie wymalowanego w ukraińskie barwy narodowe samolotu An-124, należącego do ukraińskich Antonov Airlines.

Drugie państwo rumuńskie

Jest jeszcze jeden powód, dla którego postępy rosyjskiej armii spędzają sen z powiek rumuńskich polityków: to obawy o przyszłość Republiki Mołdawii, post-

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

REZERWUJ CZAS!

KRAKÓW, wtorek 15 marca
Spotkanie prof. Andrzejem Cechnickim
„O wychodzeniu z psychozy" / stacjonarne /

WARSZAWA, czwartek 10 marca
Spotkanie z Aleksandrą Klich, Dominiką Kozłowską, Magdaleną Kicińską oraz Zofią Król
„Kobiety opinii. O wyzwaniach współczesnego dziennikarstwa" / online /

OGÓLNOKLUBOWE, wtorek 15 marca
Wspólna rozmowa na dany temat wszystkich zainteresowanych członków Klubów,
cykl „Przestrzeń spotkania", „(Nie)opłacalna przyzwoitość" / online /

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

więcej na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

ANDREI PUNGOVSCHI / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Ukraińscy uchodźcy wojenni na granicy z Rumunią. Siret, 2 marca 2022 r.

sowieckiego kraju leżącego między Ukrainą a Rumunią. Zajmuje on szczególne miejsce w polityce państwa rumuńskiego, co wynika z przyczyn historycznych. Oba kraje łączy język i kultura, a także doświadczenie wspólnej państwowości.

Obszar dzisiejszej Republiki Mołdawii – z wyjątkiem położonych na lewym brzegu Dniestru terenów Naddniestrza – między wiekami XIV a XIX wchodził w skład Hospodarstwa Mołdawskiego, jednego z dwóch (obok Wołoszczyzny) księstw, których zjednoczenie dało w drugiej połowie XIX w. początek współczesnemu państwu rumuńskiemu. Ziemie te w 1812 r. oderwano od Hospodarstwa i przyłączono do Cesarstwa Rosyjskiego. Wróciły one do Rumunii w 1918 r. i pozostały w jej składzie aż do 1940 r., gdy na mocy traktatu Hitler–Stalin zostały zaanektowane przez Kreml (zwano je wówczas Besarabią).

Powstała po rozpadzie Sowietów w 1991 r. niepodległa Republika Mołdawii, dziś zamieszkana w 80 procentach przez ludność rumuńskojęzyczną, to z perspektywy Bukaresztu tzw. „drugie państwo rumuńskie". W oczach rumuńskiej elity i przeważającej części rumuńskiego społeczeństwa Mołdawianie (a raczej tak zwani Mołdawianie) to po prostu Rumuni – Bukareszt nie uznaje odrębności narodu mołdawskiego, traktując tych ludzi jako siłą odłączonych od macierzy. Większa część terytorium dzisiejszej Mołdawii – bez wspomnianego Naddniestrza – jest zaś postrzegana jako ziemie historycznie rumuńskie.

Dlatego dogmatem rumuńskiej polityki zagranicznej od lat pozostaje możliwie jak najsilniejsze umocowanie Mołdawii w systemie zachodnich instytucji i powiązań. Bukareszt wspierał Mołdawię w jej staraniach o przyłączenie do OBWE, Rady Europy czy Światowej Organizacji Handlu i pozostaje największym promotorem jej integracji europejskiej.

Czarny sen Bukaresztu

Dążąc do westernizacji Mołdawii, Bukareszt nie kieruje się jednak tylko pobudkami romantycznymi. Najczarniejszym snem rumuńskich elit jest wizja Mołdawii, która znalazłaby się pod pełną kontrolą Kremla; wówczas na jej terenie mogłyby zostać rozmieszczone rosyjskie wojska.

Scenariusz taki nie jest nieprawdopodobny, a instrumentem do jego realizacji może być z perspektywy Moskwy Naddniestrze – zbuntowana „republika", która jeszcze w 1990 r. wypowiedziała posłuszeństwo Mołdawii i od tej pory jest pod kontrolą i protektoratem (także finansowym) Federacji Rosyjskiej.

Rosja od lat konsekwentnie dąży do ponownego włączenia Naddniestrza do Mołdawii, ale na korzystnych dla siebie warunkach (przypominają się tu niedawne żądania Putina, aby kontrolowany przez niego Donbas reintegrować z Ukrainą – na rosyjskich zasadach). W tym przypadku chodzi o powołanie federacji, w której Naddniestrze – zinfiltrowane przez rosyjskie służby i prorosyjskie – miałoby prawo weta w kwestiach dotyczących polityki zagranicznej (np. integracji Mołdawii z UE czy NATO). Ważnym punktem promowanego przez Moskwę planu jest też demilitaryzacja Mołdawii oraz rozmieszczenie na jej terenie na kilkadziesiąt lat rosyjskich „sił pokojowych", mających gwarantować bezpieczeństwo Naddniestrza i całej owej federacji.

Kolejny cel Rosji?

Przez ostatnie kilkanaście lat Mołdawia, przy wsparciu Zachodu, skutecznie broniła się przed realizacją takiego scenariusza. Pomagał w tym brak bezpośredniej granicy między Naddniestrzem a Rosją.

Obecna wojna o istnienie niepodległej Ukrainy może jednak tę sytuację radykalnie zmienić. Jeśli armia Putina zdoła przebić się przez Odessę – lub ją obejść – i dotrze do leżącej zaledwie 50 km dalej granicy z Naddniestrzem, to Mołdawia może zostać postawiona przed egzystencjalnym wyborem: akceptacją warunków proponowanych przez Rosję lub groźbą rozszerzenia rosyjskiej inwazji także na jej terytorium.

Inaczej niż Ukraina, Mołdawia nie będzie stanowić dla wojsk rosyjskich większego wyzwania – ma ona symboliczne siły zbrojne. Jej roczne wydatki na obronę przez lata oscylowały w okolicach 0,5 proc. PKB, co – biorąc pod uwagę niezwykle mały rozmiar lokalnej gospodarki – przekładało się na ledwie kilkadziesiąt milionów dolarów. Co więcej, zdający sobie sprawę ze słabości swoich wojsk Mołdawianie nie są raczej nastawieni na walkę z armią rosyjską.

Jeśli więc Kiszyniów nie uzyskałby wtedy wsparcia od Zachodu (pytanie, jak miałoby ono wyglądać?), to prawdopodobnie ugnie się pod żądaniami Moskwy. A co potem? Demilitaryzacja, wojska rosyjskie jako „siły pokojowe" oraz motywowane zmianą ustroju i potrzebą wyboru władz dla nowej federacji przedterminowe wybory...

Mówiąc wprost: wariant ten oznaczałby dla Mołdawii utratę suwerenności i koniec snów o integracji europejskiej. Stałby się też koszmarem dla Bukaresztu, który mierzyłby się z operującą na granicach Rumunii armią rosyjską i zmuszony byłby porzucić marzenia o połączeniu „dwóch państw rumuńskich" w ramach tzw. unirei – za czym dziś opowiada się 35-40 proc. mieszkańców Mołdawii i przeważająca większość Rumunów.

© KAMIL CAŁUS

AHMED_95KRA / TWITTER

Mohammed Tuszajew (z lewej) i Ramzan Kadyrow, fotografia z mediów społecznościowych

Trzecia wojna czeczeńska

WOJCIECH JAGIELSKI

Dawni towarzysze broni z kaukaskich wojen walczą dziś przeciwko sobie nad Dnieprem: jedni po stronie Rosji, która ich pokonała, drudzy po stronie Ukrainy, która ich przygarnęła.

To, co stało się pod Hostomlem koło Kijowa – gdzie położone jest wojskowe lotnisko, o które w pierwszych dniach rosyjskiej inwazji toczyły się ciężkie walki – mogło przywołać pewne odległe dziś wspomnienia: przypominało zasadzki, jakie czeczeńscy partyzanci zastawiali przed laty w kaukaskich wąwozach na ścigające ich rosyjskie wojska.

Ukryci w lasach porastających strome górskie zbocza strzałem z granatnika rozbijali pierwszy pojazd ze zbrojnej kolumny, zamykając jej dalszą drogę do przodu. Potem roztrzaskiwali ostatni z pojazdów, aby uniemożliwić kolumnie odwrót. Następnie zaś strzelali do Rosjan uwięzionych w dole, na wąskiej górskiej drodze, zwykle nad strumieniem, dopóki nie zabili ostatniego.

Tym razem pułapkę zastawiono nie w wąwozach Wedeno, Szatoj czy Itum-kale, lecz na równinie nad Dnieprem. Myśliwymi byli Ukraińcy, a zwierzyną łowną – Czeczeni. Ci, którzy – pokonani i złamani w końcu przez Rosjan w tamtej kaukaskiej wojnie – przeszli do nich na służbę.

Według ukraińskich wywiadowców wraz z rosyjskim wojskiem do ataku na Kijów skierowany został czeczeński korpus ekspedycyjny składający się z ponad 250 wozów bojowych i ponad półtora tysiąca żołnierzy. „Najlepsi z najlepszych, prawdziwe lwy z Kaukazu" – mówił o nich Ramzan Kadyrow, usadzony przez Kreml na czeczeńskim tronie.

Mieli oni stanowić uderzeniową szpicę rosyjskiego szturmu na Kijów. Otrzymali też zadanie pacyfikacji stołecznych przedmieść i dzielnic, a także wytropienia i zgładzenia prezydenta Wołodymyra Zełenskiego i innych ukraińskich przywódców.

Żołnierzom specjalnie wybranym do oddziału „tropicieli" rozdano talie kart do gry z podobiznami wytypowanych do zagłady polityków i wojskowych (podobne karty mieli amerykańscy żołnierze podczas ataku na Irak w 2003 r. – tyle że Husajna mieli ująć, a nie zamordować).

Bitwa pod Hostomlem

Jeszcze w piątek 25 lutego, drugiego dnia wojny, Czeczeni przechwalali się wojennymi trofeami zdobytymi na Ukraińcach w ich bazie wojennej na podkijowskim lotnisku Hostomel. Nazajutrz, w sobotę, w pobliżu tego samego lotniska ukraińscy żołnierze roztrzaskali czeczeńską kolumnę z amerykańskich bazook Javelin i tureckich samolotów bezzałogowych. Doszczętnie zniszczonych zostało 56 wozów bojowych. Ilu zginęło? Ukraińcy mówią, że co najmniej setka, w tym dowódca oddziału generał Mohammed Tuszajew, a także dowódca oddziału komandosów Anzor Bisajew.

Ramzan Kadyrow, który do niedawna wszystkiemu zaprzeczał i zapewniał, że jego wojsko nie ponosi żadnych strat, a komendanci czują się znakomicie, przyznał w końcu, że są straty. Oficjalnie ogłosił, że na Ukrainie zginęli tylko dwaj jego żołnierze (mieli nazywać się Abdul-bek Taramow i Tamerlan Isajew), a sześciu zostało rannych. „Cóż, sami wybrali sobie żołnierski los" – powiedział i kazał wypłacić rodzinom poległych po milionie rubli.

Ważniejsza od tego, jak bardzo Kadyrow zaniżył swoje straty, stała się jednak wieść, że jego ludzi zdradził oficer rosyj-

skiej Federalnej Służby Bezpieczeństwa. Nie godząc się z bratobójczą wojną Słowian – i żeby przerwać przelew krwi – miał on wydać Ukraińcom kaukaskich górali, których Rosjanie ściągnęli na naddnieprzańskie stepy do pomocy. Miał też przekazać Ukraińcom nagrania z podsłuchów rozmów prowadzonych przez Ramzana Kadyrowa.

Choć nie ma dnia, aby czeczeński przywódca nie składał wiernopoddańczych hołdów rosyjskiemu prezydentowi Władimirowi Putinowi, to okazuje się, że rosyjscy „czekiści" nie ufają mu i śledzą każdy jego krok – z jego wojskowym zausznikiem Daniiłem Martynowem. Z nagrań wynika, że już na początku lutego Czeczeni zostali ściągnięci pod Smoleńsk i Briańsk, aby wziąć udział w ostatnich przygotowaniach do inwazji.

Zaczęło się na Kaukazie

Cofnijmy się sporo w czasie.

Wojenne dzieje Czeczenów nad Dnieprem zaczęły się ponad ćwierć wieku temu – w chwili, gdy rozpadał się Związek Sowiecki, a kaukascy górale – pozazdrościwszy sąsiadom z południowych zboczy: Gruzinom, Ormianom i Azerom – także zażądali niepodległości.

Rosja, dziedziczka Związku Sowieckiego, nie mogąc wiele wskórać, musiała pogodzić się z niepodległościową ucieczką tych dawnych imperialnych prowincji, które w czasach sowieckich cieszyły się statusem republiki. Jednak Czeczenom – podobnie jak Tatarom, Kałmukom, Baszkirom czy Jakutom – ani myślała ustępować. Ich ziemie wchłonęła już dawno do swego terytorium i obawiała się, że secesja jednych może zachęcić innych do pójścia w ich ślady.

Secesja Czeczenów zakończyła się więc zbrojnym najazdem Rosjan i wybuchem dwóch kolejnych kaukaskich wojen. Pierwszą, z lat 1994-96, Czeczeni wygrali. Nie zwyciężyli co prawda na polu bitwy, ale też nie dali się pokonać. Upokorzona Rosja podpisała rozejm, zgodziła się na czeczeńską autonomię i obiecała za kilka lat wrócić do rozmów o przyszłości.

Zamiast układów wybuchła jednak druga wojna czeczeńska. Jesienią 1999 r. Władimir Putin – wyniesiony najpierw do godności premiera, a wkrótce również prezydenta – wydał swojemu wojsku rozkaz najazdu na Czeczenię. Pretekstem do wojny stały się zbrojny zajazd czeczeńskich partyzantów pod wodzą Szamila Basajewa na sąsiedni Dagestan, zamachy bombowe na budynki mieszkalne w Moskwie i Wołgodońsku (Aleksander Litwinienko, były oficer FSB otruty w 2006 r. w Londynie, twierdził, że zostały one przygotowane przez FSB, by oskarżyć Czeczenów i dać pretekst do wojny), a także porwanie dwóch polskich uczonych w Dagestanie.

Podczas nowego najazdu Rosjanie nie wdawali się już w otwarte bitwy z Czeczenami, lecz gromili ich zmasowanym ogniem artylerii i dywanowymi bombardowaniami. Dopiero potem do natarcia ruszały kolumny pancerne i piechota. W przeciwieństwie też do pierwszej wojny, w której walczyli żołnierze z poboru, w tej drugiej bili się już wyłącznie żołnierze zawodowi i kontraktowi.

Nie będąc w stanie przeciwstawić się rosyjskiej potędze, Czeczeni wycofali się w góry, skąd jeszcze przez kilka lat próbowali prowadzić partyzancką wojnę. Zabójczym ciosem okazały się dla nich zamachy Al-Kaidy z 11 września 2001 r. na Nowy Jork i Waszyngton. Ameryka i Zachód wydały odwetową wojnę terrorystycznej międzynarodówce (m.in. najechały na Afganistan) i potrzebowały w niej wsparcia także ze strony Rosji. Czeczeni stracili wcześniejsze współczucie. Sami zresztą przyłożyli do tego rękę, coraz częściej i chętniej odwołując się do terroryzmu (m.in. zamachy na teatr na moskiewskiej Dubrowce w 2002 r. i na szkołę w Biesłanie w 2004 r.) i dżihadyzmu.

Od Iczkerii do Kalifatu

Pierwszy i trzeci czeczeński przywódca – Dżochar Dudajew (1991-96) i Asłan Maschadow (1997-2005) – którzy wcześniej byli oficerami armii sowieckiej (odpowiednio w randze generała i pułkownika), w swoich hasłach odwoływali się do idei Iczkerii, niepodległego państwa Czeczenów. Maschadow tłumaczył, że niepodległość nie miała być aktem wrogości wobec Rosji, ale jedynie zabezpieczeniem przed agresją z jej strony.

Jednak podczas jego prezydentury, która przypadła na czas międzywojnia, wśród Czeczenów doszło do pierwszych podziałów – i poza „niepodległościowcami" pojawili się na Kaukazie zwolennicy przerobienia go na kalifat. Dżihadystom przewodzili drugi prezydent Czeczenii Selim Chan Jandarbijew (rządził przez kilka miesięcy, jako przywódca tymczasowy, od śmierci Dudajewa do elekcji Maschadowa), a przede wszystkim najsławniejszy z czeczeńskich komendantów Szamil Basajew.

Najazd Rosji w 1999 r. pogodził zwaśnione czeczeńskie frakcje. Przedłużająca się i wyniszczająca wojna, a przede wszystkim śmierć przywódców (Jandarbijew zginął w 2004 r., Maschadow został zabity przez Rosjan w 2005 r., a jego następca Abdul Chalim Sadułłajew w 2006 r., tego roku zginął też Basajew) sprawiły, że wśród czeczeńskich partyzantów coraz bardziej górę brali dżihadyści. W roku 2007 piąty prezydent, Doku Umarow, oficjalnie wyparł się Iczkerii i ogłosił powstanie w górach Emiratu Kaukaskiego, sprzymierzonego z Al-Kaidą (Umarow zginął w 2013 r.).

Rządy Kadyrowów

Przed zimową olimpiadą w Soczi w 2014 r. Rosja dokonała brutalnej pacyfikacji Kaukazu i niedobitki tamtejszych dżihadystów wolały uciekać do Iraku i Syrii, żeby zaciągnąć się na tamtejsze wojny do armii Państwa Islamskiego. „Niepodległościowcom" zostawała emigracja do zachodniej Europy, gdzie rolę ich przywódcy pełni osiadły w Londynie Ahmed Zakajew.

W Groznym zaś nastały rządy Kadyrowów, którzy wybrali służbę dla Rosji. Ahmed Kadyrow (ojciec Ramzana), który podczas pierwszej wojny czeczeńskiej – jako mufti, przywódca duchowy czeczeńskich muzułmanów – stał po stronie Dudajewa i Maschadowa, w drugiej wojnie, zrażony wpływami dżihadystów, przeszedł do obozu Rosji. Rosjanom bardzo na pozyskaniu Kadyrowa zależało. Mieli nadzieję, że jako przedstawiciel najliczniejszej wśród Czeczenów wspólnoty rodowo-terytorialnej pociągnie za sobą rodaków i zapewni Kremlowi ich poparcie.

Nagrodą za kolaborację była prezydentura, którą Rosjanie powierzyli mu w 2003 r.

Rok później Kadyrow-senior zginął w zamachu bombowym, a Putin namaścił na jego następcę jego syna Ramzana (nie miał jeszcze trzydziestki i choć pozostawał rzeczywistym władcą, formalnie prezydentem został dopiero w 2007 r.).

Ramzan Kadyrow otrzymał od Putina zadanie zaprowadzenia spokoju – choćby więziennego – w zbuntowanej Czeczenii. Dostał też od Kremla wolną rękę i nieograniczony dostęp do państwowego skarbca. ↦

ADAM OSMAIEV / FACEBOOK

Adam Osmajew z własnoręcznie udoskonalonym granatem na froncie w Donbasie, 2015 r.

Sprawił się znakomicie. Stosując brutalną siłę, nie licząc się z nikim – z wyjątkiem Putina – i z niczym, zaprowadził w Czeczenii rządy terroru. Ukrywających się w górach rodaków-partyzantów bez litości tropił i zabijał. Albo składał propozycję nie do odrzucenia – darował im życie w zamian za przejście na służbę w jego kadyrowskim wojsku i ślepe posłuszeństwo.

Wielu partyzantów przyjęło ofertę, a będąc dozgonnymi dłużnikami Ramzana, wykonywali wszystkie jego rozkazy. On zaś, jako dozgonny dłużnik Putina, nie tylko wykonuje wszystkie rozkazy, ale stara się odgadywać myśli i wyręczać kremlowskiego patrona.

„Północ", „Południe" i rywale

Rekrutowane początkowo z byłych partyzantów oddziały zbrojne, mające tworzyć armię Kadyrowa, podzielone zostały w końcu na pułki: „Północ" (stacjonujący w Groznym) i „Południe" (z bazą w górskim Wedeno). Konkurencyjne jednostki – pułki „Zachód" i „Wschód", również składające się z byłych partyzantów, ale podległe politycznym rywalom Kadyrowa oraz niechętnemu mu rosyjskiemu wojsku i wywiadowi wojskowemu – zostały na rozkaz Kremla rozwiązane, a ich dowódcy wkrótce zginęli w zamachach.

Dziś oba pułki liczą po około tysiąc żołnierzy i służą w nich wyłącznie Czeczeni. Choć formalnie podlegają rosyjskiemu MSW, faktycznie są prywatną armią Kadyrowa i zapewniają mu władzę nad Czeczenią. Za pretorian Ramzana uważany był zwłaszcza pułk „Północ" – ten wybity teraz pod Hostomlem.

Kadyrow straszy nimi swoich wrogów, a także użycza ich Putinowi, ilekroć stają się potrzebni. W 2008 r. wojska Kadyrowa wzięły udział w rosyjskim najeździe na Gruzję, a w roku 2014 – na Krym i Donbas. W 2017 r. pojechały wspierać Rosjan w Syrii. Żołnierze i byli żołnierze czeczeńskich pułków „Północ" i „Południe" figurują też w policyjnych kartotekach w sprawach najgłośniejszych zabójstw politycznych w Rosji (były oficer pułku „Północ" Zaur Dadajew został skazany na 20 lat więzienia jako zabójca przywódcy rosyjskiej opozycji Borysa Niemcowa, zastrzelonego w 2015 r. pod murami Kremla).

Generał Mohammed Tuszajew – dowódca pułku „Północ", który według Ukraińców zginął w zasadzce pod hostomelskim lotniskiem – zasłynął wcześniej także jako szef brutalnej kampanii przeciwko homoseksualistom w Czeczenii. Objął dowództwo pułku w 2017 r., gdy jego poprzednik Rachman Abdulkadyrow został zwolniony za ściąganie haraczy ze swoich podwładnych i zarzut zabójstwa trzech kobiet.

Po stronie ukraińskiej

Podczas wojny w Donbasie, ale po ukraińskiej stronie, także bili się Czeczeni – ci wciąż opowiadający się za niepodległą Iczkerią i uważający Kadyrowa oraz jego wojsko za kolaborantów i zdrajców.

Wielu z nich osiadło na Ukrainie po tamtej przegranej wojnie czeczeńskiej, by schronić się przed terrorem Kadyrowa. Inni ściągnęli na donbaską wojnę przeciwko Rosji z zachodniej Europy. Dowódcą oddziału czeczeńskich ochotników został Isa Munajew, weteran wojen z przełomu wieków; ciężko ranny w 2004 r., wyjechał na leczenie i otrzymał azyl polityczny w Danii. Podczas wojny w Donbasie jego pułk, liczący pół tysiąca czeczeńskich ochotników, przybrał nazwę Pułku imienia Dżochara Dudajewa. Drugi oddział ochotników, utworzony w Danii przez Munajewa, przyjął imię Pułku imienia Szejka Mansura.

W roku 2015 Munajew zginął w bitwie o Debalcewo, a jego następcą ogłoszono Adama Osmajewa.

Osmajew, pochodzący z zamożnej czeczeńskiej rodziny i wykształcony na najlepszych uczelniach w Wielkiej Brytanii, także walczył w Donbasie, ale sławę na tamtej wojnie zdobyła przede wszystkim jego żona Amina Okujewa – lekarka i żołnierka z pierwszej linii frontu. W 2017 r. oboje stali się w Kijowie celem zamachu, zapewne rosyjskich służb – ona zginęła, on został ranny.

Prawdziwi Czeczeni

Teraz Osmajew, dziś już 43-latek, znów walczy na czele swoich ochotniczych oddziałów po stronie ukraińskiej. Według szacunków czeczeńskiej diaspory służy w nich 200-300 dawnych partyzantów, a kolejni są w drodze. Zapewniają o tym dawni towarzysze Maschadowa, a dziś emigracyjni przywódcy Ahmad Zakajew z Londynu i Husajn Ischanow z Wiednia.

„Jak śmiecie nazywać się pułkiem Szejka Mansura? To my jesteśmy jego potomkami, a was, dawnych Czeczenów, którzyście zaprzedali się Europie, zgładzimy, gdziebyście się nie schowali" – grozi Ramzan Kadyrow i kusi Putina, że wystarczy przestać ceregielić się z ukraińskimi cywilami, a zwycięstwo w wojnie przyjdzie prędko.

„Niepodległościowcy" nie pozostają dłużni. Twierdzą, że „kadyrowców" zginęło na Ukrainie tak wielu, że ich zwłoki wywożone są na Białoruś i dopiero stamtąd, po cichu, po dwa-trzy trupy, sprowadzane do Czeczenii, aby nie wywołać wśród rodzin paniki, nie posiać buntu.

Osmajew zapewnia Ukraińców, że prawdziwi Czeczeni walczą po ich stronie. „Tamci to sprzedawczyki, nie Czeczeni – powiada. – Nie ma się więc co ich bać".

©℗ WOJCIECH JAGIELSKI

Jak myśli Putin

KATARZYNA PEŁCZYŃSKA-NAŁĘCZ, POLITOLOŻKA:

Władca Rosji nie ma odwrotu: cofnięcie się oznaczałoby początek końca jego władzy. Położył na szalę los swój i swojego kraju, musi iść dalej.

MICHAŁ OKOŃSKI: Podjęłaby się Pani stworzenia portretu psychologicznego Władimira Władimirowicza Putina?

KATARZYNA PEŁCZYŃSKA-NAŁĘCZ: Pełnego portretu z pewnością nie, za mało mam danych. Ale pewne rysy są oczywiste.

Niejeden czytelnik zadaje sobie pytanie: zwariował czy nie? Jest psychopatą? A może socjopatą, jak twierdzi amerykański badacz psychiki dyktatorów James Fallon?

Dla mnie to pytania drugorzędne. Oczywiście, z punktu widzenia logiki funkcjonowania naszego świata Putin robi rzeczy zabójcze – także dla siebie i dla swojego kraju – więc najprościej powiedzieć, że mamy do czynienia z szaleńcem. Wolałabym jednak próbować zrozumieć logikę, w której on operuje, oraz realia psychologiczne, w których posługuje się tą logiką – bez wydawania wyroków medycznych.

Jaka to logika?

Żeby odpowiedzieć, trzeba przeanalizować jego wypowiedzi i artykuły. Często czytano je z poczuciem, że to materiały propagandowe, nie biorąc pod uwagę, że ich autor naprawdę mówi to, co myśli. Otóż on myśli, że mamy do czynienia z jednym narodem rosyjskim, który obejmuje również Białorusinów i Ukraińców, tyle że podzielonym. Że za ten podział odpowiedzialne są wrogie działania Amerykanów. Że to oni doprowadzili do zakwestionowania przywództwa nad całością tego narodu przez władców Kremla. I że jego własna misja polega na ponownym zjednoczeniu, a potem odzyskaniu należnej pozycji w światowej hierarchii, utraconej podczas wielkiej katastrofy, jaką był wedle Putina rozpad ZSRR.

Ważnym elementem tej logiki jest całkowite niezrozumienie i niedoszacowanie Zachodu. Putin postrzega nas jako wiecznie dyskutujących i nastawionych na dyplomację. Sam takimi postawami gardzi i uważa je za dowód słabości. Uważa, że jeśli ktoś na przemoc odpowiada ofertą rozmów, to znaczy, że się boi. Kompletnie nie wierzy, że ktoś może postępować w imię takich wartości jak wolność i demokracja.

Wierzy w prawo silniejszego?

Tak, i w prawo do dominacji nad innymi. Są to poglądy, które wyniósł z głębokiego dzieciństwa i ugruntował podczas pracy w KGB.

Warto zauważyć, że w czasie rządów Putina dorosły już dwa pokolenia Rosjan. Każde przywództwo sprawowane przez ponad 20 lat musi człowieka zmienić, a najczęściej także wypaczyć. A w tym przypadku mówimy jeszcze o przywództwie autorytarnym w skorumpowanym kraju, którego elita od lat zawłaszcza dobro publiczne, dzieląc je następnie między siebie w sposób omalże feudalny. Dodam, że z tą elitą Putin nie ma bynajmniej partnerskich relacji. Tam nie ma przestrzeni na wymianę myśli i przedstawienie odmiennego punktu widzenia.

Wiele się mówi o kręgu zaufanych doradców, wśród których jest np. ↦

Władimir Putin z ministrem obrony Sergiejem Szojgu i szefem sztabu generalnego Walerym Gerasimowem. Moskwa, 27 lutego 2022 r.

ALEXEI NIKOLSKY / TASS / FORUM

↦ **sekretarz Rady Bezpieczeństwa Rosji Nikołaj Patruszew.**

Chyba pan nie myśli, że Patruszew będzie dostarczał swojemu zwierzchnikowi jakichś przykrych informacji? Proszę pamiętać, że mówiąc o Putinie, mówimy o człowieku, który nie ma smartfona i pewnie nie korzysta sam z internetu, więc jego dostęp do wiadomości jest przesiany przez ludzi, którzy mówią nie to, co powinien usłyszeć, ale co sądzą, że chce usłyszeć.

„Zawsze uderzała mnie jego dziwna nieśmiałość i brak pewności siebie w relacjach z innymi liderami – portretował go Donald Tusk w rozmowie z Anne Applebaum. – Nie spotkałem nikogo, kto mógłby powiedzieć, że zaprzyjaźnił się z Putinem czy zbudował z nim jakieś osobiste relacje. Powodem nie jest chyba jego wyuczona i intencjonalna asertywność, tylko głębokie wycofanie i brak naturalnej empatii". Kiedy czytałem ten opis, przypomniał mi się oczywiście długi stół, który oddzielał Putina na zdjęciach nie tylko od Emmanuela Macrona, ale też od własnych ministrów czy generałów. Jakby się bał, że ktoś go może czymś zarazić…

Na pewno mamy do czynienia z człowiekiem skrajnie nieufnym, ale też zdolnym do podjęcia ogromnego ryzyka (przecież nie pierwszy raz gra *va banque*) i do działań przemocowych. Powtarzam: napędza go wola wypełnienia historycznej misji – przez siebie i przez kraj, który po tylu latach zaczął już ze sobą utożsamiać.

Nie jest tak, że ta historyczna misja od tygodnia zamienia się w katastrofę?

To się jeszcze okaże. Na razie mamy do czynienia z sytuacją *lose-lose*. Na wojnie tracą wszyscy, łącznie z Ukrainą i z Zachodem.

Wydaje się jednak, że gdzieś popełnił błąd.

Oczywiście. Przede wszystkim nie doszacował Zachodu. Nie zrozumiał, że jest granica, której przekroczenie zamiast osłabić, buduje siłę wspólnoty wolnych państw. Dziś Zachód wie, że gra o najwyższą stawkę, wyższą nawet niż niepodległość Ukrainy.

Zachód się zmęczy, ale nie będzie już powrotu do polityki business as usual, skoro się okazało, że **Putin to zbrodniarz.** Zwłaszcza że grozi on nie tylko Ukrainie.

Zaślepiony i pozbawiony informacji o zmieniającej się rzeczywistości Putin nie dostrzegł także, że sami Ukraińcy przeszli długą drogę, zarówno od 2004 r., kiedy wydarzyła się Pomarańczowa Rewolucja, jak i od 2014, kiedy najechał Krym i rozpoczął trwającą już ósmy rok wojnę. Przez wszystkie te lata Ukraina bardzo się zmieniła. Własna tożsamość i wola odrębności są w niej nieporównanie wyższe niż kiedykolwiek, podobnie jak poczucie, że obywatele kraju – i to wszystko jedno, z zachodniej czy ze wschodniej części – mają prawo do wyboru własnej drogi. Gdyby Putin był w stanie zauważyć, że to się zaczęło już na Majdanie, kiedy Ukraińcy nie zgodzili się na sfałszowane wybory i kandydata, który nie dość, że fałszuje, to jeszcze korzysta ze wsparcia obcego państwa; gdyby zauważył reakcję na wycofanie się Wiktora Janukowycza z umowy stowarzyszeniowej z UE, co uruchomiło energię społecznego protestu – może by zrozumiał, że ma do czynienia z innym krajem, niezależnie od faktycznie niepokojącego poziomu korupcji i uwikłań miejscowych oligarchów.

Patrzył na tłum na Majdanie i nie widział?

Był przekonany, że to efekt amerykańskiego spisku, podobnie jak inne tzw. kolorowe rewolucje, dokonujące się w krajach poradzieckich. Co oczywiście utwierdzało go w niechęci do Zachodu.

Drugi błąd Putina polega więc na niedoszacowaniu Ukraińców. Wyobrażał sobie, że rosyjscy żołnierze przyjmowani będą może z niechęcią, ale równocześnie z biernością, a nie z powszechnym oporem.

A trzeci błąd to opaczne widzenie sytuacji wewnątrz Rosji.

Wewnątrz Rosji? W jakim sensie?

Uważał, że kolejny raz zmobilizuje społeczeństwo i utrwali swoją władzę na bazie mentalności oblężonej twierdzy. Otóż przeliczył się. Sankcje Zachodu oznaczają przecież dla wielu członków wierchuszki utratę gwarancji wygodnego życia w przyszłości, dla siebie i swoich dzieci, umieszczanych zresztą najchętniej w europejskich stolicach i kurortach.

Rozumiem, że mówi Pani raczej o oligarchach niż o ludziach, podobnie jak Putin, wywodzących się z dawnych sowieckich służb.

Być może niektórzy członkowie elity dzielą to putinowskie opętanie ideą odbudowy potęgi dawnego imperium, ale duża część kieruje się jednak własną wygodą i postrzega rozwój wydarzeń czysto pragmatycznie. Oni wiedzą, że brną ku zgubie, tylko nie mają jak tego wyrazić.

Ale równie ważne są reakcje społeczeństwa. Nawet jeśli jest ono obiektem brutalnej propagandy i podziela niechęć władcy do Zachodu i USA, to przecież nie uważa, że należy w imię tej niechęci wszczynać wojnę. O tym rzadko się w Polsce mówi, ale rosyjskie społeczeństwo jest przesiąknięte strachem przed wojną i pamięcią pokoleniową o jej koszmarze. Straszliwe rany po doświadczeniu lat 1941-45 nie w pełni wygoiła wizja, że oni zawsze byli tymi dobrymi, którzy zbawili świat od faszystów.

Ich propaganda mówi, że teraz też prowadzą operację „denazyfikacyjną".

Ale mówi właśnie o „operacji", operacji specjalnej. Nie o wojnie, w której Rosjanie są agresorami. Nawet ta ich propaganda nie potrafi stworzyć narracji, w której kraj broni się przed napaścią.

Dodajmy do tego pogarszające się warunki życia. I opresyjność zwiększającą się od lat, a w ostatnich dniach wręcz z godziny na godzinę. Zużycie się systemu i zużycie się lidera – w końcu ileż można oglądać tego samego, coraz bardziej się starzejącego prezydenta. Coraz więcej ludzi to widzi, choć ciągle większość nie znajduje w sobie energii do zmiany. Niemniej atak na Ukrainę stwarza nową sytuację, bo jest zabójczy dla etosu „Rosjan, którzy przynieśli pokój całej Europie".

Poruszyły mnie Pani słowa o rosyjskim społeczeństwie jako ofierze wojny. Przecież zwycięstwo

w 1945 r. to zawsze był element mitu o rosyjskiej sile.

Tu się łączą dwie rzeczy. Mit założycielski wielkiej Rosji (wówczas pod szyldem ZSRR): przekonanie, że byli zwycięzcami i zbawcami świata, ale w połączeniu ze świadomością, że stało się to wielkim wysiłkiem i kosztem ogromnych ofiar. Pamięć, jak koszmarna była to wojna, w jak strasznych warunkach walczono i jak wielu ludzi zginęło, jest żywa. Wojna zdewastowała życie kilku pokoleń. Powtórzę jednak: wtedy były podstawy, by wierzyć, że była to wojna o pokój dla świata. A te ogromne ofiary dawały Rosji poczucie wyższości moralnej, które dziś – kiedy sama jest agresorem – staje się coraz bardziej nieadekwatne.

A rosyjski imperializm? Pani jako ambasadorka Rzeczypospolitej chodziła po kremlowskich korytarzach, widziała ten wystrój, złoto, mundury…

Sześć lat temu to był jednak inny kraj. Autorytarny wprawdzie, ale nie aż tak zamordystyczny.

Tak, mamy do czynienia z państwem o historii i mentalności imperialnej, o imperialnym DNA, imperialnym stosunku do sąsiadów i własnego społeczeństwa – ale obudowanym w zupełnie inne mity. Ten rosyjski sen o potędze, oprócz przekonania o zwycięstwie w wielkiej wojnie ojczyźnianej, ma swoje podłoże w wielkości kraju, w poczuciu odrębności zarówno w stosunku do Europy, jak i Azji, oraz w kosmicznych podbojach. Tylko że to wszystko jest połączone z czymś bardzo ciemnym: głębokim kompleksem, poczuciem, że w Rosji wszystko jest gorsze, władza traktuje poddanych z buta, a los człowieka to znój. Dodajmy do tego nigdy tak naprawdę nierozliczone zbrodnie z czasów komunistycznych, nie tylko wobec krajów Europy Środkowej i Wschodniej, ale przede wszystkim na własnym narodzie. Stalinizm był czasem ludobójstwa Rosjan na Rosjanach. W tym kraju każdy jest potomkiem sprawcy albo ofiary, a najczęściej potomkiem i ofiary, i sprawcy. Obecna mitologia Kremla próbuje to wszystko przykryć, ale także dlatego efektem jest horror dzisiejszej wojny.

Przekonanie o własnej potędze i kompleks niższości, a do tego przeżyta osobiście przez osamotnionego kagiebistę w NRD trauma rozpadu imperium – to wszystko znów kazało mi pomyśleć o osobowości Putina. Ale kiedy Pani mówi o imperialnym DNA, to czuję, że osoba przywódcy jest drugorzędna i że każdy kolejny następca prędzej czy później powieli ten schemat.

Może w związku z tym DNA jest złym słowem. Nie da się zaprzeczyć głębokiemu dziedzictwu, ale przecież historia żadnego narodu nie jest deterministyczna. Zmiany rzadko zachodzą nagle, ale z drugiej strony tak głęboki kryzys, jaki przeżywamy obecnie, sprzyja zmianom. Kiedy się spadnie na dno – a Rosja właśnie spada – łatwiej zacząć od nowa.

Odwiedzając rosyjskie miasta, ma się poczucie, że westernizacja postępuje. Że młode pokolenia Rosjan aspirują do takiego życia jak nasze.

To ważne. Mówimy o Putinie jako reinkarnacji Stalina, ale społeczeństwo za tym nie idzie. Rosjanie jeżdżą na Zachód, edukują się, szukają kontaktów, chcą komfortu, nie chcą cierpieć za ojczyznę, a już kompletnie nie rozumieją, dlaczego to cierpienie miałoby się wyrażać w mordowaniu Ukraińców.

Tylko czy rosyjskie społeczeństwo wie, co się dzieje w Ukrainie?

ADRIAN GRYCUK / WIKIPEDIA.ORG

KATARZYNA PEŁCZYŃSKA-NAŁĘCZ jest politolożką i socjolożką. Była wiceministrem spraw zagranicznych (2012-14) i ambasadorem RP w Moskwie (2014-16), wcześniej pracowała m.in. w Ośrodku Studiów Wschodnich. Obecnie członkini zarządu think tanku Instytut Strategie 2050, związanego z ruchem Polska 2050.

Oczywiście mamy do czynienia z blokadą informacji niespotykaną nawet jak na tamtejsze standardy. Z zakazem używania słowa „wojna". Z nakazem powielania wyłącznie oficjalnych przekazów. Trudno powiedzieć, co ludzie rozumieją. Myślę, że część faktycznie wierzy, że w Ukrainie są niebezpieczni naziści sterowani przez Amerykanów. Informacje o atakach na obiekty cywilne i o ofiarach wśród ukraińskich cywilów do tej części nie docierają. Żeby zrozumieć, co się dzieje, Rosjanin musi się naprawdę natrudzić, samemu szukać przez portale społecznościowe albo zagraniczne media.

Ale z każdym kolejnym dniem będzie przybywała liczba tych, którzy czują, że coś jest nie tak. Wiemy, że Rosja nie chce sprowadzać ciał zabitych żołnierzy, ale wieści o własnych stratach zaczynają docierać. Z kimś urwała się łączność. Ktoś dostał się do niewoli, a Ukraińcy zadbali, by poinformować o tym jego bliskich. W dodatku jeszcze chodzi o żołnierzy poborowych, którzy mogą być wysłani na wojnę wyłącznie po ogłoszeniu powszechnej mobilizacji.

Skoro część elity władzy jest przerażona, czy może wśród niej zrodzić się myśl o obaleniu Putina?

Może. Może nią powodować lęk o swoje interesy i lęk przed nim. Ale może nią też powodować lęk przed zmianą władzy i utratą – nawet znikomej – kontroli. Miotając się wśród tych strachów, żywiąc wzajemną nieufność, którą z pewnością Putin podsyca, nie będzie jej łatwo. Z pewnością nie budowałabym naszych nadziei na takim scenariuszu.

Strategicznym celem Putina, wyłożonym w grudniu 2021 r., gdy postawił ultimatum zachodniemu światu, była zmiana globalnego układu sił. Chodziło *de facto* o nową Jałtę, uznanie strefy wpływów Moskwy i jej współdecydowanie o sprawach bezpieczeństwa w naszym regionie: o gwarancje, że NATO się nie rozszerzy i nie wzmocni swojej obecności militarnej na wschodniej flance. O co chodzi teraz?

O to samo. Ukraina ma być krajem podległym, gdzie u władzy są ludzie lojalni wobec Putina. Trzeba odzyskać to, co zostało utracone po rozpadzie ZSRR. Mieć co najmniej równoważny głos w zestawieniu z głosem USA. ↦

Przecież to jest nie do zrealizowania.

Tak, ale problem w tym, że Putin nie ma odwrotu. Nie może powiedzieć: wycofujemy się, bo nasze cele zostały zrealizowane, a przyznanie, że nie zostały zrealizowane, oznaczałoby początek końca jego władzy. Położył na szali los swój i swojego kraju, i niestety musi dziś iść dalej.

Więc co teraz?

Scenariuszy jest wiele. Myślę, że Kijów jest dla niego symbolem: że będzie chciał go zdobyć, żeby pokazać, że coś jednak osiągnął. Tylko ile to potrwa? Kilka dni? Kilka tygodni? Trudno odpowiedzialnie szacować. No i z pewnością Rosjanie nie mają żadnego pomysłu na okupację.

Nie mają marionetkowego rządu Ukrainy?

To akurat najprostsze: znaleźć kilku zdrajców i im zapłacić. Tylko że ten „rząd" nigdy nie będzie miał poparcia społeczeństwa, a dotychczasowa administracja nie będzie z nim współpracować. Zza każdego płotu będą nań leciały koktajle Mołotowa. Będzie partyzantka i paraliż całego kraju. W Ukrainie nie da się przejąć władzy, można ją jedynie okupować, ale to oznacza gigantyczne koszty osobowe, bałagan i nędzę. Oczywiście katastrofę Ukrainy, ale także Rosji.

A Zachód wytrwa w nieprzejednaniu? Te setki tysięcy ludzi, które demonstrują dziś na ulicach europejskich miast poparcie dla ukraińskiej niepodległości, nie zmęczą się kosztami kryzysu? Nie będą chciały, żeby ich przywódcy jakoś dogadali się z Putinem? My w Polsce mamy silną, historycznie zakorzenioną motywację, ale jesteśmy w tym raczej wyjątkowi.

W ciągu minionego tygodnia UE zrobiła rzeczy, które zawsze wydawały się niemożliwe, choć były potrzebne. Niemcy wyrwały się z oparów biznesowo-pacyfistycznego przekonania, że porządek na świecie można zaprowadzać metodą robienia interesów. Unijni przywódcy mają pełne zrozumienie zagrożenia ze strony Rosji. Myślą i działają adekwatnie. I są gotowi płacić koszty kryzysu. Nawet zadeklarowany został wspólny fundusz na zakup uzbrojenia dla Ukrainy.

Powtarzam pytanie: czy tak będzie za parę miesięcy? Także w Polsce może się pojawić zmęczenie i frustracja związana z kosztami obecności tak pięknie dziś witanych uchodźców.

Zmęczenie będzie, bo trud jest zawsze męczący. Ale nie będzie już powrotu polityki *business as usual*, skoro się okazało, że Putin to zbrodniarz. Zwłaszcza że on grozi nie tylko Ukrainie: Szwedom już powiedział, że zabierze im Gotlandię, a Finom, że użyje militarnego argumentu, jeśli zechcą wejść do NATO.

Motywacją spajającą wspólnotę jest strach przed Putinem?

I przekonanie, że o własne przetrwanie musimy zawalczyć innymi niż dotychczas środkami.

Naturalnym elementem polityki jest przecież konstruowanie kompromisów. Umożliwienie także Putinowi wyjścia z twarzą.

Teraz? Po tym, co zrobił? Oznaczałoby to autoryzowanie jego zbrodni.

Oczywiście nie wykluczam wkroczenia dyplomacji tam, gdzie będzie chodziło o zmniejszenie liczby ofiar, np. o umożliwienie korytarzy humanitarnych. Ale to nie doprowadzi do zniesienia sankcji albo uznania, że pół Ukrainy może być rosyjskie.

Co czeka Ukrainę w najbliższych dniach?

Wojna. Dodam, że to słowo nie ma w sobie nic romantycznego. Wiąże się z cierpieniem i śmiercią.

Znikąd nadziei?

Światełko widzę w tym, że Rosjanie wychodzą na ulice. I w tym, że świat zachodni wreszcie dostrzegł istnienie Ukrainy jako europejskiego kraju i Ukraińców jako Europejczyków. Tydzień temu większość obywateli UE myślała o Ukrainie jako o skorumpowanym kraju poradzieckim, dziś to ojczyzna bohaterów walczących o wolność, a także o nasze bezpieczeństwo i nasze wspólne wartości.

Straszna jest cena tej europejskiej pobudki.

Straszna. Ale może doprowadzić do historycznej zmiany.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ OKOŃSKI

Rozmowę przeprowadzono 2 marca

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP W NAJBLIŻSZYM NUMERZE „TYGODNIKA" ZNAJDĄ PAŃSTWO SPECJALNY DODATEK

90. rocznica urodzin Bronisława Geremka

- Prof. TOMASZ WIŚLICZ przedstawi jego portret jako historyka, pełnego pasji mediewisty, do dziś cenionego w środowiskach naukowych całej Europy.
- ANDRZEJ BRZEZIECKI opowie o jego karierze politycznej – od opozycjonisty, przez współtwórcę III RP, do dyplomaty, któremu zawdzięczamy obecność Polski w Unii Europejskiej i NATO.
- Opublikujemy także wywiad udzielony przez Profesora Geremka ANDRZEJOWI FRISZKEMU w 2005 r., w którym opowiada o wyboistej drodze do Okrągłego Stołu.

Zapraszamy do lektury!

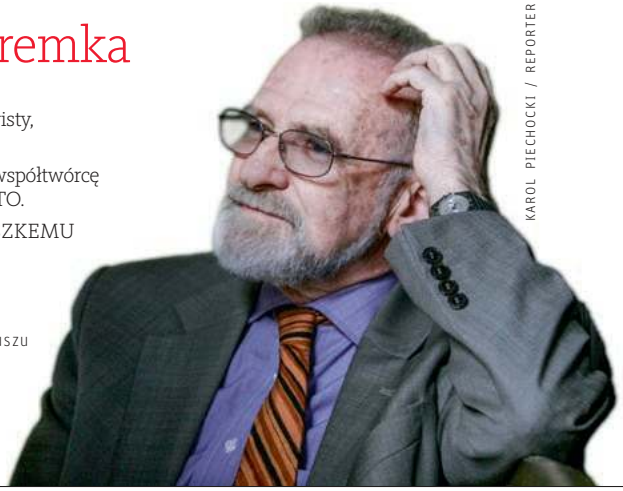

KAROL PIECHOCKI / REPORTER

PARTNERZY

SENAT RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

renew europe.

WSPÓŁWYDAWCA

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

DOFINANSOWANO Z FUNDUSZU POPIERANIA TWÓRCZOŚCI

zaiks sprzyjamy wyobraźni

„Tygodnik" z dodatkiem w sprzedaży od środy 16 marca

TOMASZ

Stawiszyński: *In extremis*

„To dobrze, że wojna jest taka straszna, w przeciwnym razie zanadto byśmy ją polubili" – powiedział kiedyś amerykański dowódca Robert E. Lee. Zawarta w tej wypowiedzi ambiwalencja – być może dla niektórych szokująca – wcale nie jest szczególnie oryginalna. Nieoczywista natura wojny opisywana jest w wielu tekstach kultury. Zarówno w zwykłych pamiętnikach żołnierzy, jak w wysublimowanych dziełach literackich, a także mniej lub bardziej udanych próbach ujęcia tego arcyludzkiego fenomenu w teoretyczne ramy. Od Heraklita po Ernsta Jüngera, od Clausewitza po generała Pattona, od Kanta po Barbarę Ehrenreich powtarza się ta osobliwa wojenna dwuznaczność: przemieszanie pożogi i wzniosłości, masakry i transcendencji, rozpaczy i ekstazy.

Skąd się ona bierze? Do dyspozycji mamy wyłącznie hipotezy. Być może bezpośrednia bliskość śmierci, obecność radykalnego zagrożenia – tak to w każdym razie opisują ci, którzy doświadczyli frontu i okopów – nadaje istnieniu nieporównywalną z niczym intensywność. Kiedy życie zależy tyleż od przypadku, ile od innych, którzy walczą obok – takie wartości, jak przyjaźń, lojalność czy wspólnota, nabierają innego niż dotychczas sensu.

To wcale nie jest romantyzowanie, ani też wynoszenie brutalnej przemocy do niezasłużenie wysokiej rangi. Bezbrzeżne i ślepe okrucieństwo wojny, stojący za nią fanatyzm, tragedia, cierpienie i zniszczenie, które ze sobą przynosi – słowem: to, co od 24 lutego obserwujemy we wszystkich możliwych mediach – ani na moment w tej perspektywie nie znikają, bynajmniej. Idzie tu raczej o empirycznie stwierdzalną prawidłowość: w sytuacjach skrajnych codzienność odsłania swoje niewidoczne oblicze. Kiedy tylko kontekst staje się ekstremalny, to, co znane i oswojone, zaczyna się jawić w zgoła odmiennych niż zazwyczaj barwach.

Wiedział o tym Zygmunt Freud, który z tego rodzaju inwersji uczynił specyficzną metodę rozumienia. Zamiast definiować to, co patologiczne, wychodząc od arbitralnie przyjętej normy, twórca psychoanalizy postępował dokładnie na odwrót. Drobiazgowo rozpatrywał społecznie akceptowalną konwencję z punktu widzenia tego, co zwichrowane, szalone, niemieszczące się w kanonach. To dopiero stamtąd – uważał – „normalność" można zobaczyć we właściwych proporcjach. To właśnie *in extremis* manifestuje się realność bez zaciemnień i zakrzywień poznawczych, bez racjonalizacji i stłumień charakterystycznych dla psycho(pato)logii życia codziennego. Przy czym nie jest to – a w każdym razie nie musi być – ani nic przyjemnego, ani wyłącznie konstruktywnego. Nie o te jakości tu jednak chodzi, lecz o konfrontację z tym, jak rzeczy faktycznie się jawią, kiedy już opadną z nich masywne złogi różnych naszych iluzji, fantazji i pragnień.

Doświadczamy dzisiaj czegoś podobnego z całą dewastującą potęgą. Inwazja na Ukrainę – makabryczny spektakl bezsensownej przemocy, destrukcji i żądzy dominacji agresora, ale też niebywałej siły, hartu ducha i odwagi napadniętych – demoluje nie tylko budynki i ciała, ale także nasz obraz świata. Wydobywa na powierzchnię coś, o czym dawno chyba zapomnieliśmy, coś, z czego co najwyżej ironicznie sobie podkpiwaliśmy w kolejnych facebookowych dysputach albo uczenie brzmiących dekonstrukcjach.

A mianowicie... tragizm. Tymczasową, kruchą, w każdej chwili podatną na zniszczenie naturę wartości, które wielu z nas brało dotąd za daną raz na zawsze oczywistość. Takich chociażby jak wolność, prawa człowieka, bezpieczeństwo czy demokracja.

Ale to przecież nie wszystko. Przyglądając się doniesieniom z Ukrainy, podziwiając dzielność zwykłych ludzi – robotników, nauczycieli, lekarzy, sklepikarzy, a także pewnego niegdysiejszego komika – widzimy, najwyraźniej jak to tylko możliwe, głupotę i fałsz naszych dotychczasowych hierarchii. Naszych stereotypów, utrwalonych przekonań, obiegowych mądrości.

Wojna, modelowy przykład sytuacji *in extremis*, ujawnia po prostu inny porządek świata. Każe zrewidować to, co ważne, a co nieważne; co warte wysiłku i zachodu, a co całkiem niewarte; co rozumne, a co całkowicie rozumności się sprzeciwia.

Lista tych rewizji jest długa i u każdego wygląda zapewne inaczej. Fundamentalnym pytaniem, a raczej fundamentalnym zadaniem – dla każdego z nas, bez wyjątku – pozostaje jednak utrzymanie tej perspektywy także wtedy, kiedy wojna się wreszcie skończy. Niedopuszczenie do tego, żebyśmy o tym, co nam odsłoniła, zapomnieli. Jest to być może jedyna szansa, żeby kolejne wojny już nie wybuchały.

Cóż, skoro od niepamiętnych czasów wciąż o tym na nowo zapominamy – a inwazja na Ukrainę jest tego, niestety, wymowną ilustracją. ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Chełmie, I Wydział Cywilny, pod sygnaturą I Ns 694/21 toczy się postępowanie z wniosku Renaty Kalinowskiej Jonatana Kalinowskiego z udziałem Andrzeja Gilewskiego, Jerzego Kawiaka, Gminy Wierzbica, Bożeny Gilewskiej, Beaty Kawiak o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie prawa własności nieruchomości gruntowej stanowiącej działkę o numerze ewidencyjnym 246, o powierzchni 0,64 ha, położonej w miejscowości Chylin, województwo lubelskie, powiat chełmski, jednostka ewidencyjna 060312_2, Wierzbica, obręb ewidencyjny 060312_2.0003, Chylin, dla której nie została założona księga wieczysta.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili i udowodnili swoje prawa do przedmiotowej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

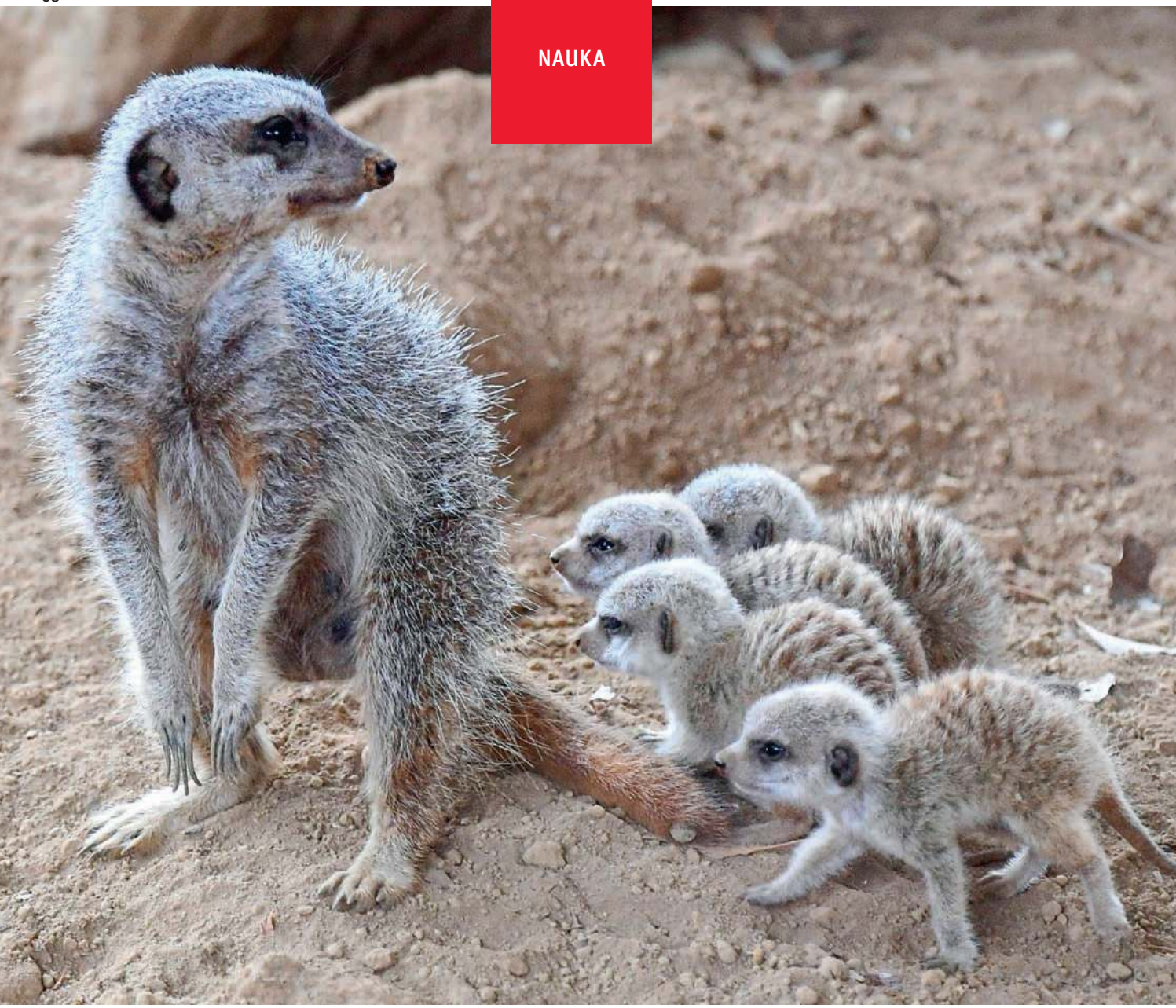

LEPIEJ MIEĆ CÓRKI NIŻ WNUKI

TIM CLUTTON-BROCK, EKOLOG BEHAWIORALNY:

Surykatki nie potrafią rozmnażać się bez pomocników. Samice podległe muszą czekać z rozrodem na to, aż umrze samica dominująca. Czyli jest matka i cała masa córek, które trzymają kciuki za to, by coś zeżarło ich mamę.

THE ASAHI SHIMBUN / GETTY IMAGES

Miesięczne surykatki wraz z matką. Ogród zoologiczny w Chiba. Japonia, czerwiec 2017 r.

MARIA HAWRANEK: Badał Pan różne strategie rozrodcze zwierząt: zarówno te oparte na konkurencji, jak i bliskiej współpracy.

TIM CLUTTON-BROCK: Jeśli chcesz zrozumieć, jak działa populacja zwierząt, musisz się dowiedzieć, kto rozmnaża się z kim i jakie czynniki wpływają na sukces reprodukcyjny. Przez pierwszą połowę mojej kariery naukowej, jakieś 25-30 lat, skupiałem się na gatunkach poligamicznych, czyli takich, gdzie samce intensywnie konkurują o haremy samic. Jest tak choćby u fok, u których z tego powodu wyewoluowały wielkie zęby, czy u jeleni szlachetnych, które mają potężne poroże. Badałem też inne ssaki, trochę ptaków i owadów. Później zapragnąłem odmiany i kolejne 25 lat poświęciłem na badanie gatunków wspólnie wychowujących potomstwo. To dość ekstremalny i nietypowy system. Stawia przed nami pytanie: dlaczego, do licha, osobniki spędzają całe życie na pomaganiu innym w wychowaniu ich potomstwa, zamiast samemu się rozmnażać?

Jak taki układ z reguły wygląda?

Zwykle jedna lub kilka samic ma dzieci, a pozostali członkowie stada dbają o nie i pomagają je wychować. Jest to niezwykle ciekawe, bo dobór naturalny, czyli proces, który napędza ewolucję, faworyzuje te osobniki, które w swoim życiu wydają na świat jak największą liczbę potomstwa. Wydawałoby się, że dobór naturalny wypleni taką strategię jak wspólny wychów i postawi na te osobniki, które są bardziej samolubne i będą rozmnażać się na własną rękę.

Jakie zwierzęta stosują strategię wspólnego wychowu?

Najbardziej zaawansowane pod tym względem są owady społeczne – mrówki, osy, pszczoły. Zwykle każda kolonia ma królową i mnóstwo innych osobników, które za nią wychowują młode. Robotnice na ogół są bezpłodne – nie mają możliwości reprodukcji. Wśród kręgowców strategia wspólnego wychowu nie ma aż tak ekstremalnej formy – osobniki pomagające wychować cudze młode zachowują możliwości rozrodcze. Wśród ptaków i ssaków częste są takie grupy, w których jedna samica się rozmnaża, na ogół z tym samym samcem, więc jej potomstwo jest z sobą blisko spokrewnione – i to ono pomaga w wychowaniu kolejnych dzieci.

Które ssaki kooperują w ten sposób?

Bardzo ciekawe są golce piaskowe, maleńkie, żyjące pod ziemią gryzonie z Afryki Wschodniej. Czasem w jednej kolonii jest ich nawet setka. Kłopot z nimi polega na tym, że niemal nigdy nie wychodzą na ziemię, żyją w korytarzach wydrążonych na pustyni, więc trudno zaobserwować, co się w tej kolonii dzieje. Inny ssak, który ma zaawansowany system wspólnego wychowu, to surykatka szara. Żyje na pustyniach, gdzie jest stosunkowo niewiele roślinności, szybko przyzwyczaja się do obecności obserwatorów, o czym przekonaliśmy się jakieś 25 lat temu. Okazało się, że możemy je oswoić z naszą obecnością, dziś możemy się wśród nich przechadzać, a jeśli usiądziesz, mogą na ciebie wejść. To daje doskonałe możliwości obserwacji tego, co kto komu w tej grupie robi, jakie wyświadcza przysługi. Możemy mierzyć aktywność pomocników w wychowaniu młodych, można je ważyć. Na Kalahari pracuję z golcami piaskowymi i surykatkami, ale z tymi drugimi znacznie dłużej. Mamy tam od 10 do 15 oswojonych grup. Kiedy młode po 3-4 tygodniach pierwszy raz w życiu wychodzą z nory na powierzchnię, widzą dorosłe osobniki, które na nas, ludzi, nie reagują, więc i one nie zwracają na nas uwagi.

Jest Pan pewien, że ludzka obecność nic w ich zachowaniu nie zmienia?

Tak. One naprawdę się nami nie interesują. Często mówię, że zachowują się jak ktoś na przyjęciu, kto niby z tobą rozmawia przy drinku, ale tak naprawdę cały czas patrzy za twoje plecy, by zobaczyć, kto przychodzi. Wybrałem surykatki, bo dzikie psy, które są fascynujące i też często współpracują przy wychowaniu potomstwa, mają terytoria po kilkaset kilometrów kwadratowych i trudno byłoby je badać. Surykatki są do tego idealne, możemy zebrać bardzo dokładne dane o wielkiej liczbie osobników. Możemy je ważyć, dowiedzieć się, ile zjadły pożywienia danego dnia, możemy ciężarnym samicom robić USG bez podawania środka usypiającego – wystarczy zwabić je kawałkami ugotowanego na twardo jajka. No i surykatki cię nie zjedzą.

W każdej grupie surykatek jest jedna dominująca samica. Czy to prawda, że jeśli inna zajdzie w ciążę, wygania ją, co skutkuje poronieniem, a potem niedoszła mama, której uruchomiła się laktacja, karmi młode tamtej?

Dominująca samica wypędza wszystkie swoje córki, zanim skończą 3-4, a już najpóźniej 5 lat. Ważą wtedy już tyle co ona i są potencjalnymi rywalkami. Okazjonalnie zdarza się, że zanim zostaną wypędzone, zajdą w ciążę z samcem z innej grupy – bo ten w ich własnej to najczęściej ich ojciec, a samice w każdej grupie ssaków unikają stosunków z ojcami i braćmi. Więc jeśli już są w ciąży, dominująca samica zaczyna się zachowywać wobec nich agresywnie. Ciężarne wykazują relatywnie duży współczynnik poronień. Jeśli jednak donoszą ciążę, dominująca samica zabije ich młode.

Babcia zabija wnuki?

Tak.

Okrutne.

Natura. W interesie dominującej samicy jest to, by grupa wychowywała jej młode, a nie dzieci jej córek.

Przecież dzielą te same geny.

A jednak córka posiada połowę twoich genów, a wnuczka – zaledwie jedną czwartą. Więc twój genetyczny interes polega na tym, by mieć dzieci, nie wnuki. Jako surykatka nie chciałabyś, by dzieci twoich córek konkurowały z twoimi dziećmi. Grupa może wychować tylko określoną liczbę młodych. Lepiej, żeby miały połowę wspólnych genów, prawda?

Co się dzieje z wygnanymi samicami?

Albo tworzą nową grupę wraz z samcami pochodzącymi z innych grup, albo umierają. Nie mogą dołączyć do grupy już istniejącej – zostałyby zabite lub przepędzone. Kiedy stworzą nową grupę, z czasem jedna samica staje się dominująca i znów przepędza pozostałe.

Kto pomaga rodzącym? Samce, samice, krewni, wszyscy?

U surykatek są to i samce, i samice, potomstwo, siostrzenice i siostrzeńcy, wszyscy mniej więcej w podobnym ↦

↦ zakresie. Należy pamiętać, że w grupie surykatek nie znajdziemy osobników niespokrewnionych – wszyscy należą do rodziny, poza dominującym samcem. W stadzie jest zwykle 20-25 osobników. Kiedy samica dominująca umiera, jej pozycję zajmuje najcięższa z pozostałych samic, z reguły jest to jej najstarsza córka, ale może być też siostra lub siostrzenica. Z kolei samce migrują – ojciec zawsze jest przybyszem, niespokrewnionym z samicą. Zdarza się, że w grupie jest więcej niż jeden samiec imigrant, bo na przykład kilku braci przyszło razem. Z czasem jeden z nich przejmuje dowodzenie i wygania resztę. Wygnane samce tworzą z wygnanymi samicami nową grupę, dołączają do jakiejś już istniejącej lub giną.

Jak samica wybiera samca imigranta na ojca?

Nie sądzę, by samice miały tu coś do gadania. Raczej samiec znajduje albo taką grupę, w której aktualnie nie ma samca, albo taką, gdzie jest w stanie zająć jego pozycję. Samice muszą wytrzymać z tym, kto przybędzie.

Dobrze rozumiem, że większość samic nie zostanie matkami?

Ok. 15 proc. samic będzie mogła się rozmnożyć. Ale te, które zostaną matkami, mogą mieć liczne potomstwo. Nasza rekordzistka wychowała 80 młodych.

Na czym polega pomoc pomocników?

Robią mnóstwo rzeczy: bronią terytorium przed sąsiadami, stoją na straży w trakcie żerowania, pomagają naprawiać nory, które zapewniają bezpieczeństwo na ich terytorium. Jest ono zwykle dość rozległe, jedna grupa zajmuje od 3 do 5 kilometrów kwadratowych. Kiedy dominująca samica urodzi, pomocnicy stają się nianiami – kiedy karmiąca mama wyrusza na żer, jedna lub dwie surykatki zostają przez cały dzień w norze, pilnując jej młodych przed drapieżnikami, i cały dzień poszczą. Pracują na zmiany. Kiedy młode wychodzą z nory w wieku 3-4 tygodni i zaczynają przemieszczać się z grupą, pomocnicy oddają im od 30 do 40 proc. znalezionego pożywienia: owadów, małych kręgowców.

Suche, jałowe tereny sprzyjają rozwojowi tej strategii rozrodczej?

Surykatki są idealne do badań strategii rozrodczych. Łatwo je ważyć, ciężarnym samicom można robi USG bez usypiania ich – wystarczy zwabić je kawałkiem ugotowanego jajka. **No i surykatki cię nie zjedzą.**

Z pewnością wśród ssaków i ptaków jest związek między współpracą w wychowaniu a surowym środowiskiem lub dietą, która wymaga upolowania trudnej do uchwycenia ofiary, rozproszonej na dużym terenie. Czyli tam, gdzie pożywienia jest stosunkowo niewiele lub bardzo rozproszone i trudne do zebrania, zwykle korzyści odnosi dominująca samica, a reszta nie może się rozmnażać. Kiedy jedzenie jest dostępne, dominująca samica pozwala innym samicom ze stada się rozmnażać.

A jak do tego mają się owady?

Ich strategie wyewoluowały bardzo dawno, więc czynników, które na nie wpływają, jest z pewnością więcej. Owady ewoluowały w sposób, który pozwala im zajmować ogromne przestrzenie. Współpraca z pewnością im w tym pomogła – potrafią korzystać z zasobów na skalę niemożliwą do osiągnięcia na własną rękę. Nie mogę podać jednej recepty, jednej przyczyny dla każdego zwierzęcia, ale z pewnością jest związek między wspólnym wychowem a pustyniami w przypadku ssaków i ptaków – dość duży procent kooperujących gatunków żyje na takich terenach. Choć są wyjątki.

Przepraszam, że zerkam na telefon – moja córka właśnie jedzie na cesarkę.

Naprawdę? Gratulacje! Może dokończymy innym razem?

Nie, ja nie muszę jechać. Dziękuję. Rozmawiajmy dalej.

Jakie korzyści odnosi grupa dzięki tej strategii? Jest bezpieczniejsza?

Powody są pewnie różne. Surykatki po prostu nie mogą efektywnie się rozmnażać bez pomocników – pożywienia jest niewiele, w norze dzieci przebywają do miesiąca, a samica musi je zostawić za dnia, by się pożywić. Potrzebuje opiekunów. Jeśli nie miałaby niań, zostawiałaby potomstwo bez opieki, narażając je przez cały dzień na pożarcie.

Ale wykarmienie i bezpieczeństwo młodych to wyzwania stojące przed każdym rodzicem. Ptaki zostawiają młode w gniazdach.

Jednak stosunkowo niewiele gatunków ptaków rozmnaża się na ziemi, są wysoko, w obszarach niedostępnych, schronione. I zwykle jeden z rodziców pozostaje w okolicy w czasie żerowania. Surykatki muszą wędrować kilometrami, by znaleźć pożywienie. Gdyby tylko dwa osobniki się zamieniały, musiałyby pościć co drugi dzień i nie dałyby rady przetrwać. A jeśli opiekunów jest wiele, mogą pościć np. raz na pięć dni i normalnie funkcjonować.

Wilki też wspólnie wychowują potomstwo, podobnie jak arktyczne lisy.

Wiele z rodziny psowatych, również afrykańskie likaony pstre. To z kolei są drapieżniki polujące na pożywienie rozproszone po ogromnej przestrzeni, które muszą przynieść z powrotem karmiącej mamie. Wśród roślinożernych ssaków praktycznie nie ma zwierząt kooperujących w ten sposób – nie ma takiej potrzeby, bo jedzenie jest dostępne. Biomasa mięsa jest stosunkowo niewielka w porównaniu do biomasy roślin i owoców – i mięso trzeba upolować.

Strategia wspólnego wychowu – jeśli weźmiemy pod uwagę wszystkie zwierzęta – jest dość rzadka. Muszą pojawić się bardzo szczególne okoliczności, by w jakimś gatunku pojawiło się to rozwiązanie.

Dlaczego pomocnicy się nie wyłamują i nie zaczynają rozmnażać?

Byłoby im trudno znaleźć teren, gdzie mogłyby to zrobić. Kalahari jest pokryte siecią terytoriów. Nie ma miejsca wolnego do rozrodu. Inaczej mówiąc: najlepszą szansą na rozród dla osobnika podległego jest pozostanie w grupie i czekanie na to, aż umrze samica dominująca. Czyli masz matkę i całą masę córek, które

trzymają kciuki za to, by coś zeżarło ich mamę. Dowiedzieliśmy się jeszcze czegoś bardzo ciekawego.

Proszę mówić.

Kiedy matka umiera, zwykle stery przejmuje najstarsza i najcięższa córka. Między córkami jest oczywiście konflikt. Jako najstarsza musisz czuwać, czy inne młodsze nie zaczynają zbyt szybko przybierać na wadze – bo jeśli będą większe niż ty, to one przejmą pozycję mamy po jej śmierci. Chcieliśmy się dowiedzieć, co zrobią najstarsze córki, gdy ich młodsze siostry będą szybko rosnąć. W tym celu dokarmialiśmy je jajkiem na twardo.

I co robiła najstarsza?

Rosła szybciej, mimo że jej nie dokarmialiśmy. Żerowała więcej, by mieć pewność, że nikt jej się nie wciśnie do kolejki. Tego mechanizmu nigdy wcześniej nie opisano wśród ssaków.

Czyli siostry nieustannie obserwują figurę pozostałych?

Starsze starają się nigdy nie być mniejsze od młodszych. Bo jak wypadną z kolejki, to już nigdy nie będą się rozmnażać.

My, ludzie, bardzo długo musimy opiekować się dziećmi. Istnieje tzw. hipoteza babci, która głosi, że kobiety przechodzą okres menopauzy – co jest bardzo rzadkim zjawiskiem w przyrodzie – by mogły zaopiekować się swoimi genami w kolejnym pokoleniu. To też forma kooperacji rozrodczej?

To zależy, jak zdefiniujesz wspólny wychów. W gatunkach, którym się przyglądaliśmy, pomocnikami są osobniki, które w większości nigdy w życiu się nie rozmnażają, a wśród owadów są do tego z zasady niezdolne. U ludzi sytuacja jest inna – możliwości rozrodcze kobiet ustają stosunkowo wcześnie – i dzieje się to z wielu powodów.

A jednak mówi się: potrzeba wioski, by wychować dziecko.

Oczywiście, i to powiedzenie słusznie wskazuje na to, że dla dziecka korzystnie jest być otoczonym społecznością. Jednak nie jest to konieczne. Kooperacja jest bardzo istotna dla ludzi, a jednak możemy wychować dzieci na własną rękę. Surykatki nie. Mrówki też nie.

UNIVERSITY OF CAMBRIDGE

TIM CLUTTON-BROCK (ur. 1946) jest profesorem zoologii Uniwersytetu Cambridge. Prowadził badania m.in. nad zachowaniami jeleni szlachetnych, owiec soay występujących w Szkocji i surykatek z Kalahari. Jeden z założycieli projektu Kalahari Meerkat Project, współtwórca serialu dokumentalnego „Meerkat Manor". Laureat Medalu Darwina przyznawanego przez Royal Society.

Przepraszam, muszę znów zerknąć na telefon. Moja żona właśnie poszła do córki na salę operacyjną.

Współpraca rozrodcza może mieć naprawdę różne oblicza – wśród owadów społecznych pomocnikami są samice, bo samce nie żyją zbyt długo po spełnieniu swojej misji rozrodczej. Są gatunki ptaków, gdzie pomocnikami są tylko samce. Zajmują się karmieniem samicy z młodymi i w ten sposób zwiększają swoje szanse na to, że następnym razem będzie ona spółkować z nimi – rywalizują o to, kto lepiej ją nakarmi. Wśród surykatek obie płcie pomagają, choć samice wykonują nieco więcej pracy niż samce, bo bardziej zależy im na utrzymaniu odpowiedniego rozmiaru grupy.

Jakie lekcje płyną z Pana wieloletniej obserwacji zwierząt?

Badam życie zwierząt, wiele z nich obserwowałem od narodzin do śmierci. To, co się wybija, to jak brutalne jest ich życie, jak trudne, jak inne od naszego. My robimy rzeczy dla osobników, z którymi nie jesteśmy spokrewnieni. Surykatki nie zachowują się jak dobry samarytanin. Są zwykle wrogie i agresywne wobec osobników niespokrewnionych. Poważna współpraca między zwierzętami zwykle dotyczy osobników spokrewnionych.

Społeczeństwa zwierząt nie zawierają umów. My umówiliśmy się, że nie będziemy zabijać sąsiadów. Ograniczamy zakres, w jakim używamy przemocy wobec innych osobników. Mamy dużo zasad na temat traktowania imigrantów, zakresu ich tolerancji i wsparcia. Funkcjonujemy w ramach systemu etycznego, który powstrzymuje brutalność żywą w społeczeństwach zwierzęcych. Etyka oczywiście nie zawsze działa, nie zawsze postępujemy zgodnie z jej zasadami, a nawet często je łamiemy, ale zwierzęta w ogóle nie mają takich społecznych kontraktów. Są o wiele bardziej samolubne i wrogie wobec obcych niż my. Ale lepiej mieć te kontrakty, nawet jeśli nie zawsze działają, niż nie mieć ich wcale.

Zbliża się katastrofa klimatyczna, która może doprowadzić do ograniczenia dostępnych zasobów. Myśli Pan, że taki scenariusz doprowadziłby do wzrostu współpracy?

Możemy zapytać, ile czasu upłynie, zanim kraje, które wykorzystują za dużo zasobów, opamiętają się i zrozumieją, że muszą się ograniczyć dla wspólnego, w tym własnego, dobra. Inaczej wszyscy będziemy cierpieć. Nazywamy to tragedią wspólnego pastwiska – kiedy to indywidualne zyski na krótką metę są w konflikcie z długofalowymi korzyściami dla całej grupy. Trudno przewidzieć, jak to się rozegra. Ciężko też stwierdzić, co się musi zdarzyć, zanim zrozumiemy, że musimy dzielić się zasobami na skalę światową, bo inaczej nastąpi katastrofa. Ile miast musi utonąć, zanim ludzie zrozumieją, że w interesie wszystkich jest ograniczenie zmian klimatu?

Przepraszam – to znowu moja żona. Urodziła się dziewczynka.

Gratulacje!

Dziękuję.

Ostatecznie kooperacja to jedyna szansa dla przyszłości ludzkiej egzystencji. Jednak trudno sprawić, by kraje weszły we współpracę. Politycy starają się co najwyżej dbać o własne kraje. Nie o świat.

© Rozmawiała MARIA HAWRANEK

SIEDEM SCEN Z ŻYCIA

Oksana Zabużko stworzyła powieści przetłumaczone na kilkanaście języków i wydane w wielkich nakładach. Zapisała w nich osobliwe doświadczenie kraju, który ciągle się zaczyna: Ukrainy.

WOJCIECH ENGELKING

Czytanie właśnie wydanej w Polsce „Planety Piołun" Oksany Zabużko w połowie lutego 2022 r. jest doświadczeniem nieporównywalnym z niczym. Teksty wybrane z ostatniej półtorej dekady jej twórczości wprowadzają w samo serce wielkiego tematu, jakim jest Ukraina.

Scena pierwsza: Josif Brodski

Jest kwiecień 1992 r., Uniwersytet Rutgersa w stanie New Jersey. Choć zimna wojna się skończyła, nie skończyły się zimnowojenne obyczaje zapraszania do USA pisarzy z bloku wschodniego, by opowiedzieli Amerykanom o „tej innej Europie". Przyjechawszy na konferencję takich właśnie literatów, Oksana Zabużko nie reprezentuje więc wyłącznie samej siebie: reprezentuje Ukrainę, od mniej niż roku – 24 sierpnia 1991 r. – niepodległą. I podobnie jak nowy kraj jest – jako podmiot prawa międzynarodowego – młody, tak ona wiekiem i doświadczeniem różni się od większości panelistów.

Zabużko ma wtedy 32 lata, na koncie dwa tomiki poezji (1985 i 1990), a także doktorat z filozofii obroniony w Kijowie; w poprzednim semestrze uczyła na Penn State University jako *visiting writer*. Polska delegacja to Czesław Miłosz, Adam Zagajewski, Stanisław Barańczak i Adam Michnik, z Rosjan zaś zjawił się nie kto inny, tylko Josif Brodski, drugi noblista w tym gronie. Zabużko poznała go rok wcześniej, podczas pierwszej wizyty w Stanach, na Harvardzie; otoczył ją wtedy, zagubioną w obcym kraju, opieką. Spotkanie w 1992 r. będzie już inne.

Nim jednak nastąpi, Zabużko spotyka się w hotelu z polską delegacją. Michnik rozlewa whisky, Miłosz czyta wiersze, ona zaś konwersuje z Zagajewskim. Wszystko zdaje się iść ku dobremu. Wspomina: „Siedzieliśmy z Zagajewskim jak przy ognisku, XX wiek dogorywał i nie warto było tego ognia podtrzymywać. Dym się przemieszczał, popiół ostatniego totalitarnego imperium osiadał na naszych głowach – urodzonych pod koniec historycznego dramatu (...)". Tak pisała o owej konferencji w 1993 r., w eseju „Lekcje Miłosza", w którym jednak nie wspomniała, co zdarzyło się następnego dnia.

W „Pożegnaniu z Imperium", pisanym między rokiem 1997 a 2019 i włączonym do „Planety Piołun", już ten dzień wspomina. Gdy na konferencji podeszła do Brodskiego, by się przywitać, i przypomniała, że już się poznali, odpowiedział: „A ja pani nie pamiętam. Ukraina: gdzie to jest?". (Wkrótce ogłosić miał wiersz „Na niepodległość Ukrainy", zwieńczony strofą: „Z Bogiem orły, kozacy, hetmani i gieroje, / Lecz kiedy umierać wam przyjdzie, hultaje i buhaje, / Będziecie rzęzić, czepiając się skraju materaca, / Te strofy Aleksandra, a nie brednie Tarasa").

Owa scena, w której Brodski w wielkoruski sposób skontrował optymistyczny nastrój poprzedniego wieczora, unosi się nad zebranymi w „Planecie Piołun" esejami – i nad pisarskim zadaniem, które Zabużko sobie w nich postawiła. Na początku swej drogi po prostu szczerze podziwiała spotkanych w New Jersey pisarzy z odchodzącego bloku wschodniego za to, że „unieśli swoją epokę jak atleta sztangę". Teraz jej pisarstwo również to czyni.

Scena druga: Bronisław Komorowski

Poszła w innym kierunku, niż tego pragnęła ona i jej rówieśnicy zaraz przed upadkiem żelaznej kurtyny. „To było pokolenie, które buntowało się przeciw ukraińskiej prowincjonalności (...). Chcieliśmy być intelektualistami europejskimi" – stwierdziła w „Ukraińskim palimpseście", wywiadzie rzece z Izą Chruślińską.

Nie znaczy to, że została intelektualistką prowincjonalną. Jeżeli jednak przez „europejskość" rozumiemy przezroczystość tego, z jakiego kraju dany intelektualista się wywodzi, bo zaczyna od spraw lokalnych tylko po to, by odbijały się w nich sprawy ogólnoludzkie, nie narodowe – to taka „europejskość" udziałem Zabużko się nie stała. Można powiedzieć, że pisarka postąpiła zgodnie z przykazaniem cytowanego przez nią w „Planecie Piołun" Tarasa Szewczenki: „historia mojego życia jest częścią historii mojej ojczyzny".

Można też, jak uczynił to Andrzej Mencwel w eseju „W stronę Nowej Ukrainy" z 2014 r., porównać program ↦

OKSANA ZABUŻKO (ur. 1960) jest ukraińską pisarką, poetką i eseistką. Uzyskała tytuł doktora filozofii na Uniwersytecie Kijowskim. Wykładała filologię ukraińską na uniwersytetach w Stanach Zjednoczonych. Na stałe mieszka w Kijowie.
Na zdjęciu podczas Festiwalu Conrada. Kraków, 22 października 2012 r.

GRAŻYNA MAKARA

↦ literacki Zabużko z tym, jaki w 1916 r. ogłosił Stefan Żeromski, pisząc o „polskim modelu twórczości". Ten ostatni, powiada Mencwel, „musiał pełnić zastępcze, nie artystyczne, funkcje – instytucji politycznej, myśli społecznej, organizacji edukacyjnej. Literatura europejska od tych zastępczych funkcji była wolna, gdyż pełniło je »należycie zorganizowane społeczeństwo«". (Adam Michnik nazywa Zabużko „ukraińską Lady Hamlet" – bo pod presją zostawia świat bibliotek, do którego przynależy, i żwawo rusza do naprawiania politycznej historii).

W eseju „Taras Szewczenko z perspektywy Majdanu" pisała: „proces ukraińskiego narodotwórstwa został przerwany na początku XX w. (...). Ukraińcy »wypadli« z historii po porażce walk 1918-1920". Powrócili do niej dopiero w 2014 r., na Majdanie. Rozwój pisarski Zabużko przypadł więc na czas, gdy Ukrainy właściwie nie było, bo wciąż się zaczynała.

Nie jest łatwo pojąć to ciągłe zaczynanie się. Oto bowiem druga scena z życia i pisarstwa Zabużko, teraz z maja 2014 r. W Europie już zaczęło robić się strasznie – Putin właśnie anektował Krym; wkrótce odbędą się wybory do unijnego parlamentu, w których dobre wyniki uzyskają prokremlowscy kandydaci. Pewna część kontynentu wciąż jednak tyleż dobrodusznie, co bezrefleksyjnie świętuje to, co pisarka świętowała w 1992 r. w New Jersey. Część owa – pod postacią Bronisława Komorowskiego na sympozjum z okazji 25-lecia polskich wolnych wyborów – dziwi się więc, co stało się z krajem za Bugiem. „Jaka szkoda, że Ukraina wybrała inną drogę niż Polska" – mówi Komorowski, a Zabużko jest wściekła. „O mało – pisze – nie popłakałam się nad tą dziecięco niewzruszoną wiarą polskich elit, że potwór nie wylezie spod łóżka, jeśli się dostatecznie mocno zamknie oczy".

Gdy chce się jej płakać – rzecz dzieje się w okolicach warszawskiej Starówki – jest już uznaną pisarką, wymienianą jako jedna z kandydatek do literackiego Nobla; daleko zostawiła za sobą 30-latkę, która czuła się onieśmielona w obecności Miłosza i Brodskiego. Stworzyła powieści przetłumaczone na kilkanaście języków, wydane w wielkich nakładach. Zapisała w nich właśnie to osobliwe doświadczenie: kraju, który się ciągle zaczyna.

Ukraina, która nigdy nie jest pełna, skończona – takiego jej postrzegania Zabużko musiała się nauczyć.

Ukraina nie jest już milczącym nośnikiem niekontrolowanych wydarzeń, lecz miejscem, gdzie rozgrywają się te, które wkrótce zatrzęsą globem; **„oś świata" wedle słów Wasyla Stusa.**

Scena trzecia: Ojciec

Urodzona w 1960 r. w Łucku, pochodzi z rodziny inteligenckiej; odebrała w niej „wykształcenie filologiczne znacznie lepsze – pisała w eseju „Monologi zamiast wywiadu" – niż mógł mi zaoferować w tamtych czasach (...) wydział filologii ukraińskiej czy dziennikarstwa". Jej ojciec, krytyk literacki i tłumacz, przekazał jej doświadczenie dziadka, który 22 stycznia 1919 r. stał na kijowskim placu św. Zofii i słuchał zjednoczeniowego przemówienia Petlury. Ojciec był za stalinizmu represjonowany; potem nastąpiła krótka przerwa i za Breżniewa prześladowania powróciły.

Na przełomie 1965 i 1966 r. KGB postanowiło wziąć się za miejscową niezsowietyzowaną inteligencję – Łuck był miastem, w którym, wspomina Zabużko, dało się poczuć ducha dawnej, mieszczańskiej Ukrainy. Gdy rodziców przyszłej pisarki wzywano na wielogodzinne przesłuchania, także ona odwiedziła miejscową siedzibę tajnych służb.

Taka jest scena trzecia: Oksana ma pięć lat. Gdy mama i tata długo nie wracają do domu, pod opiekę bierze ją kagiebista. Idą na spacer, kupuje jej cukierki, zabiera do swego miejsca pracy – daje ołówek i kartkę, niech porysuje. W pewnym momencie drzwi pokoju się otwierają, za progiem stoi jej przerażona mama.

Rodzice już wiedzą, że w Łucku nie mają przyszłości. Czy mają ją w Kijowie, do którego prędko się przenoszą, zamieniając wielkie mieszkanie na jednopokojową klitkę w chruszczowce? I tak, i nie. Władze skrzętnie pilnują, by ojciec Zabużko nie miał jakiegokolwiek kontaktu z tym, co kocha, czyli naukami humanistycznymi; karnie zatrudniają go w fabryce, mieszkanie poddają ciągłym rewizjom. Jednocześnie, powiada pisarka w „Ukraińskim palimpseście", ojciec się nie poddaje. „Inwestował we mnie, w przyszłość; dla mnie wygrał od władzy wszystko, co mógł". Pod koniec lat 70. Zabużko zaczyna to urzeczywistniać; idzie na studia, pisze pierwsze wiersze.

Ojciec nie doczekał jej sukcesu; umarł w roku 1983.

Scena czwarta: Czarnobyl

Archiwa raportów pogodowych podają, że w Kijowie było wtedy, w kwietniu 1986 r., ciepło – 23 stopnie, wiosna w pełni, nieuchronnie i radośnie przechodząca w lato. Pachniało wiśniami i morelami. W takiej atmosferze można sobie wyobrazić ożywczy deszcz, ale nie to, co zawisło nad placem Zwycięstwa. Wielka, czarna chmura, jakby przeniesiona z innego wymiaru i z innej pory roku. Z chmury spadł śnieg. To wspomnienie zostało Zabużko w pamięci. Jak twierdzi w „Planecie Piołun" – właśnie je by wskazała, gdyby ktoś ją poprosił, aby przypomniała sobie wszystkie, jakie tylko w życiu widziała, przypadki „nadludzkiego" piękna.

W kwietniowe popołudnie zgromadzeni na placu Zwycięstwa kijowianie, w tym początkująca (debiutowała rok wcześniej) pisarka, mogli się śniegiem zachwycać – po kilku minutach chmura się rozwiała i wróciła wiosna, jakby białych płatków nigdy w śródmieściu nie było – ponieważ nie wiedzieli, co go spowodowało. Tym czymś była zaś katastrofa, która minionej nocy wydarzyła się sto kilometrów na północ od Kijowa – w Czarnobylu.

Władze początkowo ją ukrywały (dopiero 27 kwietnia ewakuowano mieszkańców Prypeci, a 29 dnia tego miesiąca, gdy radioaktywna chmura dotarła nad kraje skandynawskie, o katastrofie poinformowały zachodnie media), wkrótce jednak ukrywanie nie było możliwe: każdego dnia na parapecie kijowskiego mieszkania Zabużko znajdowała kurhan z ciałek pszczół, po ulicach poczęły krążyć polewaczki. Oficjalnie nie przy-

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM |
Gorlice – 97,4 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
www.radiokrakow.pl

znano, że do katastrofy doszło i że jej efekty są groźne – ale wieść i tak się rozniosła. Pod koniec maja, po wieczorze autorskim, pewien wojskowy w ramach honorarium przebadał Zabużko dozymetrem; gdyby ktoś na niego doniósł, zaznaczył, złamałby sobie karierę: „Ale licznik na komputerze historii już tykał: donosicieli bano się mniej niż promieniowania i w obliczu tego większego strachu ludzie prostowali się i nabierali odwagi".

Teza, że Czarnobyl był początkiem upadku Związku Radzieckiego, nie jest nowa (bodaj jako pierwszy sformułował ją Michaił Gorbaczow); w „Planecie Piołun" Zabużko przypomina wszakże, że katastrofa i sposób, w jaki sowieckie władze na nią zareagowały, były początkiem czegoś innego – ukraińskiej niepodległości i nowej ukraińskiej literatury. (Niektórzy krytycy literaccy zaliczają nawet ją i innych, którzy doświadczyli 1986 roku, do pisarskiego pokolenia Czarnobyla; „nieważne, że nikt z nas nic sensownego o Czarnobylu nie napisał"). Groza sowieckich czasów, groza terroru, groza historii – w obliczu radioaktywnej apokalipsy wszystkie te grozy zostały oswojone. Zaczęło się nowe myślenie i nowe pisanie.

Scena piąta: U psychoanalityka

Przy automacie z kawą na kampusie amerykańskiej uczelni stoją dwie kobiety. Anglosaska badaczka kultury Europy Wschodniej mówi do drugiej, która z tej Europy przybyła: „Dlaczego nikt do tej pory nie wpadł na pomysł, że można by (...) przeprowadzić piękną psychoanalizę całej historii narodu – i pomoże, jak ręką odjął". To scena z „Badań terenowych nad ukraińskim seksem", powieści, która przyniosła Zabużko międzynarodową sławę. Jak jej bohaterka, i ona była w Ameryce pracując nad tą książką; wykładała na uniwersytecie w Pittsburghu. Działo się to w 1994 r., gdy stawało się coraz bardziej oczywiste, że to, co kilka lat wcześniej świętowała z Miłoszem i Zagajewskim, wcale nie było tak wielkim przełomem, jak się zdawało; w ukraińskich wyborach prezydenckich rywalizowali ze sobą dwaj Leonidowie, Krawczuk oraz Kuczma.

Przełomem był jednak Czarnobyl; wygumkowując z ukraińskiego samopoczucia strach, zmienił także podejście do literatury, i to na dwa sposoby. Po pierwsze, powieść przestała być politycznym narzędziem. Jeżeli wcześniej, pisze Zabużko w „Planecie Piołun", „głównym i najważniejszym kryterium, według którego pokolenie urodzone w epoce stalinowskiej katastrofy oceniało współczesną sobie literaturę, było to, w jakim stopniu dany utwór będzie kiedyś mógł zostać użyty w roli aktu oskarżenia na mitycznym sądzie ostatecznym", po 1986 r. powieść nie była już wobec polityki służebna. Po drugie, jeżeli wcześniej ukraińskość polegała na tym, że – jak stwierdził cytowany w „Ukraińskim palimpseście" Jurij Szewelow – co kilkadziesiąt lat następuje w niej zerwanie tradycji, „Badania..." w stronę tradycji się zwróciły, ale w nieoczywisty sposób.

Swoją powieścią – właśnie w Polsce wznowioną – Zabużko zbadała bowiem, w jaki sposób życie pod radziecką dominacją wpłynęło na ukraińskie życie intymne; wpłynęło zaś katastrofalnie. Zabużko: „Naród degeneruje się w niewoli – tłum wypełniający kijowskie autobusy, wszyscy ci przygarbieni mężczyźni z wymiętymi twarzami i nogami krzywymi jak u dżokejów, kobiety ukryte w masie przelewającego się, foczo tłustego cielska". Mężczyźni przede wszystkim: lata życia w zakłamaniu, pod butem („wszystko, co Ukraińcy są w stanie o sobie powiedzieć, to jak, ile i w jaki sposób ich bito") spowodowały u nich emocjonalne nieudacznictwo, polegające na pomyleniu miłości z pornografią.

Taka scena z powieści. Seks przez telefon. „Pojęcz mi trochę", rzuca mężczyzna, bohaterka więc jęczy. „[krzyczysz z poniżenia, a oni myślą, że ze szczęścia, a może i nie myślą, może właśnie słuchając twojego bólu dostają orgazmu?]". A gdy mężczyzna już go dostanie, rzuca: Wsio! – i się rozłącza.

Scena szósta: Niebko

Na podwórku. Kilka dziewczynek wykopuje niewielką dziurę w ziemi i wrzuca do niej, co najbardziej jaskrawe: papierki po cukierkach, płatki kwiatów, koraliki... Następnie przykrywają dziurę kawałkiem szkła i zasypują, by za jakiś czas sprawdzić, czy sekret – to nazwa tej gry – wciąż tam jest. To „rytuał potajemnego dziewczęcego siostrzeństwa, do którego chłopców się nie dopuszcza" – pisała Zabużko w wydanym w Ukrainie w 2009 r. (po polsku w 2012 r.; rok później powieść dostała Nagrodę Angelus) „Muzeum porzuconych sekretów", w którym z tej dziecięcej gry, w Polsce nazywanej niebkiem, uczyniła metaforę XX-wiecznej ukraińskiej historii. Owszem, nastąpiło w niej przebudzenie – ale krótkotrwałe; sowieckie przeoranie Ukraińców przez Sowietów było zbyt dogłębne, mnóstwo sekretów zniknęło pod ziemią niczym zalany betonem Babi Jar.

Podobnie jak w „Badaniach...", także w „Muzeum..." w kobietach upatrywała szans na dostrzeżenie, że – powiada jedna z bohaterek, z najmłodszej (podówczas) generacji Ukraińców – „wojna trwa, wojna nigdy się nie kończy – teraz to nasza wojna i jeszcześmy jej nie przegrali". Napisana za rządów „niebieskich" powieść była jednak pesymistyczna – podobnie jak pesymistyczna była Zabużko w 2013 r., twierdząc, iż po prawie dekadzie pomarańczowej rewolucji podejście do niej, jakie dominuje w Ukrainie, to „mieszanka bólu, rozczarowania, krzywdy i obrazy" – bo społeczeństwo z placu Niepodległości „nie dostało żadnego poważniejszego instrumentu, który pozwoliłby na to, by je usłyszano".

Scena siódma: Nowy Świat

W „Planecie Piołun" Zabużko cytuje brytyjskiego dziennikarza Lancelota Lawtona, który w latach 30. stwierdził, że „niekontrolowane wydarzenia wyprowadziły Ukrainę na arenę międzynarodową". Sytuacja jest jednak dziś zupełnie inna. Ukraina to już nie milczący nośnik niekontrolowanych wydarzeń, lecz konkretne miejsce, w którym rozgrywają się te, które wkrótce zatrzęsą globem; „oś świata", wedle słów Wasyla Stusa.

Oto więc scena ósma, rozgrywająca się wkrótce po tym, jak wyszła z konferencji, podczas której Bronisław Komorowski pokazał, że nie rozumie ukraińskiej drogi odrębnej. Nie rozumie samotności narodu, który spóźnił się na jesień ludów – ale który przecież sam się zaczął i to definitywnie. Zabużko idzie warszawskim Nowym Światem. Wie już, że ten początek także był spóźniony – bo od ataku na Krym zaczęła się nowa rzeczywistość.

„(...) świat zmienia się, przekraczając jakąś fatalną granicę, właśnie tutaj, teraz, natychmiast. I przeszedł mnie dreszcz. I szłam Nowym Światem, i drżałam z powodu tego odkrycia: że wszyscy ci ludzie wokół mnie jeszcze nic nie wiedzą". Dzisiaj już wiedzą. © WOJCIECH ENGELKING

Oksana Zabużko **PLANETA PIOŁUN**, *przeł. Katarzyna Kotyńska, Joanna Majewska, Anna Łazar, Agora, Warszawa 2022*

Istnienia poszczególne

KAJETAN PROCHYRA

– Tomasz Stańko zawsze grał swoją muzykę. Choć nagrałem moją płytę na jego trąbce, słyszę, że brzmi po mojemu. Nie sztuka próbować robić kopie, ale znaleźć swoją ścieżkę i swoje własne miejsce – mówi Tomasz Dąbrowski.

FILIP ĆWIK / STUDIO810 / MATERIAŁY PRASOWE

Tomasz Dąbrowski, Warszawa, 2019 r.

Po śmierci Tomasza Stańki córka trębacza, Anna, poprosiła Tomasza Dąbrowskiego, by pomógł jej zadbać o instrumenty taty. Dąbrowski: trębacz, improwizator, przez magazyn „Downbeat" umieszczony w piętnastce najciekawszych muzyków jazzowych w Europie, tak opowiada o specyfice trąbki: – Gdy kupujesz nową rurę, pierwsze miesiące, pół roku, a czasem rok musisz poświęcić na to, żeby ją rozdmuchać: żeby zaczęła grać tak, jak ty chcesz. Aby otworzyła się góra, jeśli chcesz grać w wysokim rejestrze, musisz grać dużo długich dźwięków. To może nudne rzeczy, ale dzięki temu brzmienie nabiera kształtów.

Spotkali się w mieszkaniu Stańki, na warszawskim Powiślu.

– Brałem do rąk jego monetty: trąbki budowane na zamówienie przez amerykańskiego rzemieślnika Dave'a Monette'a, super instrumenty, jak samochody Tesla: wszystko się w nich zgadza. Ale obok leżała jeszcze jedna trąbka. Wyglądała tak, że gdyby futerał otworzył laik, to najpewniej zaraz by go zamknął: instrument posrebrzany, ale przede wszystkim cały pośniedziały. Biorę tę rurę, nikt na niej nie grał pewnie z dziesięć lat. Od razu zaczęła odsłaniać charakterność: szeroki dół, niskie brzmienia, a przy tym góra taka... po prostu krzyk!

To instrument z lat 90. firmy Schilke, na którym Tomasz Stańko nagrywał płyty „Bosonossa", „Pożegnanie z Marią" czy „Roberto Zucco". – Instrument jest świetny, rozdmuchany przez pana Tomasza znakomicie. Zapytałem Anię, czy zgodziłaby się pożyczyć mi go, bym mógł nagrać na nim choćby jeden utwór.

Dąbrowski na trąbce Tomasza Stańki nagrał cały album, zatytułowany „Individual Beings" („Istnienia poszczególne").

Falafel

Z Tomaszem Dąbrowskim rozmawiam w kawiarni na lotnisku Chopina – ma dwie godziny przesiadki między lotem z Wrocławia a samolotem do Kopenhagi. Właśnie skończył trasę promującą „Individual Beings". Jego septet zagrał w katowickim NOSPR, a wcześniej w Filharmonii Szczecińskiej, w Narodowym Forum Muzyki we Wrocławiu i w studiu Polskiego Radia w Warszawie – można by rzec: wszystkie najważniejsze dziś sale koncertowe w Polsce. Z Kopenhagi czeka go jeszcze półgodzinna podróż przez most Øresund i będzie w domu, w Malmö.

– Najlepszy falafel w tej części świata – rekomenduje trębacz. Po skończeniu nauki w szkole muzycznej na Bednarskiej w Warszawie Dąbrowski wyjechał na studia do duńskiego Odense. Dziś to kierunek wręcz oblegany przez polskich adeptów jazzowej sztuki. Wtedy Dąbrowski był raptem drugim rocznikiem polskiej „jazzowej emigracji" i jako jeden z nielicznych został w Skandynawii.

– Malmö to świetne, wielokulturowe miasto. Tamtejsze władze zrobiły ankietę, by dowiedzieć się, skąd pochodzą ludzie, którzy tu mieszkają. Okazało się, że z całego świata brakowało tylko pięciu narodowości. Samorządowcy rozesłali więc wiadomości do ambasad tych krajów z zaproszeniem: gdyby znaleźli się chętni, władze Malmö zapewnią im mieszkanie i rower. Jest więc różnorodnie, a jedzenie jest świetne.

Dziś Dąbrowski wykłada na wydziale jazzu Duńskiej Narodowej Akademii Muzycznej, prowadzi własne zespoły i regularnie partneruje innym leaderom w Skandynawii i w Polsce.

Sax & Bluish

– Moja pierwsza płyta jazzowa wcale nie była jazzowa. To był album „Sax & Sex" Roberta Chojnackiego – wydany w 1995 r., promowany przebojowymi singlami „Budzikom śmierć" czy „Prawie do nieba".

– To i tak był wielki krok do przodu od mojego poprzedniego ulubionego zespołu: The Kelly Family – Dąbrowski wspomina, jakby sam nie dowierzając. A wychowywał się we wsi Rożental niedaleko Iławy. – W Iławie był od zawsze festiwal jazzu tradycyjnego Złota Tarka i myśmy na ten festiwal jeździli, nie dlatego, że jazz, tylko dlatego, że w ogóle był. Do tego ten „Sax & Sex". Postanowiłem, że będę grał na saksofonie.

W szkole muzycznej w Iławie Tomka skierowano do pokoju Bogdana Olkowskiego. – On po prostu dobierał kandydatom instrumenty, w zależności od potrzeb swojej Młodzieżowej Orkiestry Dętej. Saksofonów miał już dość; dał mi trąbkę. Na próbach i koncertach coś tam improwizowałem, choć świadomość tego, co robię, miałem zerową, w dodatku trąbka uciekała mi ze środka do kącika ust. Mimo to, choć sam kapelmistrz nie grał jazzu, to podobało mu się takie granie. To on znajdywał zawsze te osiem taktów i: „Tomek, Tomek!", zachęcał, bym grał.

Z czasem w pokoju Dąbrowskiego w Rożentalu nad łóżkiem zawisł plakat Tomasza Stańki, a po „Sax & Sex" przyszedł czas na „Bluish".

Tomasz i Tomek

Do pierwszego spotkania Tomaszów doszło w Danii. Stańko przyjechał tu poprowadzić warsztaty.

– Usiadł obok mnie, zaczął się rozgrzewać, zagrał parę nut: dla mnie to był jakiś kosmos. Graliśmy cały dzień w dziewięć osób. Następnego dnia witam mistrza: „Dzień dobry, jak się pan dziś czuje?". „Jak pan ma na imię?" – zapytał Stańko. „Tomek Dąbrowski". „A... to pan" – odpowiedział, czyli gdzieś tam w głowie i w uszach mu to mignęło, a ja dostałem od razu skrzydeł. Zaproponował, byśmy przeszli na „ty". Pokazał mi swoją trąbkę, dał dmuchnąć. Podczas tych warsztatów wytłumaczył mi wiele, nie tyle mówiąc, co grając. Słyszałem, jak grał standardy, czego na swoich koncertach nie robił prawie nigdy. Towarzyszyli mu perkusista z zespołu Wyntona Marsalisa i Danilo Pérez z kwartetu Wayne'a Shortera.

– „Stańczak" po prostu płynął tą swoją frazą! – wspomina Dąbrowski. – My, studenci, chcieliśmy grać z nim jego kompozycje, „Balladynę" czy „So nice". W ogóle nie był tym zainteresowany. „Przynieście wasze rzeczy, ja chcę wasze numery pograć" – mówił. Przez tydzień zagraliśmy około czterdzieści różnych utworów. Prowadził zespół praktycznie bez słowa. Brał instrument, grał i wszystko było jasne. Wcześniej chciałem być jak kameleon, umieć się odnaleźć w każdej muzycznej sytuacji. Stańko nauczył mnie, by dalej szukać, zbierać, zmieniać, ale w taki sposób, by wzmacniać to, co jest w muzyce naprawdę moje.

Tomasz i Tomek spotykali się jeszcze parokrotnie. Oprócz imienia i instrumentu połączyła ich słabość do dobrych butów i ekstrawaganckich nakryć głowy. Ostatni raz widzieli się w Warszawie. Stańko wpadł na koncert tria Hunger Pangs (Marek Kądziela – gitara, Tomasz Dąbrowski – trąbka, Kasper Tom Christiansen – perkusja). Przyszedł na drugi set, nie mógł spać, świeżo po powrocie zza oceanu w marcu 2018 r. Miesiąc później zdiagnozowano u niego zaawansowane stadium raka płuc. 29 lipca najwybitniejszy polski trębacz jazzowy zmarł. Po dwóch latach łódzki festiwal Letnia Akademia Jazzu poprosił Tomasza Dąbrowskiego o muzyczny hołd dla mistrza.

W dziesiątkę

– Ja mam problem z takimi „tribute'ami". Staram się od nich uciekać, bo uważam, że to jest nie fair, dla obu stron. Muzyka Tomasza Stańki stanowi przebogatą, skończoną całość i nie potrzebuje niczyich uzupełnień, a tym bardziej kopii czy imitacji – mówi Dąbrowski.

Na płycie „Individual Beings" nie ma więc ani jednego utworu Stańki. Trębacz zaprosił do studia septet złożony z osobowości, które są w stanie unieść miano istnienia poszczególnego – terminu, którym, za Witkacym, określał się sam Stańko. Za zestawem perkusyjnym – stworzonym z akustycznych, jazzowych bębnów, połączonych z elektryczną perkusją produkcji radzieckiej – zasiadł Jan Emil Młynarski, wykonawca i promotor polskiej muzyki międzywojennej, ale także poszukujący w tradycyjnych rytmach dalekiego i bliskiego folkloru, energetyczny bębniarz improwizator. Przy drugiej perkusji – Norweg Knut Finsrud. Polsko-duński jest też duet saksofonowy: Irek Wojtczak (sopran, tenor, elektronika) i Fredrik Lundin (tenor). Skład dopełniają kontrabasista Max Mucha oraz, na fortepianie, klawiszach i innych instrumentach elektronicznych, Grzegorz Tarwid.

„Individual Beings" to dziesiąta autorska płyta w dyskografii Dąbrowskiego, komponowana w towarzystwie nowo narodzonego synka (to właśnie jemu zadedykowany jest otwierający całość utwór „JR"). To istotne cezury w życiu artysty na scenie i poza nią. Dotąd muzyka Dąbrowskiego kojarzona była z wolną improwizacją i eksperymentem, jak choćby ten, którym w 2014 r. uczcił swoje 30. urodziny: grając 30 solowych improwizowanych recitali w 30 różnych miastach (zapis 10 obrazków z tej podróży trafił na płytę „Solo" wydaną przez Barefoot Records).

Płytowe wydanie „Individual Beings" to przede wszystkim melodie i zwartość wspólnego grania, mogąca przywodzić skojarzenia z kultowymi nagraniami serii Polish Jazz. Z drugiej strony brzmienie instrumentów akustycznych dopełnia umiejętnie elektronika: – Masz ludzi, którzy są bardzo kolorowi sami w sobie, ale ta ich odrębność staje się tu siłą i spoiwem. Moim zadaniem było stworzyć muzyczną formę, ramę, z którą oni zrobią to, co im się żywnie podoba.

Właśnie tego nauczył Dąbrowskiego Stańko. – Żeby nie było „czekanda": przestojów, w których czekamy, aż uda nam się wyimprowizować jakąś strukturę. Dlatego stworzyłem zarys: motywy, duety, tria, jak on to mówił: „preteksty" dla muzyki, która może się wydarzyć.

Podczas premierowej trasy koncertowej muzycy septetu mogli na dobre rozgościć się w kompozycjach Dąbrowskiego. Zapis koncertu z Polskiego Radia dostępny jest na YouTubie w cyklu Jazz.PL. Sam trębacz deklaruje zaś, co w pandemicznej rzeczywistości wydaje się szczególnie odważne, że zespół ten to nie jednorazowy projekt, ale jego nowy *working band*. Individual Beings planują kolejne koncerty w Danii (m.in. na prestiżowym Copenhagen Jazz Festival) i w Polsce. ©

MARK MAKELA / GETTY IMAGES

Kolekcja wypchanych flamingów w Savile Club. Londyn 2011 r.

Co czytać

MONIKA OCHĘDOWSKA

Poza doskonałym portretowaniem historii XX wieku oraz nieprzyzwoicie sprawną zabawą w konwencje, proza Chamiera-Gliszczyńskiego oferuje nam potraktowany zupełnie serio namysł nad współczesnością.

Zaczyna się z przegięciem, jak w filmach Paola Sorrentino. Na rozgrzany upałem dziedziniec XVIII-wiecznego pałacu w Trzebielinie, w którym mieści się renomowany Szpital dla Dzieci ze Schorzeniami Nerwicowymi, Wadami Wymowy oraz Charakteru, ni stąd, ni zowąd spada ogromny różowy flaming. Pensjonariusze przecierają oczy, ptaszysko ledwo zipie. Kwestią czasu pozostaje jego ostatnia podróż – na stół sekcyjny. Tam, na zimnym emaliowanym blacie, wedle wskazówek „Sztuki myśliwskiej oprawiania bestyi", flaming zostaje fachowo wypreparowany i wypchany. A następnie – ku uciesze pacjentów i personelu – wystawiony w pałacowym hallu jako maskotka trzebielińskiej placówki.

Ten precyzyjnie opisany na pierwszych stronach wydanej właśnie powieści Wojciecha Chamiera-Gliszczyńskiego „Dawki fantomowe" zabieg patroszenia, cięcia, łamania i składania z powrotem w całość egzotycznego zwierzęcia staje się nie tylko początkiem miłosnej historii wybitnego psychiatry Ludwika Straussa i jego przyszłej żony, Ireny, która właśnie tego dnia zostaje kimś więcej niż asystentką profesora („patrzył na mnie ukradkiem, jak rumienię się, niezdarnie przytrzymując długą szyję ptaszyska przypominającą potężny fallus okryty delikatnymi piórkami"). Symbolicznie wskazuje także na początek pewnej epoki. Gdy w powieściowym Trzebielinie trwa upalne lato 1956 r., w amerykańskim miasteczku Leominster w Massachusetts rzeźbiarz Donald Featherstone projektuje właśnie ozdoby z plastiku. Jego jednonogi flaming okaże się ogrodowym bestsellerem, a produkowane masowo kopie trafią do setek tysięcy backyardów – od New Jersey po Sacramento. Różowy jak cadillac Elvisa, reprezentować będzie „spleen dobrobytu" lat 60.

Otwierając „Dawki fantomowe" wskrzeszeniem różowego flaminga, Chamier-Gliszczyński zapowiada, że będziemy mieli w jego prozie do czynienia z tym, co perwersyjne i ponętne, a jednocześnie – reprodukowalne. Obserwujemy moment, w którym sztuka przestaje żywić się rzeczywistością leżącą u źródeł konwencji, a zaczyna – samymi konwencjami.

Gdy literatura schodzi na psy

Wojciech Chamier-Gliszczyński debiutował dwa lata temu powieścią pt. „Portrecista psów". Dobiegający czterdziestki słupszczanin, z zawodu radca prawny, dał się poznać dekadę temu jako poeta czytelnikom szczecińskiego pisma „Artefakt". Wyróżniony w kilku konkursach literackich, pierwszą krótką prozę opublikował w 2019 r. w magazynie „biBLioteka", jego ostatnie opowiadanie „Serdeczność księgowego" ukazało się w styczniowym numerze „Pisma".

W „Portreciście psów" Chamier-Gliszczyński dokonuje rozbioru i analizy początków dwudziestolecia międzywojennego.

To ciekawe, bo niewiele mamy w polskiej literaturze najnowszej obrazów Wielkiej Wojny nawiązujących choć trochę do brudnego stylu Ericha Marii Remarque'a, Ernesta Hemingwaya czy nawet – nagrodzonego w zeszłym roku Międzynarodowym Bookerem, przełożo-

nego już na język polski – Davida Diopa. Sukces pochodzącego z Senegalu francuskojęzycznego autora „Bratniej duszy" (2018, polskie wydanie 2021), a także popularność filmów takich jak „1917" Sama Mendesa (2019) pozwalają przypuszczać, że wydarzenia sprzed stu lat wciąż domagają się opowiedzenia na nowo, a może też – w obliczu nasilających się konfliktów międzynarodowych – stają się po prostu aktualne. W kraju nad Wisłą sytuacja wyglądała zawsze nieco inaczej niż w Europie Zachodniej – ponieważ rok 1918 przyniósł nam niepodległość, autorkom i autorom trudno było przebić się z pacyfistyczną krytyką monstrualnej rzezi na frontach Europy przez ogólnonarodową aprobatę dla działań legionistów Piłsudskiego.

Obok piszącego ludową historię Polski Władysława Reymonta czy prekursora literatury faktu, Melchiora Wańkowicza, wojnę przedstawiał w sposób na swoje czasy dość oryginalny także Juliusz Kaden-Bandrowski. Jego wydana w 1919 r. powieść „Łuk" porównywana bywała do „Kochanka lady Chatterley" D.H. Lawrence'a. Obie – równie skandaliczne dla współczesnych twórcom czytelników i krytyków – w centrum uwagi stawiały nie oddanych służbie ojczyzny żołnierzy, tylko ich kobiety. I to w scenach erotycznych, odsłaniających intensywne doświadczanie ciała, jakie nastąpiło po katastrofie. Erupcja zmysłowości miała odpowiadać na wojenny biologizm i witalizm. Przeciwstawiała tym samym duchowości naturę, a elitarności przedwojennego modernizmu – komunikatywność, popularność, demokratyzm literatury. W końcu także dla bohatera Diopa, czarnoskórego tyraliera, nieustanna bliskość śmierci ma erotyczny posmak.

Ale warto zobaczyć tamtą powieść Kadena-Bandrowskiego w nieco szerszym kontekście. Moment tuż po Wielkiej Wojnie to czas, kiedy ciało staje się towarem mass mediów. Dzięki upowszechnieniu fotografii świat po raz pierwszy ogląda na taką skalę obrazy cudzego cierpienia – zdjęcia trupów żołnierzy, strzępy ludzkich ciał walających się w błocie. Fotografia zawładnęła ówczesną wyobraźnią, bo wydała się najbardziej obiektywnym środkiem przekazu, sięgając tym samym ideału niedostępnego literaturze. „Wojna zużyła słowa" – pisze w 1915 r. na łamach „New York Timesa" amerykańsko-brytyjski pisarz i krytyk Henry James – słowa „osłabły, zeszły na psy". Remarque nazwie walczących na froncie „myślącymi zwierzętami", których pierwszym zawodem i zajęciem w życiu stało się nagle „robienie trupów".

Miasteczko Konitz

Powojenne Konitz (Chojnice) Chamiera-Gliszczyńskiego przypomina miasteczka z seriali „Fargo" albo „Twin Peaks" – to doskonała scenografia dla ironicznego traktatu o pochodzeniu sączonego przez wojnę zła. Autor decyduje się na przedstawienie jego mieszkańców w bliskiej amerykańskim obrazom formie opowieści awanturniczej wymieszanej z czarnym kryminałem i westernem *à rebours*. To Dziki Zachód, świat *in statu nascendi*, wszystko tam dopiero się formuje z powojennej gliny. Wielu miejscowym zdaje się, że ich nowe państwo jest jedynie krótkim epizodem w długiej historii kolejnych zaborów. Trwa wielomiesięczny karnawał odwracający obyczajowe i społeczne normy, Chojnice staną się częścią Polski dopiero w 1920 r.

Dla pisarza taka scenografia i czas to doskonały pretekst do zaprezentowania tuzina przetrawionych przez popkulturę wizerunków parszywych mężczyzn i frywolnych kobiet. Jedną z nich jest narratorka powieści, kobieta przejmująca miejscowy zakład fotograficzny. Kiedy do tajemniczej pani Dogs (nigdy nie poznamy jej prawdziwego nazwiska) dołącza wracający właśnie z wojny młody fotograf, Martin (syn prawowitego właściciela lokalu), fotografowanie zdechłych psów staje się przykrywką dla właściwego biznesu tej pary – pornografii.

W czytelniczce i czytelniku podczas lektury powoli rodzi się pytanie o to, czy nieuchwytna, bezwzględna narratorka Chamiera-Gliszczyńskiego nie jest po prostu samą wojną i śmiercią? Tłumaczyłoby to zarówno jej sposoby na zarabianie (fotografię-pornografię) oraz obojętność, z jaką dosłownie pożera kolejnych młodzieńców. A może jej kanibalizm wskazuje na żarłoczność narodzonej tuż po wojnie kultury masowej z przemocy i deprawacji czyniącej towar i rozrywkę?

Ciekawe przypadki Jana Doriana

Próby tworzenia obiektywnych, naśladowczych względem rzeczywistości narracji przypisuje się tradycyjnie Flaubertowi. Dzięki jego wnikliwemu czytelnikowi i tłumaczowi, Ryszardowi Engelkingowi, wiemy jednak, że ważniejsza od zgodności z rzeczywistością była dla francuskiego powieściopisarza mimo wszystko prawda sztuki. W świecie przedstawionym „Pani Bovary" styczniowy świt oglądamy o piątej nad ranem, sianokosy wypadają w kwietniu, a czas jazdy z Rouen do Yonville jest plastycznie podporządkowywany wymogom akcji. Dzieło literackie – nawet uchodzące za majstersztyk naturalizmu – zawsze jest sztuczką, często zawierającą w sobie inne sztuczki.

Dla twórców publikujących sto lat później, w latach 60. zeszłego wieku, ideałem powieści była już nie byle jaka sztuczka, a labirynt o rozwidlających się w nieskończoność ścieżkach. Książki postmodernistów zawierały w sobie często inne książki albo co najmniej ich potencjał. Właśnie taka literatura, pomyślana jako samonapędzający się i samowystarczalny mechanizm, portretowana jest w „Dawkach fantomowych" Chamiera-Gliszczyńskiego. Oczywiście – za pomocą odwołań do prozy samego Flauberta, a dokładniej – jego czytelnika idealnego.

Jednym z pacjentów doktor Ireny Strauss w trzebielińskim szpitalu jest Jan Dorian, romanista i autor genialnych rozpraw o nigdy nienapisanych powieściach twórcy „Pani Bovary". Dorian opisuje je w taki sposób, jakby stanowiły dzieło skończone i integralne. Wreszcie – do swoich opracowań dołącza obszerne cytaty z dzieł innych autorów, m.in. Henriego Bergsona czy Marcela Prousta, nadając im doskonałe pozory autentyzmu. Słowem, kiedy Dorian pisze za Prousta pastisz Flauberta, to możemy być pewni, że autor „W poszukiwaniu straconego czasu" w owym czasie rzeczywiście publikował takie pastisze jako wprawki do własnej twórczości.

Oczywiście takie rozbicie struktury świata, „literacki kameleonizm", jak syndrom Doriana nazwie konsylium lekarskie Chamiera-Gliszczyńskiego, znane jest prozie dokładnie od czasów lądowania w amerykańskich ogródkach plastikowych flamingów. W latach 60. powieść, jako gatunek filisterski, wzgardzony, traciła na wiarygodności – aby ją ratować, należało uznać jej sztuczność, pozwolić na samozniszczenie, a następnie wypreparować, poskładać i postawić do pionu jak różowego „potężnego fallusa okrytego delikatnymi piórkami". To właśnie czyni na naszych oczach autor „Dawek fantomowych". ↦

Anatomia opowiadania

↦ Ale poza doskonałym portretowaniem historii i literatury XX w. oraz nieprzyzwoicie sprawną zabawą w konwencje, proza Chamiera-Gliszczyńskiego oferuje również potraktowany zupełnie serio namysł nad współczesnością. Nie bez powodu akcja powieści skupionej w dużej mierze na latach 60. umieszczona zostaje w szpitalu psychiatrycznym. Nieprzypadkowe jest również hobby Ludwika Straussa, który w swoim gabinecie trzyma ogromne formikarium. Postać profesora odsyła nas do jednego z najważniejszych filozofów ponowoczesności, Michela Foucaulta, którego interesowały szczególnie dwie cechy naszej rzeczywistości – rozpad wielkich narracji (czytaj: śmierć flamingów) oraz kształtowanie społeczeństw „organicznych" spajanych przez nowoczesne technologie wymagające (jak mrowisko albo szpital psychiatryczny) kooperacji i nadzoru.

Załamanie wielkich narracji, konstatował Foucault, nie osłabiło wcale w naszych społecznościach zapędów totalizujących. A to dlatego, że przed człowiekiem, który uszedł z życiem przed marksizmem i faszyzmem, szybko postawiono nowy cel: jak najwięcej konsumować. Wszyscy, jak mróweczki, mieliśmy robić „to samo" i „tak samo", aspirując do określonego statusu społecznego. Życie w takim tempie i wymiarze musiało stać się źródłem narastającego stresu, neuroz, depresji i zachowań uważanych przez opartą na symptomatologii psychiatrię za patologiczne. Narastające w społecznościach lęki zostały wedle określonego, arbitralnego porządku sklasyfikowane, a następnie zneutralizowane i uśmierzone za pomocą określonych środków obronnych. A gdybyśmy tak wszyscy – kontynuuje myśl Foucaulta Chamier-Gliszczyński – zaczęli przyjmować profilaktycznie dawki fantomowe?

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

Wojciech Chamier-Gliszczyński **DAWKI FANTOMOWE**, *W.A.B., Warszawa 2022*

MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

Kadr z filmu „Drive My Car", reż. Ryûsuke Hamaguchi

Mężczyzna w futerale

ANITA PIOTROWSKA

Hamaguchi kontempluje proces nawiązywania się komunikacji między ludźmi. Jej brak wyraża głównie w obrazie, stąd powtarzającą się w filmie scenerią są wizualnie nadobecne, aseptyczne nie-miejsca.

Trudno wylogować się na trzy godziny z rzeczywistości, gdy historia pędzi na złamanie karku, zewsząd bombardują nowe wiadomości i coraz więcej ludzi jest w pilnej potrzebie. Tyle że „Drive My Car" to nie kino ucieczkowe – raczej terapeutyczne. I trzecie, a zarazem najciekawsze polskie spotkanie z japońskim mistrzem Ryûsuke Hamaguchim, po „Asako. Dzień i noc" dostępnym na VoD, oraz ciągle obecnym na dużych ekranach nowelowym „W pętli ryzyka i fantazji". Nowy tytuł łączy opowiadania Murakamiego ze sztuką Czechowa, by zabrać nas na długą, pełną meandrów i koniecznych zatrzymań przejażdżkę. Po drodze można się przekonać, jak ważne jest nie tylko snucie, ale także słuchanie opowieści. Nieważne, w jakim języku.

Dziwny to film, w którym czołówka zaczyna się dopiero po czterdziestu minutach. Jakby brał w nawias wszystko, co w historii głównego bohatera wydawało się kluczowe, czyli zdradę i śmierć jego żony Oto (Reika Kirishima). Dopiero bowiem wtedy, gdy aktor i reżyser Yûsuke (Hidetoshi Nishijima) po dwóch latach żałoby wyrusza na rezydencję do Hiroszimy, żeby wystawić tam „Wujaszka Wanię", rozpoczyna się właściwy film. A może i prawdziwe życie, stopniowo odzierane z kłamstw, zaniedbań, zaniechań oraz zafałszowanej pamięci. Wypełniają go przygotowania do spektaklu w międzynarodowej obsadzie. Aktorzy mówią w nim po japońsku, mandaryńsku, angielsku, nawet w koreańskim języku migowym i... nie rozumieją się nawzajem. Znają za to dobrze tekst dramatu, dlatego wchodzą ze sobą w interakcje na poziomie innym niż werbalny.

Tylko co chciałby osiągnąć teatralny reżyser, powierzając tytułową rolę, całkowicie wbrew fizycznym warunkom, młodemu gwiazdorowi telewizyjnemu o nadszarpniętej reputacji? Wiele wskazuje na to, iż Kôshi (Masaki Okada) był kiedyś kochankiem Oto, czyżby więc kryła się za tym zemsta albo kara? A może tragiczna rola Iwana Wojnickiego, który swą przeszłość „roztrwonił po głupiemu na drobiazgi", ma tutaj kogoś uratować przed nim samym?

„Drive My Car" składa się z wielu takich pytań, bo co człowiek, to opowieść, a co twarz, to tajemnica. Przedmiotem największej zazdrości, bardziej niż uczu-

cia, czyjeś ciało bądź spędzony razem czas, staje się wiedza o kimś, przeniknięcie jego historii, zapanowanie nad przeszłością. Hamaguchi i jego aktorzy stopniowo „rozbierają" kolejne postaci dramatu. Robi to z nimi również sam Czechow, którego musieli nauczyć się na pamięć, wykraczając poza własne role.

Podczas codziennej jazdy z hotelu na próby reżyser Yûsuke po raz enty słucha z kasety „Wujaszka" czytanego przez zmarłą Oto. Ale nie tylko on – także siedząca za kółkiem Misaki (Tôko Miura), którą przydzielono mu w charakterze szofera. Bohater zrazu nie jest zachwycony faktem, że ktoś obcy dotyka kierownicy jego saaba, z czasem jednak przyzwyczaja się do tej milczącej współobecności. Zaczyna też doceniać techniczne umiejętności dziewczyny i dowiaduje się, w jakich okolicznościach pochmurna chłopczyca w bejsbolówce nauczyła się tak gładko i bezkolizyjnie kierować autem.

Wiele czasu upłynie i wiele padnie słów, zanim Yûsuke przeniesie się z tylnego siedzenia, przestanie być anonimowym pasażerem, a film wytłumaczy nam swój tytuł, zaczerpnięty przez Murakamiego z piosenki Beatlesów. Słowa „prowadź mój samochód" z początku mogłyby odnosić się do relacji między mężczyzną a kobietą, zwłaszcza gdy mamy w pamięci, jak bohater pouczał w prologu swoją żonę siedzącą za kierownicą. Jednakże samochodowa metafora nie ogranicza się w „Drive My Car" do dynamiki relacji damsko-męskich, o nich zresztą sugestywniej przemawia w filmie zupełnie inny język – snów, fantazji, niedopowiedzeń w dialogach.

Hamaguchi kontempluje proces nawiązywania się komunikacji między ludźmi. Jej brak wyraża głównie w obrazie, stąd powtarzającą się w filmie scenerią są wizualnie nadobecne, aseptyczne nie-miejsca. Trajektorie Yûsuke biegną przez asfaltowe estakady, betonowe parkingi i niekończące się tunele; od śmierci żony jego życie toczy się w hotelowych pokojach, salach prób i oczywiście we wnętrzu auta. Jego soczyście czerwona sylwetka wybija się na tle chłodnej, stalowoniebieskiej kolorystyki. Bo samochód okazuje się tu przestrzenią swojską i bezpieczną, choć jednocześnie wycina bohatera z żywego tła – z natury, z bliskiego kontaktu. Dopiero za sprawą Misaki będzie musiał Yûsuke opuścić ten metalowy futerał czy schron i wtedy ich historie na dobre się przetną.

Lecz najpierw historia musi zostać opowiedziana. Niczym u Erica Rohmera i Johna Cassavetesa, który jest jednym z mistrzów Hamaguchiego, w „Drive My Car" postacie albo znacząco milczą, albo stają się wewnętrznym narratorem filmu. Żona Yûsuke podczas seksu wymyślała na głos zawiłe, zanurzone w podświadomości scenariusze telewizyjnych produkcji, które on referował jej rano, po czym ona je zapisywała. W ten sposób opowiadanie staje się formą największej intymności, ten zaś, kto uważnie słucha, rychło sam staje się opowiadaczem.

A tym, którzy jeszcze nie znaleźli odpowiednich słów dla wyrażenia własnej pustki, bólu czy wyrzutów sumienia, w sukurs przychodzi pisarz sprzed 125 lat. Jako że mogą wypowiadać się jedynie we własnym języku, włącznie z „migającą" finałowy monolog Sonią Sieriebrakow, autor „Wujaszka Wani" staje się kimś na kształt międzykulturowego i międzyludzkiego tłumacza. Jednak twórca spektaklu obawia się wejścia w środek psychodramy, rola Wani wymagałaby bowiem od niego głębokiej i bolesnej introspekcji – rewizji jego małżeństwa z Oto i nazwania po imieniu własnych stłumionych uczuć.

Niezależnie, czy słowem, czy obrazem, „Drive My Car" opowiada o tym wszystkim w rytmie spokojnym i kojącym, niczym płynna jazda w wykonaniu Misaki. Nagrodzony za scenariusz w Cannes, nominowany do czterech głównych Oscarów, nie wspominając o innych laurach, film Hamaguchiego to największy i w pełni zasłużony sukces japońskiej kinematografii od czasów Akiry Kurosawy. Równocześnie dzieło czterdziestodwuletniego reżysera z wyspy Honsiu dołącza do grona wybitnych ekranowych „czechowianów", takich jak „Niedokończony utwór na pianolę" (1977) niesławnego dziś Nikity Michałkowa i „Zimowy sen" (2014) Nur ,iego Bilge Ceylana.

Z filmu o tworzeniu spektaklu i wysmakowanego w szczegółach kina drogi niespiesznie przeistacza się w oczyszczającą przypowieść. Spotykają się w niej ludzie, zwierzęta, a nawet duchy i razem, czerwonym saabem, próbują uciec przed „roztrwonionym życiem", znajdując schronienie w czyjejś opowieści. ©

DRIVE MY CAR – *reż. Ryûsuke Hamaguchi. Prod. Japonia 2021. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 11 marca.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. U311 Czerkasy

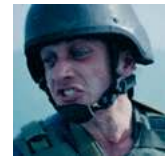

Wojenny, reż. Tymur Jaszczenko, Ukraina/Polska 2019, MOJEeKINO.pl, do 21 III

Festiwal Filmowy Ukraina! organizuje pokazy (w kinach i online), z których dochód przeznaczony jest na pomoc dla naszych ukraińskich sąsiadów. Wyżej wymieniony tytuł to nazwa trałowca, który w 2014 r. Rosjanie zablokowali na jeziorze Donuzław. Film opowiada o losach załogi ostatniej jednostki marynarki wojennej na Krymie pod banderą ukraińską.

2. Powrót do tamtych dni

Dramat, reż. Konrad Aksinowicz, Polska 2021, VoD

Przełom ustrojowy w Polsce, z jego mitologią i gadżetomanią, ukazany został przez pryzmat „polskiego picia". A dokładniej: oczami dziecka, dla którego wyczekiwany powrót taty z Ameryki zamienia się w koszmar. Perspektywa DDA, ale też współuzależnionej matki, wyróżnia film Aksinowicza na tle ekranowych historii alkoholowych. Plus świetna rola Macieja Stuhra.

3. Summer of Soul

Dokumentalny, reż. Questlove, USA 2021, VoD

„...albo kiedy rewolucja nie mogła być transmitowana w telewizji" – brzmi podtytuł jednego z ważniejszych dokumentów minionego roku, z nominacją do Oscara. Powstał z nieznanych wcześniej archiwaliów rejestrujących Festiwal Kultury Harlemu z 1969 r., przełomowy nie tylko dla muzyki soul. Występują m.in. Stevie Wonder, Nina Simone i B.B. King.

4. Diuna

Science fiction, reż. Denis Villeneuve, USA 2021, VoD, HBO Max

Dla (wy)znawców prozy Franka Herberta zapewne nie jest to spełnienie. Ale tym, którzy szukają w kinie hipnotycznego widowiska z malarskim kadrem, wysmakowanym dizajnem i kreatywnym podejściem do dźwięku, nowa adaptacja dostarcza dużej satysfakcji. Do tego polityczne, ekologiczne czy genderowe przesłanie filmu, które wpisuje się we współczesne debaty.

JAN

Klata:
Kurtyna, oklaski

No i mamy problem: kremlowski zbrodzień naprawdę wierzy w kocopały, które głosi. Naziści-narkomani w jego mniemaniu chcą przejąć władzę nad światem, zaczynając od Ukrainy – zawsze od czegoś trzeba zacząć. Rok 2022, sceną wydarzeń jest serce Europy, teatr wojenny. Ludzie odgrywają w życiu role, oczywiście, inaczej byśmy wszyscy powariowali. Różnica między aktorem a szaleńcem jest taka, że aktor panuje nad tym, kiedy staje się postacią, którą ma grać, panuje nad tym, kiedy się przepoczwarza, wie, kiedy zejść ze sceny. Aktor wcielający się w Napoleona nie ląduje w placówce zamknięty z innymi Napoleonami, bo ma bezpieczniki. Putin bezpieczników nie ma. Mnóstwo kagiebistów wokół, a zero bezpieczników.

Dawno, dawno temu, przed stu laty, był sobie hollywoodzki gwiazdor: Bela Lugosi. Bela Lugosi zasłynął rolą wampira Nosferatu. Gdy czasy wampirów przeminęły, aktor chciał nadal mrocznie błyszczeć na ekranie, utrzymać się na topie, wbrew rzeczywistości obnażającej jego nader węgierski akcent. Został pochowany w kostiumie Nosferatu, w wieku lat siedemdziesięciu kilku, na cmentarzu Świętego Krzyża w Kalifornii. Został wampirem na wieczność.

Niedawno, całkiem niedawno temu, był sobie komediant Wołodymyr Zełenski. Piszę „komediant" specjalnie, dla podkreślenia specyfiki aktorskiej „Sługi narodu". Zrządzeniem losu zdyskontował mimesis, doszedł do władzy w realu. I gdy nadszedł czas próby, stało się coś niezwykłego. Oto człowiek, który dorósł do szekspirowskiej roli, który swoją rolę niespodzianie, bohatersko przerósł. Cóż za budująca historia ukraińskiego artysty w naprawdę głównej roli! Wierzę, że opowieść o dwóch Włodzimierzach zakończy się dobrze. Dla Zełenskiego – monumentalnie hollywoodzkim happy endem, najlepiej w Sztokholmie, podczas ceremonii przyznania Pokojowej Nagrody Nobla. Putin do ukłonów nie wyjdzie, starannie a nieodwołalnie przebity osinowym kołkiem gdzieś głęboko w bunkrze. ©

Lektor:
Pod księżycem

▪ *Marian Stala*
FRAGMENTY LUNARNE
Universitas,
Kraków 2022,
ss. 336

Czy księżyc to poetycko przebrzmiały, banalny rekwizyt z magazynów Muzeum Wyobraźni? Marian Stala – znakomity historyk literatury, znawca poezji dawnej (książki o lirykach lozańskich Mickiewicza i o Młodej Polsce!), a zarazem krytyk towarzyszący poetom współczesnym – przekonująco dowodzi, że tak nie jest. „Na księżycu czarnym wiszę / patrząc w gwiazd gasnących ciszę. / W mroku dumnym i bezgłośnym / ze strzaskaną harfą snów / płynę – szukam jej – / nie odnajdę już". Sześć wersów, czterdzieści jeden sylab, dwa zdania. Tajemniczy wiersz Tadeusza Micińskiego, jednego z najdziwniejszych pisarzy polskich. Niewielka przestrzeń, w której, jak pisze Stala, „pojawiają się bez uprzedzenia (i równie szybko znikają) ślady wielu symboli i wyobrażeń, głęboko utrwalonych w kilku kulturach". Jakby „punkt przecięcia kilku opowieści, z których się owe obrazy wywodzą". Zacząłem od Micińskiego, bo to świetny przykład wrażliwej, analitycznej i erudycyjnej zarazem lektury, która mierząc się z tajemnicą poetyckiego tekstu, odsłania kolejne warstwy jego możliwych znaczeń. „Fragmenty lunarne", czyli – jak głosi podtytuł – „Szkice o obecności księżyca w poezji polskiej od schyłku XIX do początku XXI wieku wraz z małą antologią księżycowych wierszy poetów Zachodu", są, tłumaczy autor, „późnym śladem zaciekawień księżycem, zrodzonych w pierwszej połowie lat 70., w trakcie jednoczesnego studiowania polonistyki i filozofii". Bohaterowie części pierwszej to Kazimierz Tetmajer, Wacław Rolicz-Lieder (zdumiewający poemat prozą „Witriol"), wspomniany Miciński, Bolesław Leśmian (wiadomo, „Srebroń", ale nie tylko), Leopold Staff, Jan Lechoń z 39 wierszami, wśród których znalazło się arcydzieło – „Powstałem nagi z mego snu", Konstanty Ildefons Gałczyński, Czesław Miłosz, antyksiężycowy Zbigniew Herbert i Marcin Świetlicki („Krew na księżycu!"). A potem wcale nie taka mała antologia „99 księżycowych wierszy z poezji zachodniej", od starogreckiego „Hymnu do Selene", przez – między innymi – Ronsarda, Philipa Sidneya, Anioła Ślązaka, Goethego, Byrona, Shelleya, Leopardiego, Victora Hugo, Poego, Baudelaire'a, Mallarmégo, Verlaine'a, Laforgue'a (osiem utworów!), Yeatsa, Wiaczesława Iwanowa, Bunina, Sandburga, Jimeneza, Trakla, Nelly Sachs, Lorkę, Borgesa, Nezvala, Audena i Christine Lavant, aż po Larkina, Teda Hughesa, Sylvię Plath i Leonarda Cohena. Bierzcie więc i czytajcie! ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Gdzie wtedy byłeś

Gdyby poprosić wolontariusza z dworca czy punktu recepcyjnego, żeby przyprowadził żywego dinozaura, załatwiłby sprawę w pół godziny. Taki dowcip słyszałem na temat plastra dobrej woli, jaki codziennie, bez względu na niepogodę, nakładamy na ranę wyrywaną przez wojnę w tkance spokojnej codzienności. Ciągle za mało tej pomocy, ciągle gryzie od środka lęk, że coś się zaraz wyczerpie: siła w ludziach, batony, pieluchy, buty, woda, wolne łóżka i czas. Nie dziwota, że próbuje się ten ogrom napięcia rozładować przez śmiech.

Osobliwe, że czuję potrzebę, by dopisać to wyjaśnienie, jakby śmianie się było w tych okolicznościach niestosowne. Kiedy jednak każdy co dzień znajduje powody do płaczu, taka podejrzliwość może jest zrozumiała. Widać ją w – na szczęście już rzadszych – uwagach, że ukraiński prezydent, cokolwiek by o jego dotychczasowych rządach mówić, wyrósł na męża stanu i przewodnika wilczego stada, „pomimo" że kiedyś był komikiem. Estradowym pajacem i kabaretowym śmieszkiem. No tak, gdyby kończył dobrą aktorską szkołę i grał Czechowa, to by jeszcze jakoś dało się połączyć.

Przypomnijmy zatem sobie, że śmiech jest równoprawnym z innymi poruszeniem ducha i ugruntowaną w kulturze formą przetwarzania tego, co życie rzuca nam przed oczy i pod nogi. I to jak ugruntowaną. Ale tym razem nie przywołamy na świadka ojca wszelkiej sensownej nauki o człowieku – Arystotelesa, bowiem poświęcona komedii część jego „Poetyki" zaginęła bez śladu, o czym pamięta każdy czytelnik „Imienia róży", gdzie jedną ze sprężyn zawiłej intrygi jest właśnie strach jednego z bohaterów, iż ostatni zachowany w klasztorze egzemplarz tego tekstu może wpaść w niepowołane ręce.

Strach i w jego konsekwencji zbrodnie tamtego mnicha wynikały wprost z obsesji obserwowanej także dziś u socjopatów uczepionych kurczowo sztywnego systemu norm i dyscypliny. Nierozumiejących, że właśnie po to, by móc funkcjonować w ramach danego mu ładu i przestrzegać na co dzień zasad, człowiek musi czasem ten porządek odwrócić, zanegować. Każda kultura dbała o ramy, w których ten zbiorowy wybuch śmiechu – bo śmiech jest właśnie reakcją na rzeczy i działania idące wbrew ustalonemu porządkowi – dawał się regularnie wzniecić, kontrolować i wygasić po odpowiednim czasie. Nawet najbardziej dzikie „święto głupców" kończy się wraz z nastaniem wieczora, każdy karnawał ma swoje ostatki.

„Chował się przed deszczem pod rynnę, kuł żelazo, kiedy wystygło, myślał o niebieskich migdałach, łowił ryby przed niewodem, mówił hop zanim przeskoczył, mur przebijał głową, drapał się, gdzie go nie swędziało, budował domy na piasku" – tyle i więcej wyczyniał Gargantua, którym François Rabelais posłużył się u progu naszej nowożytności, żeby zaszczepić nam wciąż aktualne skrypty świata na opak. Przy czym w rozbudowanym wstępie autor zastrzega, że rubaszne historyjki kryją w sobie mądrość i cnotę. Bowiem „ktoś może mieć na grzbiecie hiszpański płaszczyk, zasię co do swego męstwa, zgoła nie z Hiszpanii się wiedzie".

Zupełnie jakby o prezydencie Ukrainy pisał, prawda? Ale tu się kończy moja zdolność snucia karnawałowych skojarzeń. Bo co to za koszmarny świat na opak, że o piątej rano na dworcu widzę wszędzie dzieci? Kto i po co zasiał na peronie ten las pomponów? Może rzadko bywacie na Głównym czy Centralnym o świcie, ja zaś z racji swego trybu życia bywam regularnie i wierzcie mi, to nie jest miejsce dla małych dzieci nawet na krótką chwilę. Zmęczone, ospałe, czasem marudne, a czasem nieobecne. Żadnej cnoty ani mądrości z tego nie wywiodę, chociaż uczyli mnie kiedyś na filozofa. Tylko biorąc się do roboty można przestać płakać. Żeby potem, jak śpiewał Kelus, móc odpowiedzieć, gdy ktoś w przyszłości zapyta: gdzie wtedy byłeś?

Siedemset litrów zupy ugotowała w któryś z ostatnich dni grupa skrzykniętych *ad hoc* mieszkanek i mieszkańców Krakowa. Chciałem, utartym zwyczajem, zacząć od tej liczby i przejść z felietonowym dystansem do rozważań zupologicznych. Ale cofnąłem się, bo by do redakcji poszła pusta kartka. Śmiać się można, a nawet należy. Ale pisać o zupie, zamiast ją czynić lub rozlewać – to byłoby dziś nieprzyzwoite. ©℗

Krakowska grupa zarządziła, że robi dla uciekinierów zupy tylko wegańskie – w czasach zwyczajnych może bym dodał coś złośliwego, ale teraz uruchamia to tylko w mojej głowie proces przypominania sobie sztuczek, jak skompensować brak mięsnego wywaru czy śmietany. Ziemniak dodany do każdego kremu uczyni go bardziej zawiesistym. Ale też makaron (z pszenicy durum, nie jajeczny, skoro nie wolno). I tu wchodzą na scenę dwie gęste strączkowe zupy włoskich chłopów, które, nawet gdy wyjmiemy boczek z oryginalnego przepisu, wciąż będą dostarczać niesamowitego wrażenia „sytości". Przepis na neapolitańską pasta e lenticchie wrzucałem wam tu rok temu, zaś na pasta e fagioli z okolic Wenecji lat temu siedem, więc warto przypomnieć: 200-300 g fasoli (najlepiej borlotti) po namoczeniu gotujemy w 1 l wody z ząbkiem czosnku, rozmarynem i łyżką oliwy – po ugotowaniu nie wylewamy wywaru! Osobno dusimy na 4 łyżkach oliwy posiekane drobno cebulę, seler naciowy i marchew. Zalewamy ok. 200 ml wody (lub bulionu) z 2 łyżkami koncentratu pomidorowego, dusimy na wolnym ogniu. Po kwadransie dodajemy fasolę, miksujemy całość, by uzyskać dość rzadki krem. Doprowadzamy go do wrzenia i gotujemy w nim garść krótkiego makaronu. Gdy krem będzie gęstniał (dzięki skrobi), dolewamy stopniowo wywar spod fasoli i regularnie mieszamy, bo lubi się przypalić. Smakuje najlepiej nazajutrz, gdy makaron się prawie rozpadnie.

ZUPA DLA UKRAINY KRAKÓW

GOŁĘBIE DUSZE

TEODOR SEGIET:

Kupowaliśmy sztukę nieprofesjonalną, ale dopóki ktoś nam tego nie powiedział, nie wiedzieliśmy, że jesteśmy kolekcjonerami. Podpytywaliśmy o nią w muzeach, ale tam mniej od nas wiedzieli, a myśmy przecież nie wiedzieli nic.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Nawet w przedpokoju grafiki wiszą od podłogi po sufit.

TEODOR SEGIET: To głównie linoryty Rudolfa Riedla. Artysty z Katowic, rocznik 1941. Malował to, co widział za oknem domu i w drodze do pracy: fedrunek i grubę, familoki i hołdy, lauby, festyny i orkiestry górnicze, starzyków i bajtli, werbusów, gołymbiorzy i szkaciorzy.

Pod koniec lat 80. wyemigrował do Niemiec.

Riedel stale z kimś jest skłócony, czuje się prześladowany. Złożona osobowość, nie umiał znaleźć sobie miejsca. Pewnie najlepiej byłoby mu w Zgorzelcu – gdzie by mógł mieć jedną nogę w Polsce, drugą w Niemczech. Trochę tak, trochę siak. Znamienne dla ludzi pogranicza. I trudny charakter. Wszystko to przechodzi w linoryty, niektóre tak mroczne, że zgroza. Mnóstwo w nich symbolicznych szczegółów. Głównie słupy graniczne.

Widzę też powtarzający się motyw kostek do gry z szóstką w górze.

Chodzi o to, by zawsze wygrać, nie przegrać.

Spójrz, a tu piesek, on też się często u niego przewija. Spytałem Rudolfa: „Ma pan pieska?". „Nie, pieska nie mam". Okazało się, że on sam ma siebie za bezpańskiego psa. A tu prace Rudolfa robione inną techniką. Kiedyś przyjechały do mnie panie z Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Pytam: „Powiedzcie, dziołchy, co to za technika? Bo ja się nie znam na tym". A jedna na to: „Jak nie wiesz, jaka technika, to napisz »technika własna«".

Ta własna, Riedla, na czym polega?

Kiedy z linorytu nadmiar farby ścierał szmatą, to robiła się brudna i odbijał nią ciapy na byle jakich kartkach papieru. W tych ciapach potem widzi postacie, widzi architekturę, widzi... cokolwiek. Cyk, cyk, pach, pach – piórkiem dorysowuje jakiś element i dzieło gotowe. O, tu jest ciekawostka – twarz zakonnicy z prześcieradłem nad nią.

Zakonnicy zajmującej się Riedlem w domu dziecka?

Jego matka nie była w stanie podołać obowiązkom. Podobno najpierw Rudolfa chciała utopić, a w końcu oddała do domu dziecka. Tam przeżył koszmar. Gdy posikał się – a był mocno znerwicowany – to za karę musiał klęczeć i tak długo modlić się ze swoim prześcieradłem podniesionym w górę, aż wyschło. Lecz do zakonnicy, która się nim zajmowała, a teraz ma ponad 90 lat, stale przyjeżdża z kwiatami. Jest mu najbliższym człowiekiem. On ją nawet chciał do Niemiec ściągnąć i kupić mieszkanie. Chyba ma syndrom sztokholmski.

Odkąd gromadzę sztukę, nauczyłem się, że artyści muszą być zbuntowani, niepogodzeni, trudni w kontakcie, coś się im zawsze nie podoba, uwiera, przeszkadza.

Czterdzieści lat gromadzisz sztukę i tyle samo trwało Twoje małżeństwo.

Z Anią pobraliśmy się w 1977 r., a pierwszą rzeźbę kupiliśmy w 1978 r. Byliśmy na etapie urządzania jednego z pokojów i chcieliśmy mieć w nim mały elemencik. W którąś sobotę na rynku Tarnowskich Gór siedział chłop, wielki, miał ze dwa metry. Krzaczaste brwi, zarzucona baranica, a to lato... Podchodzę, pytam: „Proszę pana, można by było taką rzeźbę sobie kupić?". Spojrzał na mnie spode łba: „Jak masz pieniądze, to se kup".

Tak poznałem Alojzego Niedbałę. Zaciekawił mnie, zacząłem jeździć do niego do Bobrownik Śląskich. W stanie wojennym oddawałem mu kartki na papierosy – on kurzył, ja nie. Pracownię miał w pokoiku, spędzaliśmy tam długie godziny na rozmowach. Opowiadał o kopalni, w której pracował od szesnastego roku życia. A gdy przeszedł na emeryturę, to non stop rzeźbił, kozika z rąk nie wypuszczał – rano zaczynał, kończył wraz z dziennikiem telewizyjnym. Za każdym razem, kiedy u niego byłem, mówiłem: „A, kupię sobie ↦

Teodor Segiet, kolekcjoner sztuki, Tarnowskie Góry, luty 2022 r.

GRAŻYNA MAKARA

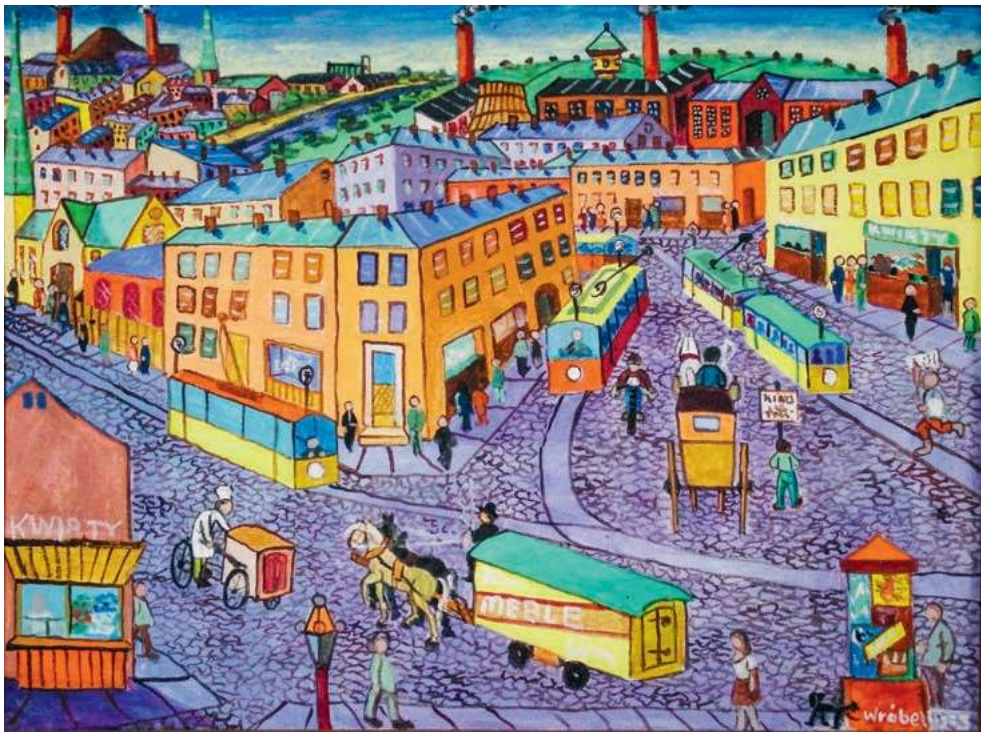

Z KOLEKCJI ANNY I TEODORA SEGIETÓW X2

Paweł Wróbel, Szopienice, 1983 r.

↦ jednego chłopka...". Bo Niedbała najchętniej rzeźbił gwarków tarnogórskich.

Byli górnikami?

Kopaczami wydobywającymi kruszec. W sumie tych rzeźb nazbierałem ze sto pięćdziesiąt. Pytam Niedbały: „Ile taka rzeźba?". On: „No, po dwieście złotych. Ale daj dwadzieścia". Szukam, daję. Zawołał, przyleciało pełno małych wnuków, cyk, cyk, cyk, rozdał i po pieniądzach. Taka u niego była procedura... I zawsze pytał: „Powiedz mi, ta rzeźba fajna, będzie u ciebie, dobrze?". Ja: „Pewnie!". On: „To kaj go postawisz?". Ja: „Na meblościance". On: „Dobry pomysł, tak będzie dobrze". Prestiżowe miejsce, wtedy obowiązywała taka estetyka urządzania wnętrz: na meblościance ustawiało się pudełka po koniakach albo puszki po kawie. Luksusy.

I elegancja!

Gdy Niedbała żył, wszyscy go znali, był ikoną Tarnowskich Gór. Ludzie mieli po domach jego prace, a kto jechał do Niemiec, to na prezent kupował od niego rzeźby. A w roku 1987 Niedbała umarł i zapanowała cisza, jakby nic nie stworzył, kompletne zapomnienie. Bolało mnie serce.

Z Anią pochodziliśmy, zainteresowaliśmy ludzi, zastukaliśmy do drzwi Tarnogórskiego Centrum Kultury i zrobiliśmy Niedbale wielką wystawę na Dni Gwarków w kościele ewangelickim w Tarnowskich Górach. Pięknie wyszło, byliśmy zadowoleni. A potem załatwiliśmy wspólnie z profesorem Wernerem Lubosem, który robi witraże i jednocześnie wykłada na uczelniach plastycznych, by Niedbały rzeźby zaistniały w przestrzeni miejskiej. I to też się udało: zostały powiększone i ich odlewy stoją w Tarnowskich Górach i okolicach. Ślad po Niedbale został. Fajnie, nie?

Bardzo.

Wiesz, ja w rodzinie nie mam artystycznych korzeni. Z zawodu jestem konstruktorem, pracowałem przy desce. Ania – ekonomistka w Społem, branża „żywienie zbiorowe". Kupowaliśmy sztukę, ale dopóki ktoś nam tego nie powiedział, nie wiedzieliśmy, że jesteśmy kolekcjonerami. Nie mieliśmy żadnej wiedzy, kierowaliśmy się intuicją, wyczuciem, własnym gustem. Internet nie istniał, nie było się z czego nauczyć. Podpytywaliśmy w muzeach, ale prawdę mówiąc, tam mniej od nas wiedzieli, a myśmy przecież nie wiedzieli nic. Mówimy z Anią, że w tej sytuacji jedyne dla nas wyjście to wycieczka do Krakowa. Wszystkie antykwariaty były nasze: wąskie drabinki na kółkach, do góry, na dół, powybieraliśmy całą literaturę o tym. W identycznym celu następną wycieczkę odbyliśmy do Warszawy.

Spieraliście się, które dzieło powinno się znaleźć w kolekcji?

Zdarzało się, że wchodzimy do domu, rzeźbiarz ma pięć egzemplarzy różnych rzeczy, klepiemy się po kieszeni, ile tam pieniędzy. Na jedną starczy, ale którą? Bez ustalania słownego oboje wybieramy tę samą. Tak to wyglądało.

Pawła Wróbla jak odkryliście?

Siedzimy z Anią przy stole, przeglądamy gazetę, widzimy obraz Wróbla, bardzo kolorowy, pamiętam jak dziś, to był Wyścig Pokoju. Mówię: „Żeby tak tego Wróbla znaleźć". Otwieram książkę telefoniczną, tam Wróbli bez liku. Dzwonię, wszędzie mnie opieprzyli, żaden nie był ten prawdziwy. No to po muzeach zacząłem szukać, tyle że oni nie byli zbyt chętni. W końcu przyjacielskie dusze dały namiar na Wróbla. Pojechałem, familok jak familok, czerwone to, zlew na

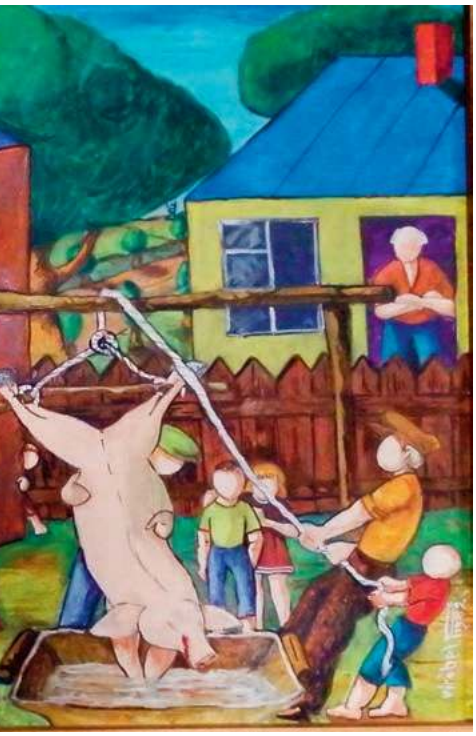

Paweł Wróbel, Świniobicie, 1982 r.

Paweł Wróbel, Odpoczywająca Barbórka, 1983 r.

W ZBIORACH MUZEUM ŚLĄSKIEGO

sieni. I po iluś latach mądrzejsi ode mnie mówili: „Jak ty się dostałeś do niego?”. Ja: „Normalnie, zapukałem, powiedział, by wejść, więc i wszedłem”. „Ale on cię wpuścił?”. „Przecież mówię, że poprosiłem i wszedłem”. Wróbel był nieufny, nieznajomych za próg nie wpuszczał. Byłem za młody i na szczęście za cienki, by znać mechanizmy.

Jakie?

Sporo artystów uprawiających sztukę nieprofesjonalną wykorzystywano. Przyjeżdżał pan i mówił: „Panie Wróbel, będzie pan miał wystawę w Niemczech”. Wróbel ileś tam obrazów przygotował, pojechały do Niemiec. Wystawa skończyła się, a obrazów nie ma. Pan: „Panie Wróbel, sytuacja jest taka, że w Niemczech panuje bałagan, wszystkie pańskie obrazy zgubiły się. Ale następną jak zrobimy, to już się nie damy wykiwać”. I znów było to samo.

Złodziejstwo.

Ale Wróbel znał swoją wartość. Byłem przy nim właściwie do śmierci. Chorował na raka krtani, miał założoną rurkę. Mówi: „Patrz!”. I wyciąga tę rurkę. „Te pieruny mi gwizdek założyli”. Otarł o rękaw, z powrotem włożył. Zajechałem za miesiąc, to już nie był w stanie mówić. „Dobra, to ja będę mówił, a ty mi będziesz na kartkach pisał”. Zachowałem te kartki, ale jedna jest najważniejsza. Takie zdanie: „Wiecie co, pod względem malowania to się nie dam ciulnąć”. On wiedział, że jego sztuka to nie jest masówka. Premier Cyrankiewicz zabiegał o jego względy. Wróbel pojechał do Warszawy i opowiadał, jak było: „Idą, wielkie drzwi jedne się otwierają, drugie, szesnaste, przychodzą, jest Cyrankiewicz, a on, wiecie co?”. I oburza się: „Jedna apfelzina mi dół”. Czyli jedną pomarańczę dostał. Kpina. Jedna pomarańcza!

Podobają mi się obrazy Wróbla z utopcami.

On w te utopce wierzył. Marek Idziaszek, rocznik 1956, malujący na szkle arcydzieła, opowiadał, że jak z kolegami z kopalni wracali – niektórzy pijani – to utopiec za nogę go do wody wciągał, więc trzeba uważać. Swoją drogą, kiedyś dziennikarka przychodzi do niego i pyta: „Panie Idziaszek, jak to jest, że pan taki górnik, a tak potrafi malować ładnie?”. On: „Jak to? U nas na kopalni wszyscy umią malować, ino im się nie chce”. Bo dla tej pani „taki górnik” znaczyło „taki prymityw”.

Jak malowali, to całymi sobą?

Każdą cząstką siebie. To był cudowny świat. Paweł Wróbel opowiadał, że w Grupie Janowskiej – Kole Malarzy Nieprofesjonalnych – artyści potrafili się pobić o to, która biel jest ważniejsza: cynkowa czy ołowiana. Kosmos. I zupełnie inna hierarchia wartości.

A humor?

Ogromny. Poprosiłem Pawła Wróbla, by namalował św. Barbarę, bo tu, u nas, to szczególnie ważna postać, na obrazach zazwyczaj ładna, uciaciana, kolorowa. Przyjeżdżam za jakiś czas do Wróbla i co widzę – z dużym biustem nagą Barbarę leżącą na łóżku z frywolnej pozie, a akcesoria świętej odłożone obok.

W końcu też kobieta.

A spójrz na to. To jest przecież święto Barbórki – na sto procent. Tyle że pora roku inna – drzewa zielone, słońce rozpalone – na pewno to nie jest czwarty grudnia. Z Wróblem przekomarzamy się, przekomarzamy, czy to Barbórka, czy nie Barbórka, w końcu wziąłem ten obraz. Mija 30 lat, a w Tarnowskich ↦

Z KOLEKCJI ANNY I TEODORA SEGIETÓW

Ludwik Holesz, Rozgwiazda, 1980 r.

To był cudowny świat. Paweł Wróbel opowiadał, że w Grupie Janowskiej – Kole Malarzy Nieprofesjonalnych – artyści potrafili się pobić o to, **która biel jest ważniejsza: cynkowa czy ołowiana.**

↦ Górach historycy wyczaili, że pierwsze święto górnicze, jakie się odbywało na tym tu Śląsku, czyli nie w miejscach, gdzie węgiel wykopywali, bo najpierw działały kopalnie kruszcu srebra, pierwsze święto górnicze obchodzono latem i nazywało się Bergfest. Na cześć tego święta w Tarnowskich Górach latem odbywa się tzw. letnia Barbórka, na której występuje największa orkiestra dęta w Polsce – kamiliańska. No i gra się na szynach. Na rynek przywożone są długie szyny, mieszkańcy przychodzą z młotkami i walą po tych szynach jak szaleni. Wróbel o Bergfest nie wiedział. Nasz burmistrz, z którym się znam dobrze, też tego nie wiedział. Lecz to właśnie Wróbel Bergfest namalował.

Ciekawi mnie jeszcze to, jak godzi się pasję z życiem rodzinnym i zawodowym?

Z wysiłkiem. Początkowo z Anią pracowaliśmy na posadach państwowych. A w 1992 r. otworzyliśmy własną firmę, wtedy cała kolekcja stanęła. Nie mieliśmy pieniędzy na sztukę, każdą złotówkę ładowaliśmy w interes. Ale bywaliśmy na wernisażach, śledziliśmy, odwiedzaliśmy, próbowaliśmy to jakoś sklecić.

Ale czy da się pogodzić?

Każdy mówi, że pasja to hobby, konik i tak dalej. Ale jakby sięgnąć głębiej do definicji, to pasja zupełnie coś innego oznacza – pasja znaczy cierpienie. Czemu cierpienie? Ktoś powie: „Co ty, chłopie, masz fajne obrazki i cierpisz?".

Właśnie!

Bo to wielkie wyrzeczenie. Trzeba cały czas z czegoś rezygnować. Jak już w to wchodzisz, to nie idzie wyjść.

Jak w miłości.

Kiedy Ania umierała, to sobie poustalaliśmy parę rzeczy. Bo była całkowicie świadoma, że odchodzi. Mówiła: „Wiesz co, za chwilę mnie nie będzie, pierwsze do ludzi musisz wyjść, bo zgłupiejesz, zrobisz się dzikus". Druga rzecz, którą ustaliliśmy, dotyczyła właśnie pasji. Ania mówiła: „Rozkręcaj to dalej". A ja w duchu myślałem: „Dam sobie święty spokój ze wszystkim". I po śmierci Ani wpadłem w czarną dziurę, nic nie robiłem, nigdzie nie wychodziłem.

A po roku mówię sam do siebie, że żonie coś obiecałem, że nie można zawieść drugiej osoby. Zacząłem spotykać się z malarzami, odgrzebałem stare rzeczy, którymi miałem się wcześniej zająć, lecz uciąłem. Powstały nowe kolekcje. Wczoraj kupiłem zamówione obrazy Jana Nowaka – erotyki.

A te świątki w kuchni?

To wszystko z Paszyna pod Nowym Sączem. Ktoś by powiedział: klasyczna polska wieś, dużo się pije, mało się robi. I w latach 50. przychodzi tam ksiądz, nazywa się Nitka i chce to naprawić. Wojtek, co ma kłopot z mową i nosi baldachimy w czasie Bożego Ciała, księdzu podaruje rzeźbę Matki Bożej własnoręcznie zrobioną, koślawą, pomalowaną kredkami. Wojtka ksiądz zachęca, by rzeźbił więcej. Aż pewnego razu parę rzeźb Wojtka dał na konkurs Karpat Polskich. Fachowcy to wzięli do ręki: „Rewelacja". I jak to na typowej polskiej wsi, zaraz inni mówią: „Co? On wygrał? To my też rzeźbimy". I cały Paszyn zaczął rzeźbić. Stamtąd jest co najmniej dwudziestu autorów – jechali z rzeźbami równo. Zrobiło się to tak popularne, że kolekcjonerzy z całego świata walczyli o ich rzeźby, palce sobie obgryzali, by się tam dostać. Z Krakowa – pan Jacek Łodziński, restaurator, i Leszek Macak, radca prawny, zmarły niedawno. O Barbarze Piaseckiej-Johnson nie wspomnę. I ja z Anią do tego jeszcze. Na drogach do Paszyna się krzyżowaliśmy. Uknuliśmy hipotezę – tego nie nagrywaj, bo jak się dowiedzą, to będzie chryja – że w Paszynie w latach 80. wymyślono telefonię komórkową. Bo jak myśmy przyszli do Stasicka i on nam powiedział, gdzie iść po następną rzeźbę, to gdy za pięć minut pukaliśmy do drzwi wskazanego domu, gospodarze już wiedzieli...

Cechowa solidarność.

Pamiętam dobrze wizytę z Anią i naszą córką u Stanisława Miki – analfabety, człowieka cierpiącego na schizofrenię. Ma fajną rzeźbę, ale nie sprzeda. Mówimy, że przecież zapłacimy, że kawał drogi musieliśmy pokonać, trzema autobusami w jedną stronę. On: „Nie". I już. Prosimy, błagamy, wszystkie świętości przywołujemy, w końcu w tył zwrot. Stop. „Dziecku dom" – mówi. Ja: „Zapłacę". On: „Nie. Dziecku za darmo".

We Francji to się nawet mówi na artystów nieprofesjonalnych: „artyści gołębiego serca".

Mika miał łoże, ale bez pościeli, tylko dużo ciuchów i szmat. A w ścianie z drewna wydłubana była dziura, w niej siekiera. Pytam: „Po co ta siekiera?". Tłumaczy, że musi się odganiać, bo synowie mu pieniądze zabierają, jak on coś sprzeda... Po kilku latach słyszę, że Mika zamarzł we własnym łóżku. Nie ogrzewał, zima była mocniejsza.

Śmierć – morze smutku.

Ania zmarła w pandemii. W pogrzebie mogło uczestniczyć pięć osób. Myślałem, że się rozwalę. Kto to mógł być? Córka z mężem, wnuk, jeszcze została jedna osoba... Wybraliśmy brata Ani. Pogrzeb nie mógł się odbyć w kościele. Zabrałem urnę i poszedłem z nią sam. Do grobu włożyłem, nawet nie czekałem na grabarzy. Ksiądz pomodlił się i koniec, taki pogrzeb. A Ania była osobą znaną i lubianą w Tarnowskich Górach. Wymarzona rozmówczyni: błyskotliwa, inteligentna, otwarta, szczera, wesoła. Ludzie do niej lgnęli. Ostatnie pięć i pół roku to jednocześnie nasz najlepszy czas. Paradoks, nie?

Po przebudzeniu kontemplujesz obrazy w sypialni?

Najwięcej patrzę wieczorem. O, tam na górze są obrazy Jaśka Jagody. Facet, który w Niemczech kiedyś jeździł tirem, wielki artysta. Oglądałem je pierwszy raz sporo lat temu. I podobał mi się, ale nie zamierzałem go kupować, nie widziałem go jeszcze w tej kolekcji. A kiedyś nagle powiedziałem: „Biorę. Podoba mi się to, że Jagoda ciało kobiece pokazuje jako doskonałą formę".

Codziennie jesteś na grobie Ani?

Nie ma dnia, żebym nie był. Idę pogadać.

Czasami się odezwie?

Nigdy nic nie powie. Nawet mi się nie śniła. Początkowo myślałem, że wróci. Wchodzę do domu, mówię: dzisiaj jest, na pewno siedzi, na pewno przyjechała. Bo często Ania na kilka dni jechała gdzieś w interesach. Ale wchodzę i jej nie ma. Słyszę często: „Powinieneś Ani rzeczy i ubrania oddać komuś". Mówię: „Jasne, po co to będę trzymał".

Ale zaraz potem sobie myślę: no dobra, a jak się wróci? I dalej się strofuję: stamtąd się przecież nie wraca. A jak wróci jednak?

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

REKLAMA

POLSKIE SŁUŻBY DZIAŁAJĄ POZA KONTROLĄ

FUNDACJA PANOPTYKON

Nikt ci nie powie, kiedy będą cię podglądać.
Pomóż to zmienić: wejdź na **niktciniepowie.org** i przekaż 1% podatku (**KRS: 0000327613**)

STANISŁAW

Mancewicz:
Piekiełko zamarzło

Oto świat zmienił się nie do poznania, a epoka nowa zastąpiła starą – są to opinie, rzec trzeba, słuszne, słusznie powtarzane i słusznie rozwijane. Rozwinięcia suną od ogółu do szczegółu. Takim szczegółem – dość chyba nieoczekiwanym, mimo tego, że tocząca się wojna ma wygląd szokująco konwencjonalny i starożytny – jest dawno nieobecny zapach konfliktu jądrowego.

Dzieciństwo nasze – jeżeli może być to jakaś pociecha dla obecnie zmartwionych bądź przerażonych – upłynęło w fachowo podtrzymywanym przez propagandę i popkulturę lęku przed atomowym grzybem. Lęk ten dotyczył ze dwu pokoleń Ziemian, bez względu na kolor skóry, wyznanie, rasę i miejsce bytowania. Tak było. Grzyby wywołane eksplozjami jądrowymi są widokami najmocniej działającymi na wyobraźnię człowieczą. Nic innego, gdy się rozglądnąć, tak mocno nas nie przeraża, jak wznoszący się do kosmosu gigantyczny, szary słup po ogromnej eksplozji. No więc po kilkudziesięciu latach względnego niemyślenia o widokach i konflikcie tego typu obrazy te znów stają przed oczyma i zaburzają myślenie o życiu i w ogóle o jutrze.

Przy okazji trzeba wspomnieć o długiej półce filmów powstałych w drugiej połowie XX w., które bardziej lub mniej udatnie przedstawiały krajobraz planety po wojnie nuklearnej. Niewątpliwie nakręcono je, by zarobić, by straszyć, ale i by uzmysławiać. Ta ostatnia funkcja wydawała się jakby zbędna, przecież o skutkach eksplozji atomowej wie każdy, kto chodził chwilkę do szkoły i kto kojarzy fakty na poziomie nietrudnym. Doprawdy, jeszcze tydzień temu mogliśmy uważać, że ludzi z kłopotami poznawczymi na tym poziomie po prostu nie ma. A są.

Należą do nich – popatrzmy – rosyjscy czołgiści walący z armat do reaktorów ukraińskiej elektrowni atomowej. Są to niewątpliwie ludzie z innej bajki, z zupełnie nieoczekiwanym ograniczeniem myślenia przyczynowo-skutkowego. Także na temat własnego zdrowia. O człowieku rosyjskim słyszeliśmy w życiu niejedno i z niejednym stereotypem na jego temat przyszło nam toczyć wewnętrzną walkę. Wszystko to, zdaje się, były – jak widać – wysiłki zmarnowane. Po nic.

Skoro tak spokojnie, by nie rzec, beznamiętnie, gwarzymy sobie o konflikcie jądrowym, skoro wydaje się, że wyczerpaliśmy ten temat przynajmniej na teraz i na tym poziomie, przychodzi nam do głowy konflikt będący jądrowym tylko w przenośni. Mamy tu na myśli wojnę tutejszą, którą wojna w Ukrainie zamroziła.

Można by rzec, że polskie piekiełko niespodziewanie zamarzło. Do spodu. Natychmiast jednak i czujnie odepchnijmy rozleniwiające uczucie ulgi oraz pewność, że każdy dzień bez antyeuropejskich bredzeń panów – Ziobry, Terleckiego, Morawieckiego czy Kaczyńskiego to zysk. To, owszem, minimum relaksu, o którym marzyliśmy od lat wielu, to też mikrosatysfakcja, że panowie ci, chcąc nie chcąc, muszą dziś wygłaszać mowy, których sens i treść są kompletnie odwrotne od sensów i treści głoszonych przed nieco ponad dwoma tygodniami. Ładnie, że się tak pięknie znaleźli, że są nagle Europejczykami, że tak elegancko mówią o europejskiej jedności nie demolując jej, jak dawniej, ku radości i na zamówienie Putina, że zaiste ich najbliższy przyjaciel p. Orbán odkleił się już na dobre i krąży teraz na putinowskiej orbicie z przywódcami Syrii i Korei Północnej, a przyjaciółka i autorytet p. Le Pen musiała – jak czytamy – zjeść ponad milion wyborczych ulotek, na których widnieje w uścisku z dyktatorem Rosji.

Są to wszystko miłe wiadomości, miło się to czyta, miło się myśli, że coś minęło, że mimo straszliwej wojny ktoś jednak wyzdrowiał. Że zły sen się skończył. Otóż trzeba być trzeźwym. Na pewno się nie skończył. Piekiełko odmarznie. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

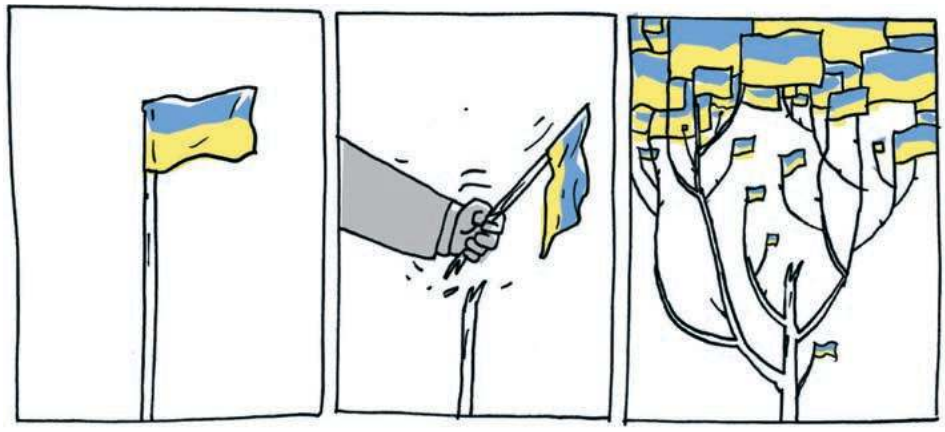

Napisz własną historię kuchenną

Do każdej prenumeraty autorski, wyjątkowy notes kulinarny „Smaki" w prezencie. 12 sezonów, przepisy, rozmowy, eseje, autorskie ilustracje – i Twoja opowieść.

ZASADY ZAKUPU „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę papierową można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	480 zł	590 zł
Półroczna (26 numerów)	270 zł	330 zł
Kwartalna (13 numerów)	155 zł	190 zł
Pokolenia*	415 zł	
Karta Dużej Rodziny**	415 zł	
Roczna + 4 wydania specjalne	565 zł	680 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	500 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	500 zł	
4 wydania specjalne na 2022 r.	85 zł	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN DLA „TP"

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Suwerenni dzięki Wam!

Dzięki Wam „Tygodnik” zachowuje niezależność, szczególnie teraz – w dobie kryzysu zaufania, inflacji, w niełatwych dla swobodnej myśli czasach.

Ks. Adam Boniecki

1%

Przekaż 1% podatku na działalność Fundacji Tygodnika Powszechnego, która dba o dziedzictwo i rozwój „Tygodnika Powszechnego”.

WPISZ W ZEZNANIU PODATKOWYM
nr KRS 0000125605

Zachęcamy także do bezpośrednich wpłat na rzecz Fundacji:
Santander Bank Polska S.A.

31 1910 1048 2006 1845 1121 0001

Więcej informacji:
powszech.net/dar

OGŁOSZENIE OPP // RYSUNEK JOANNA RUSINEK / FOT. GRAŻYNA MAKARA